



Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy im. W. Stefanyka.

Odział Rękopisów

Zespół (fond) 9

ZBIÓR RĘKOPISÓW RÓŻNEJ PROWENIENCJI

1478. Rozwadowski T. oficer wojska polskiego „Ofensywa na Lublin”.

Wspomnienia z okresu I –ej Wojny światowej (l.1914-1915).

Lata 30te XXw. K.120.



STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE

Львівська біб-ка АН УРСР
ВІДДІЛ РУКОПИСІВ
№ 0/Н-1478

81 арк.

4

47

Wavy scribbles

0/11-1478

16

T. Rasmussen

Ofengr. u. K. 1119

for. parrigulik

6 7/2 — 33.50
perbretan 20. —

malajis misis 13.50 75.

1 1914

J. Rozwadziński

Wspomnienie z w. wojny
1914-15. ⁴ ~~Wspomnienie~~ ¹²⁻¹⁹¹⁴
w. wojny 1914-15. ¹²⁻¹⁹¹⁴
w. wojny 1914-15. ¹²⁻¹⁹¹⁴

(wzrost i kupa)

Wspomnienie J. R.
Wspomnienie - Rozw. II z kopio
m. r. m.

Rozwadziński Józef

~~Rozwadziński~~

Wspomnienie z wielkiej wojny
1914-15.

Rozwadziński II Ofensywa na
Lublin w składe Krakowskiej 12^{ej}
Dywizji piechoty (2 Kopie m. r. m.)
(Ar. 23-63/akt)

O F E N Z Y W A N a L U B L I N

w sztabie krakowskiej Dywizji (od wymarszu 9/VIII aż do
zakonczenia bitwy pod Grondami- Browem)

Z XII Dywizją na Lublin. Koncentracja i rozpoczęcie ofensywy na
Lublin. Bitwy pod Annopolem, Krasnikiem, i Bełzycami. Moja sa-
modzielna akcja pod Grudami- Borowem.

Dnia 9 sierpnia wyruszyliśmy z Krakowa pieszym marszem, w długiej kolumnie
złożonej z dwóch brygad artylerji polowej oraz jednego ciężkiego dywizjonu.
Siadłem na konia przed naszym mieszkaniem na ulicy Basztowej, żegnany ser-
decznie nie tylko przez żonę i dzieci lecz jeszcze przez wielu przyjacioła a
nawet przez licznych mieszkancow okolicznych domow. Wzdłuż plant przez
most na Wisle i Zwierzynieckie przedmieście, wydostałem się wraz z mym scisłym
sztabem z pewną trudnością przez żegnające nas owacyjnie tłumy na szosę
wiodącą do Wieliczki, wzdłuż której kłusując osiągnąłem dopiero po dobrej
godzinie czoło długiego marszowego węża. Siedemnaście baterji w pełnym
składzie wraz z pierwszymi formacyami kolumn amunicyjnych rozciągnięte w
przepisowym szyku na tej szosie zapełniały ją bowiem wkrótce prawie całą
od Krakowa aż po Wieliczkę, gdzie mieliśmy odbyć popas południowy, aby prze-
czekać godziny największego skwaru i maszerować dalej chłodniejszą już porą
co robiliśmy również i w dniach następnych.

Dojeżdżając do Wieliczki zauważyłem już z daleka, że całe miasteczko było od-
świętnie przystrojone flagami, a następnie tłumy ludności witały nas entuz-
jastycznie na ulicach szczególnie w rynku, gdzie odbyło się oficjalne przy-
jęcie przez burmistrza, radę miejską, cechy ze sztandarami, delegacje salin
oraz całe niemal obywatelstwo. Na wszystkich budynkach widniały przytem wy-
łącznie chorągwie o polskich barwach, z wyjątkiem dyrekcji salin, która jako
gmach-urzędowy zmuszoną była wywiesić obok polskiej również i chorągiew pan-
stwową. Miasto Wieliczka przygotowało poczęstunek dla wszystkich naszych żoł-
nierzy, oraz śniadanie dla komendy i oficerow na ratuszu, niemogłem więc od-
mówić tego niezmiernie serdecznie wyrażonego zaproszenia pomimo pewnej obawy
zbyt długiej zwłoki jaka przez to w marszu powstać mogła.

Napływającym baterjom kazałem więc stawac wzdłuż ulic miasta a częściowo i
na rynku, pozostawiając zaprzęgi konie wierzchowe wprost przy działach, gdzie
im siano podrzucano, podczas gdy żołnierze zgłaszać się mieli kolejno na o-
fiarowany im poczęstunek, W ratuszu, gdzie w kilku salach zastawiane były stoły
powitała mnie wchodzącego wraz z oficerami, muzyka wprowadzie zrazu hymnem
państwowym, po którym jednak zagrała natychmiast z zapalem nasze "Jeszcze
Polska niezginęła". W czasie obiadu wygłoszono liczne przemowienia, owiane
szczerym polskim patryotyzmem, wywołujące radość ogólną, a życzeniom i wi-
watom nie było końca, tak że musiałem wreszcie po dwóch godzinach, chcąc by
moja młodzież wyruszyła dalej w trzeźwym jeszcze stanie, kazac trąbic do wsia-
dania, mimo protestu rozentuzjanzmowanych wieliczian.

Niesiony na rękach przez tłum dostałem się wreszcie do mego wierzchowca, po-
czem obsypani kwiatami, wśród ciągłych wiwatów ruszyliśmy przez Niepołomice
ku Bochni. Dostawszy się na szosę, pragnąc trochę otrzeźwic moich podkomend-
nych, począłem odrazu kłusować, nakazawszy tylko wyższym oficerom aby je-
chali na koncu swych baterji i dopilnowali ładu w całej kolumnie mocno ochoc-
conej tem serdecznem przyjęciem.

Zatrzymaliśmy wszyscy we wdzięcznej niezmiernie pamięci ow piękny żywiołowy
objaw entuzjazmu całej ludności wielickiej dla krakowskich oddziałow, świad-
czący jak bardzo pragnie polskiego zwycięstwa i wierzy, że przyjsc ono musi
jako rezultat starcia się naszych zaborcow.

Jadąc poprzez Niepołomice, skrawkiem niestety tylko pięknej niepołomickiej
puszczy, osiągnęliśmy przed zachodem słońca czołowemi baterjami Bochnię, po-
czem kazałem kolumnę rozkwaterować umyślnie odrazu wzdłuż szosy, aż po stację
Kłaj włącznie. Zyskiwalismy przez to możność ruszenia nazajutrz rano odrazu
całą kolumną równocześnie, tworząc przytem odpowiednie warunki dla wykonania
kilku cwiczen marszowo-łącznikowych, które chciałem przy tej sposobności prze-
prowadzić.

Przyjęty najmilej ~~przez~~ w Bochni przez kuzynkę moją Zenobję Bogdanowiczową i
Emilję Łosiową, uraczony doskonałą kolacją i serdecznie podejmowany wyruszy-
łem nazajutrz wczesnym rankiem, chłodem jeszcze, z baterjami memi w dalszą
drogę. Pomimo dość męczących cwiczen stanęliśmy następnego dnia już o godz.
10 w Brzesku, skąd skierowałem całą moją XII brygadę do Okocimia i przyległych
wiosek, zaś V brygadę kazałem zakwaterować w samym mieście oraz pobliskich
wsiach leżących przy szosie, aby zmienić trochę porządek marszowy, a także

uzyskać takie ugrupowanie, które przygotowało już na trzeci dzień marszu ciekawe ćwiczenie taktyczne, które wykonać zamierzałem. Sztaby nasze stanęły już około 11 w pięknej rezydencji br. Götza w Okocimiu gdzie mimo nieobecności gospodarza otrzymaliśmy doskonały obiad, a przede wszystkim kąpiel odświeżającą nas niezmiernie po kurzu i spiekocie. Po południu w czasie wypoczynku, zwiedziliśmy piękny park oraz przede wszystkim ~~mi~~ wspaniałą browar, którego ogromna produkcja stawiała go już wówczas w pierwszym rzędzie krajowego przemysłu i stworzyła podstawę bogactwa jego właściciela, pracowitego gospodarza i dzielnego, ofiarnego zawsze obywatela. Nazajutrz 11 sierpnia, przeprowadziłem obu brygadami bardzo zajmujące ćwiczenia, zarządzane rozmyślnie w trudnym terenie całkiem już stromych pagórków, położonych na południu od głównej szosy z Brzeska do Tarnowa, poczem rozciągnąłem znowu baterje na nocleg po obu stronach szosy, tak aby mogły pracować w czasie czwartego dnia marszu w odmiennym znowu zupełnie terenie, płaskim i pokrytym lasami na północ od naszej linii marszowej. Sam ulokowałem się ze sztabami przy samej szosie, w małym lecz pięknym starym stylowym zameczku w Dębnie, własności pana Jastrzębskiego, który otaczał go staranną opieką i doprowadził do umiejętnego odnowienia do starodawnego mniej więcej wyglądu. Do tych wiekowych grubych murów, stylowego slicznego dziedzińca i starożytnego umeblowania, dostraja się doskonale sympatyczny staruszek, pozostawiony tu po wyjeździe właściciela jako pieczołowity klucznik tak że całość tworzyła obrazek jakby wyjęty ze średniowiecza. A że spędzałem noc w ponurej baszcie zamkowej, owianej urokiem wieków i księżyc w pełni zaglądał do mych okien w chwili gdy zasypiałem, przysnili mi się rycerze w stal zakuci, wyjeżdżający z tego zamku, strojnie i gwarno, na wojnę ze wschodnim jakimś barbarzyńcą, podobnie jak i my spieszący ku obronie granic Małopolski.

Piękny malowniczy sen przerwał mi jednak ordynans gwałtownym wtargnięciem o najwcześniejszym swicie do mego pokoju po dudniących schodach baszty, trąbki grające zewsząd zbiorczą przypominały ohowiązek wyruszenia na ćwiczenia, które już poprzedniego dnia zarządziłem.

Wyjechalismy też niebawem, znowu jak najwcześniejsz dla uniknięcia zapowiadającej się upały, żegnani błogosławieństwem starego zamkowego opiekuna, nie przewidując wówczas, że te prastare dostojne mury będą zmuszone gościć niebawem dzicz kozacką, i że poczciwy staruszek przejdzie bardzo ciężkie chwile nim uratuje ten zameczek od pogromu i rabunku.

Dnia 12 sierpnia, po kilkugodzinnych ćwiczeniach, stanęliśmy znowu wczesnie u chwilowego celu naszej podróży, t.j. w Tarnowie. Oficer kwaterunkowy dywizji przydzielił nam pomieszczenie w ten sposób, że moja brygada znalazła się odrazu w rejonie swej dywizji, a sztab umieszczono w szkole obok czerwonego kościoła, również w pobliżu sztabu dywizji, zakwaterowanego w hotelu. Pożegnałem tu już następnego dnia V brygadę artylerji, przybyłą z Krakowa, gdyż jej baterje zostały również skierowane w rejony kwaterunkowe odnosnych wyższych dowodstw, dokąd piechota była już uprzednio przewieziona transportami kolejowymi.

Przez następne cztery dni uzupełnialiśmy na tych wygodnych kwaterach wszelkie braki, skonsolidowywali większe jednostki, porządkowali sztaby oraz wszystkie pomocnicze zakłady i formacje. Najwięcej pracy przysporzyło nam wówczas w artylerji staranne przekucie kani, szczególnie taborowych, wymiana i uzupełnianie zaprzęgów, które pragnąłem doprowadzić do najdoskonalszego porządku jeszcze przed rozpoczęciem wszelkich taktycznych akcji, a wreszcie odpowiednie przesortowanie ludzi, tak aby wybrać najlepszy element do obsługi dział pierwszej linii. Kazałem również wówczas złączyć w pełną połowę baterje owe cztery działa polowe, przydzielone nam do kolumny amunicyjnej jako zapasne, tak abym mógł liczyć na nie, w razie koniecznej potrzeby, jako na osmą baterje dla wsparcia dywizji, tak niestety słabo wyposażonej w artylerję. Dzielny mój drugi oficer ordynansowy por. Moszorz wyprosił sobie powierzenie mu w danym razie tego dowodstwa, dozwoliłem mu więc zajmować się już podczas marszu udoskonalaniem oraz należytą organizacją tej jednostki. Odznaczył się on później wybitnie w bardzo trudnym momencie walk pod Lublinem, wytrzymując swymi czterema armatami gwałtowny ogień szesciu osmiodziałowych baterji rosyjskich, przez co umożliwił korzystne rozwinięcie a później i szczęśliwe wycofanie się piechoty.

Przy ciągłym zajęciu i ruchu oraz lustrowaniu każdej baterji z osobna w terenie, minęło mi tych kilka dni w Tarnowie jak jedna chwila. Zapoznałem się już wówczas bliżej z całym sztabem XII dywizji, który wywierał wcale dodatnie wrażenie, a szczególnie zbliżyłem się do nowego szefa sztabu majora Gerberta, zdolnego i energicznego oficera. Znachodził on we mnie silne poparcie

dla swych fachowych i przeważnie słusznych zarządzeń, a że nasz poczciwy stary dywizyoner generał porucznik Kestranek bojący się wszelkiej odpowiedzialności, usuwał się zazwyczaj od ważniejszych rozstrzygnięć stałem się więc odrazu w owym sztabie tym elementem, który go swoją decyzją dominował.

Bardzo porządny intendent, dzielny lekarz pułkowy Dr. Dąbrowski, oraz szereg dobrych młodszych oficerów czynili sztab tej dywizji zupełnie odpowiednim, chociaż zasadniczo cały jego aparat był zbyt ciężkim i licznym. W ciągu akcji byliśmy też przeważnie zmuszeni dzielić go na dwie części, to jest na sztab scislejszy, potrzebny do prowadzenia akcji bojowej, i sztab tyłowy, pozostający przy taborze bojowym i kierujący zakładami dywizyjnymi.

A trzeba przyznać, że w tej formie i przy należytem rozkazodastwie funkcjonowało bez zarzutu i mógł z łatwością dowodzić nawet znacznie większą jednostką dywizyjną niż owych 12 do 15 baonów, ktoremi dysponowaliśmy wówczas. Dywizya taka bowiem używająca dla służby tyłowej cztery do sześciu tysięcy ludzi, mogła dopiero przy nadnormalnych stanach to jest przy 20000 a nawet i 25000 ludzi wyzyskać prawdziwie swoją szeroko rozbudowaną organizację. To też znajduję, że chcąc zachować konieczną i jak największą samodzielność operatywną dywizji piechoty, składającej się i dzisiaj jako najwyższa jednostka taktyczna ze wszystkich potrzebnych broni, a zaopatrzonej w pomocnicze służby i zakłady, było praktyczniejsem pozostawić jej taką zasobną organizację tyłową, a zato wyzyskać odpowiednio ten aparat gospodarczy przez zwiększenie ogólnej siły dywizji nawet ponad liczbę pierwszych wojennych stanów rosyjskich, t.j. aż do 20000 ludzi, tak jak to częściowo uskuteczniiono już po wojnie światowej właśnie na skutek nabytego doświadczenia.

Dywizya XII wyruszyła na wojnę sformowana w dwie brygady: 23ą generała Lilienhofs składającą się z wadowickiego 56 p.p. pułkownika Bijaka i 100 pułku cieszyńskiego pułk. Latinika, oraz 24 brygadę dowodzoną przez gen. Zaleskiego, a złożoną z pułków 3 morawskiego pułkownika Testy, 20 go nowosądeckiego pułk. Puchalskiego i 57 tarnowskiego pułk. Pöschla. Pułkiem armat polowych dowodził z początku pułk. Veltze, 1-szym dywizyonem major Kadarschafka, 2-gim major Oskar Hoffman, zaś dywizyonem haubic podpułkownik Schöffler. Kawaleryę dywizyjną, t.j. dwa szwadrony ułanów obrony krajowej prowadził major Strzelecki.

Przed samym naszym wyjazdem z Tarnowa, gdy nadeszły już były rozkazy dowództwa I Armji gen. kawaleryi Dankla do scislejszej koncentracji nad dolnym Sanem, zgłosił się do mnie w sposób bardzo sympatyczny i skromny, ówczesny sekretarz ambasady, Aleksander hr. Skrzynski, świeżo przybyły z zagranicy, prosząc o przyjęcie go do mego sztabu w charakterze zwykłego ochotnika. Znałem Go jako dobrego jeźdźcę i dzielnego sportowca, przytem młodego człowieka obdarzonego dużemi zdolnościami i zimną krwią, nadawał mi się bardzo na zastępcę oficera ordynansowego, jakiego właśnie potrzebowaliśmy, gdyż przydzielony do mego sztabu rozkazem mobilizacyjnym drugi oficer ordynansowy jakis wiedzienzyk, nie zgłosił się wcale do służby, a zastępował go tylko chwilowo jeden z oficerów linjowych, potrzebny na swem stanowisku właściwym. Po porozumieniu z dowódcą kadry zapasowej 2 pułku ułanów w Tarnowie i za zgodą dowódcy dywizji, kazałem więc przyjąć Hr. Skrzynskiego natychmiast w stan ochotników kawaleryi, i przebranego tymczasem w mundur prostego ułana, zabrałem zaraz nazajutrz ze sobą na razie jako ordynansowego podoficera mego sztabu. Pełniąc służbę nieraz bardzo trudną i niebezpieczną w sposób znakomity, zdobył On niebawem duży medal walecznych oraz ówczesny awans na podporucznika, i zyskał wiele wojskowego wyrobienia i wiadomości. Dla mnie był On w czasie całej służby przy moim boku nie tylko najbardziej pożytecznym pomocnikiem, lecz i prawdziwie oddanym osobistym przyjacielem, dzielącym wszelkie trudy i niebezpieczeństwa z zupełnem zaparciem się siebie, oraz wielką brawurą i siłą charakteru, tak że zachowałem z tych czasów dla Niego na zawsze szczerą wdzięczność i uznanie.

W czasie kilkuniedniowego pobytu w Tarnowie oraz podczas marszów prowadzących do koncentracji I armji nad dolnym Sanem, gdzie XII dywizya i przydzielono miejsce na skrajnym lewym skrzydle przy samej Wisle, zastanawialiśmy się z dowódcą i szefem sztabu, nad szansami i celowością zamierzanej akcji, ktorej kierunek mogliśmy z otrzymywanych zarządzeń zresztą jedynie zgadywać i kombinować. Żadne wyższe dowództwo nie było bowiem zasadniczo informowanem ani o celach ani nawet w przybliżeniu o kierunku ogólnej akcji, tak że twierdziłem już wówczas, iż nawet naczelne dowództwo

samo niebardzo jeszcze wie, co z nami robic będzie, a późniejsze wypadki okazały, że nieodbiegałem w tem moim twierdzeniu daleko od rzeczywistości.

Wymarsz nasz z Tarnowa i rozwinięcie I armji nad dolnym Sanem, wskazywały na to, że będzie tworzyła ona na razie, wraz z IV armją, skosny front wzdłuż Sanu i dalej mniej więcej w kierunku na Sambor, zakrywający środkową Małopolskę, przy wyzyskaniu silnej twierdzy przemyskiej, a to owej przekątnej od Wisły aż po Karpaty.

Niebyło też wykluczonem, że opuszczając Małopolskę wschodnią, chronioną na razie już tylko przez wzmocniony korpus lwowski i przez liczniejszą kawalerję, armja austriacka ograniczy się do czysto defenzywnego oczekiwania rosyjskiego natarcia na ten front, starając się w międzyczasie, jak tego zawsze tak gorąco pragnął generał Conrad, zlikwidować zupełnie zatarg z Serbją, przez kompletne rozbicie tego Państwa za pomocą znacznej przewagi liczebnej, jaką dawało skierowanych tam już uprzednio osiem korpusów zgrupowanych w trzech armjach.

Na skutek jednak wiadomości o bardzo zaawansowanej koncentracji rosyjskiej zagrażającej wtargnięciem czterech armji, zbierających się półkolem od Wisły poprzez gorny Bug i Zbrucz do koncentrycznego natarcia na Małopolskę, z konieczności sciągnięto z południa zaangażowaną już tam częściowo drugą armję nad gorny Dniestr i wzmocniono również znacznie osłonę Małopolski wschodniej. W ten sposób zamierzano zebrać poważniejsze już siły do bardziej energicznego głębszego natarcia, które też niebawem zarządzono.

Włochy i Rumunja pozostawały nadal biernymi widzami rozgrywanego się konfliktu, a wszystko przemawiało za tem, że postawy tej niezmieniają.

Potwierdził mi to również odrazu hr. Skrzyński, doskonale w sprawach dyplomatycznych zorjentowany.

Fakt ten powodował jednak ogromną zmianę w układzie sił państw centralnych. Tembardziej zdawało się uzasadnionem, że niemoże już być braniem w rachubę szukanie szybkiego rozstrzygnięcia w walce z Serbją, doskonale zresztą do oporu przygotowaną, i że wszystkie siły austriackie winny być użyte odrazu przeciw Rosji.

Wartość tej ostatniej (wojskowa) zresztą zbyt przeceniona przez sztabowców austriackich była daleko mniejszą niż wówczas ogólnie kalkulowano.

Pamiętam że w kilka dni później, bawiąc u hr. Zdzisławów Tarnowskich w Dzikowie, dyskutowaliśmy żwawo na ten temat, a ja wobec podkreślenia przez większość obecnych, owej kolosalnej i niewyczerpanej potęgi rosyjskiej, twierdziłem stanowczo, że o ile armje austro-węgierskie będą należycie prowadzone, to mają wszelką szansę pokonania wojskowego Rosji.

Utrzymuję również i dziś jeszcze, że gdyby nie błędy naczelnego dowództwa oraz wyższych sztabów austriackich, a również lekkomyślność taktyczna oraz bezmyślna fanfaronada kilku dzielniejszych zresztą dowódców, niechętnych doceniać siły ognia tak maszynowego jak szczególnie armatniego, i lekceważących rozmyślnie doświadczenia wojny mandżurskiej, to armja habsburskiej monarchji, w tej formie i organizacji jaką wówczas posiadała, mogła być odrazu zadać cały szereg poważnych klęsk masom rosyjskim mało ruchliwym i gorzej jeszcze od niej dowodzonym.

Po dwóch większych marszach w kolumnie dywizyjnej osiągnęła XII dywizja poprzez Radomysl okolice Mielca, gdzie z powodu imienin cesarskich wyznaczono nam cały dzień wypoczynku. Poza odbyciem oficjalnych uroczystości spędziliśmy tam dwa bardzo miłe wieczory w gościnnym domu pani Oborskiej, zakończone nawet ochoczymi tancami, które rozmarzyły nie jednego z naszej młodzieży, a mnie zostawiły wspomnienie raczej wesołych i beztroskich manewrow niż wojennego marszu wiodącego ku nadzwyczaj ciężkim bojom.

Trzeba przyznać, że nie tylko niemal cały ówczesny korpus oficerski armji austro-węgierskiej był owładnięty szczerym wojennym entuzjazmem, lecz widac było dużo dziarskości oraz animuszu także i między prostymi żołnierzami, którzy śpiewali i grali wesoło podczas marszów i chętnie tanczyli na wszystkich postojach idąc na tą wojnę ochoczo i z zapałem.

Dnia 19 sierpnia nocowaliśmy ze sztabem w Chorzelowie, serdecznie goszczeni przez Rodzinę Jana hr. Tarnowskiego, a dalszy ruch dywizji zaprowadził nas poprzez Tarnobrzeg do Dzikowa, gdzie korzystając znowu z miłej gościny hr. Zdz. Tarnowskich spędziliśmy arcywygodnie całe dwie noce, poprzedzające rozpoczęcie właściwej akcji wojennej.

Ostatnie te marsze wymagały już jednak pewnych taktycznych zarządzeń ze względu na duże zalesienie okolicy i na bliskosć granicy tak w kierunku Wisły jak i Sanu. Wsunąwszy więc przednie strażę ku Wisle do Baranowa i przez lasy

dzikowskie aż nad San, skierowano przezornie piechotę przez zakryte polne drogi, jednalże artylerya oraz tabory maszerujące z konieczności szosą, nienapotkały przecież aż do samego Tarnobrzega na żadne przeszkody. Nieurozmaiciły nam tego marszu ani spodziewane aeroplany nieprzyjacielskie ani powitanie nas ogniem armatnim z drugiej strony Wisły od Sandomierza, chociaż twierdzono ogólnie, że patrole kozackie kręcą się po tamtej stronie Wisły, to mimo pilnego wypatrywania nie mogliśmy tam dojrzec żadnego ruchu wojskowego.

Jak nas bowiem w Tarnobrzegu poinformowano, a co także dalsze wiadomości potwierdziły, był Sandomierz wówczas już przez Rosjan pospiesznie ewakuowanym, jak wszystkie zresztą miejscowości zachodniego brzegu Wisły. Oprotniając całą tę część Polski i zostawiając w niej jedynie kilka luznych grup kawaleryjskich, gromadzili Rosjanie bowiem, jak się później okazało, w owej pierwszej fazie wojny, bardzo ostrożnie armję swego centrum za Wisłą a nawet częściowo aż poza linią średniego Bugu.

Mobilizacja rosyjska, przygotowywana jak to już wspomniałem, niezmiernie wczesnie bo już od czasu serajewskiego zamachu, była prawdziwie podówczas prawie na ukonczeniu, lecz za to transport ich sił głównych, mimo iż rozpoczęty częściowo nawet przed austriackim wypowiedzeniem wojny, nie był jeszcze doprowadził do uzyskania pogotowia wojennego.

W Dzikowie doszły nas wiadomości, że 3 austr-węg. dywizya kawaleryi pod dowództwem młodszego generała Brudermanna, operująca przed frontem I armji natknęła się już była na oddziały rosyjskie wysunięte ku Tanwi.

Nie przyznano się jednak że właśnie w dniu 18 sierpnia większy oddział piechoty wspierający tę dywizję, rzucony w kierunku na Goscieradow i prowadzony nieopatrznie, zamiast zdobyć projektowane na dzień imienin cesarskich pierwsze zwycięstwo, ponosił był bardzo poważne straty skutkiem warszackiego frontального nacierania pod ogniem karabinów maszynowych jednego zresztą tylko pułku rosyjskich huzarów.

Starcie to dozwoliło już skonstatować przynajmniej osłonowe grupy rosyjskie, a zarazem stało się jasnym, że spodziewane tu większe ich siły, które wedle mniemania naczelnego dowództwa austr-węg., mogły już także być w pełnej gotowości do natarcia, gromadzą się nieco głębiej, pomiędzy Wisłą a Wieprzem.

Naznaczono więc dnia 21 i 22 sierpnia dla przekroczenia Sanu celem osiągnięcia wschodniej krawędzi doliny Tanwi, a równocześnie zawiadomiono, że niebawem zostanie zarządzonym ogólnie już natarciem I armji w kierunku na Lublin, zaś IV armji na Chełm.

Ostatnie godziny pobytu w tak szczerze dla nas gościnnym pałacu dzikowskim zajęło nam rzucenie mostu pontonowego przy samem niemal ujściu Sanu, poniżej wsi Wrzawy, przygotowane już zresztą uprzednio, oraz wydanie specjalnych zarządzeń dotyczących się odpowiedniego zgrupowania całej dywizyi w tymże kierunku.

Przekroczywszy z brzaskiem 22 sierpnia most pontonowy i przebywszy natchmiast w skwarny dzień niezmiernie ciężkie i przykre piachy, ciągnące się tam od doliny Tanwi aż po samą prawie Wisłę, nocowała w dniu tym cała XII dywizya już w taktycznym ugrupowaniu we wioskach położonych nad samą granicą rosyjskiego zaboru, ze sztabem ulokowanym w nędznej miejscowości Pniowie, a rezerwą dywizyjną za lewym skrzydłem w pobliżu Antoniowa. Wszystkie tabory ściągnięte zostały ku Wisłę, gdzie twardsze drogi i mniej piaszczysty grunt umożliwiały łatwiejsze posuwanie się naprzód, pomimo tego nasze auta osobowe przebyły taprzestrzeń z tak wielkim wysiłkiem za wyjątkiem jedynie lekkiego Forda, że postanowiliśmy odesłać je do Krakowa, jako zupełnie w danych warunkach bezużyteczne. Przeprowadziliśmy je też niebawem przez most pontonowy do Zawichostu zajętego już w międzyczasie przez grupę austr. gen. Kummera i cała ta różnorodna kolumna automobilowa, prowadzona przez Ludwika Żelenskiego na stukonnym Mercedesie, a zamykana przez Zygmunta Łączynskiego na małym Steyerze, przezwanym przez nas "bączkiem" pomimo niebezpieczeństwa spotkania się ~~przez~~ z kozakami kręcącymi się ciągle w tych stronach, przedostała się jednak szczęśliwie lewym brzegiem Wisły do Szczucina a z tamtąd dalej do Krakowa. Przy dywizyi pozostał tylko ow jeden Ford, przezornie przezemnie zabrany z Krakowa, który też usprawiedliwił zaufanie jakie w nim pokładałem, gdyż odbył bez zarzutu całą niezmiernie uciążliwą kampanję lubelską, a chociaż grzązał też nieraz w piasku to jednak wobec jego małej wagi mogła go zawsze obsługa sama zen wyciągnąć. Oddał on nam dzięki temu nieocenione usługi w służbie łącznikowej, bardzo niekiedy utrudnionej.

Przy sposobności przeprowadzenia automobili przez Wisłę do Zawichostu nawiązałem po raz pierwszy osobisty kontakt z generałem Tertain, dowodcą

x formacji

jednej z kolumn owej tak nieszczęsnej lewobrzeżnej grupy generała Ku mmera . Ze swych pięćdziesięciu bataljonów zupełnie luznych i zle uposażonych rezerwowych¹ wytworzyła ta grupa aż trzy dywizje, które nienadawały się zupełnie do akcji manewrowej, a otrzymały jednak właśnie zadanie aktywnego współdziałania z I armją wzdłuż Wisły.

Dnia 23 sierpnia nad ranem padł pierwszy strzał armatni ze strony XII dyw. a oddał go osobiscie dowódca 2 baterii polowej, dzielny por. Büttlinghaus, rozpraszając nim szwadron kozaków, którzy jadąc do Annopola spuszczaali się poprzez stromy brzeg w dolinę ku granicy, widoczni przez to jak na dłoni, mimo dość znacznej odległości.

Wkrótce potem wkroczyły kolumny XII dywizji, przy dźwiękach wszystkich orkiestr pułkowych, linię kordonu dzielącego polską ziemię między dwa zabory, znaczną na tem pustkowiu licznymi słupami granicznymi, na których widniały rosyjskie dwugłowe orły.

Stanął mi żywo w pamięci moje dziecinne lata i marzenia o wkroczeniu kiedyś z mszczącym orężem na tę ukochaną ziemię, którą rodzicom moim przed laty rząd Aleksandra III niegodziwie i brutalnie opuścić kazał.

Uczułem wtenczas taką radość i dumę, trochę może dziecinną, że ujrawszy panoszącego się na grubym słupie dębowym na skraju lasu czarnego dwugłowego orła, symbol nienawistny carskiej Rosji, niemal odruchowo dobyłem pistoletu i z konia wypaliłem parukrotnie w piers tego drapieżnika.

Znalazłszy odpowiednie wzniesienie na zachód od wioski Wymysłowo-^ó-
zsiadliśmy wraz z całym moim sztabem z koni, a ja ustaliłem (- 2o2
odrazu mój punkt obserwacyjny. Równocześnie kolumny piechoty, zadysponowane w głąb lasu, kierując się na północ, ku wódocznemu dobrze wysokiemu brzegowi wyżyny lubelskiej, przekraczały gęsto zalesioną nizinę rozciągającą się u stop naszych. Przygotowywaliśmy się do akcji na wszelki wypadek, gdyż wywiad 3 dywizji kawaleryi wysuniętej przed kilkoma dniami przed front I armji, dał był dotąd tylko ogólną wiadomość o rosyjskich oddziałach napotkanych na tym brzegu, a dopiero teraz pod osłoną nadciągającej właśnie piechoty, zamierzała ta kawalerya ryzykować przekroczenie zasłony lesnej, przed którą wskutek swej lekkomyślności poniosła była kilka dni temu tak ciężką porażkę. Natomiast raporty moich artyleryjskich obserwatorów, wysuniętych wraz z piechotą na północny brzeg lasu, mówiły już o obsadzonych i częściowo odrutowanych rowach strzeleckich, rozciągniętych wzdłuż góscinca prowadzącego z Goscieradowa do Annopola, umieszczonych nieco na północ od niego, idących właśnie samym brzegiem wyżyny.

Przygotowywaliśmy się zatem własniemi otwarcia ognia armatniego, gdy ogromne obłoki kurzawy od strony wsi Mniszek oznajmiły nam zbliżanie się licznej jazdy austriackiej.

Piękne pułki 3 dywizji kawaleryi przedelfilowały też niebawem u stop naszych góscincem poprzez wies ku północy w stronę Goscieradowa, jadąc wyciągniętym lecz równym kłusem, z przednią strażą wysuniętą zaledwie na kilometr przed główną kolumnę. Zdawało się iż chcą tym pospiechem powetować swą dziwną dotychczasową bezczynność, lecz za to parli jakby bezwiednie całą swą masą wprost na wzmocnione rosyjskie stanowiska.

Wiadomem mi było z dyspozycji korpusnej, że zadaniem owej dywizji kawaleryi miała być w dniu tym osłona naszej lewej flanki połączona z przesunięciem się w stronę Annopola, ponieważ pozostawanie jazdy przed naszym frontem stawało się już obecnie całkiem zbyt bezczynnem. Spodziewaliśmy się jednak, że ruch ten odbył się już wcześniej wzdłuż granicy i południowego brzegu lasu, a jeżeli następuje obecnie dopiero, to winien być wykonany poza frontem piechoty, a w żadnym razie pomiędzy nią a skonstatowaną już pozycją rosyjską.

Widząc więc, że cała ta wspaniała kolumna zamiast skrócić sobie odrazu drogę przez las ku zachodowi i wglębioną nieco niziną przejść niespostrzeżenie i bez strat na zewnętrzne lewe skrzydło, kieruje się najzupełniej niepotrzebnie w pewny ogień nieprzyjacielskiej piechoty, kazałem stojącemu przy mnie ordynansowemu oficerowi porucznikowi Biesiadeckiemu, dosiadc czemprędzej konia, zaraportować dowódcy dywizji o skonstatowanych już przez nas rosyjskich pozycjach i skłonić go temsamem do obrania zakrytej drogi przez las, którą wskazałem mu jeszcze sam ręką w terenie, dla uniknięcia możliwej pomyłki.

Oficer mój, pomimo iż ruszył odrazu galopem, niezdążył już wyprzedzić na czas tej ostro kłusującej kolumny i dopędził dowódcę generała Brudermanna, jadącego na czele przedniej straży, dopiero w chwili, gdy cała jego dywizja skręcała na trakt wiodący do Annopola, w odległości jakich tylko 700 kroków od linii rosyjskich, i została zaszypana silnym ogniem karabinów maszynowych.

Zastał on przytem generała zajętego nie kierowaniem swojej kolumny wprowadzonej tak nieopatrzenie w niebezpieczną sytuację, lecz uspakajaniem jakiegoś żołnierskiego konia, zdenerwowanego odgłosem strzałów i gęstym poswisaniem kul. Gdy porucznik Biesiadecki chciał zdać swój pilny raport, nogi jego konia wplątały się w druty telegraficzne zestrzelone mocno gorującym ogniem rosyjskim.

Wtenczas generał Brudermann, zsiadłszy najspokojniej z konia, pomógł mu uwolnić się najprzód z tych drutów, a dopiero potem pozwolił sobie złożyć nareszcie służbowy meldunek. Lecz i wtenczas jeszcze, zamiast wyprowadzić swą kolumnę z piekielnego ognia i skryć ją w terenie, co było wciąż jeszcze łatwym do wykonania, generał Brudermann pozostał w danej sytuacji najzupełniej niepotrzebnie, jak gdyby wiedziony szałem ze swą dywizją jednak na gościncu, i jak na paradzie, równym kłusem w marszowej kolumnie, defilował dalej heroicznie z całą tą jazdą w obranym raz przez siebie tak niekorzystnym kierunku.

Jedynie zdziwieniu i osłupieniu rosyjskich żołnierzy, zaskoczonych tak niebywałym widokiem, należy przypisać, że ich pospiesznie oddawany masowy ogień przenosił przeważnie jeźdźców kłusujących spokojnie dalej, dzięki czemu dywizya kawaleryi poniosła minimalne stosunkowo straty w zabitych i rannych, ograniczone przeważnie tylko do lekkich kontuzji i zadrasnień tak ludzi jak koni.

Brawurowa ta defilada dała nam prawdziwie niezrównany widok, przeszkodziła natomiast zarazem w otwarciu ognia, a nawet w rozpoczęciu zarządzonego już poprzednio wstrzeliwania się moich pojedynczych baterji. Jedynie piechota wyzyskała ten czas dla całkiem niepostrzeżonego zbliżenia się od północnego skraju lasu ku gościncowi i rosyjskim okopom, zajęтым zupełnie ostrzeliwaniem jazdy.

Baterjom moim przeznaczyłem wprawdzie odrazu odpowiednie odcinki frontu rosyjskiego skonstatowanego naprzeciwko nas, udało mi się jednakże nakłonić dowódcę dywizji, by z ogólnym atakiem poczekał aż do chwili, gdy wysłana uprzednio lewa kolumna przekroczy Annopol i będzie mogła współdziałać flankującą na prawe skrzydło oszancowanego przed nami w terenie przeciwnika, a to dlatego że frontalnym naszym ogniem artyleryjskim niemogliśmy mu zadać poważnych strat dopóki chronił się on tak wygodnie w swoich okopach położonych na stokach bardzo przetrzebionego lasu i dokładnie widocznych.

Przydzieliwszy do owej lewej kolumny dywizyon mego dzielnego majora Hoffmana, liczyłem również i na duży efekt jego flankującego ognia armatniego to też chciałem koniecznie czekać na to poparcie. Tymczasowo innym baterjom zezwoliłem jedynie na wyposrodkowanie za pomocą pojedynczych strzałów dystansów dzielących je od przydzielonych im odcinków i kazałem czekać na moją rozkaz dla otwarcia ogólnego ognia, który wrazie ukazania się rosyjskiej artyleryi pragnąłem odrazu na nią skoncentrować. (patrz szkic 1)

Obserwując następowanie tej lewej flankującej kolumny, które wydawało się nam aż nazbyt powolnem, oczekiwaliśmy zatem wraz z całym sztabem w wielkim napięciu nerwów owej chwili, w której będzie można nareszcie nakazać ogólny atak piechoty, przygotowanej już zupełnie i wyczekującej dość niespokojnie w terenie wsparcie jej akcji jednoczesnym a wydatnym ogniem działowym.

Słońce przechodziło już z wolna na zachodnią stronę widnokregu i skwar stawał się mniejszym, a niemogliśmy jeszcze wypatrzeć owej kolumny mającej debuszować od Annopola. Dopiero między godziną trzecią a czwartą popołudniu, gdy po zjedzeniu wziętych do kieszeni bułek z szynką i po picciu herbata z termoforu, stojąc na wzgórzu na południe od wsi Wymysłowa, obserwowałem bacznie stronę Annopola, dał się zauważyć około lasku położonego dość daleko na wschód od miasteczka koło folwarku Stary, jakiś większy ruch, przerywający dotychczasowe tak denerwujące wyczekiwanie.

Przez moje doskonałe szkła rozpoznałem tam zaraz zaprzęgi artyleryjskie wysuwające się szybko z lasku, a niebawem i moi dowódcy grup rzucili się do swoich aparatów i zaczęli prosić o pozwolenie otwarcia ognia na tę artyleryę jak mniemali rosyjską, ukazującą się tam nareszcie. Gorączkowe rozkazy sztabu dywizji domagały się również natychmiastowego otwarcia ognia na te tak dobrze widoczne cele, lecz ja niechciałem zdradzać zbyt wczesnie pogotowia mej artyleryi, przekonany zresztą, że jeśli baterje rosyjskie pokazują się tak otwarci, to ustaliwszy się na pozycjach w żadnym razie wymknąć się nam już nie zdołają. Nakazałem więc na razie dwóm grupom dywizyjnym przygotować się do otwarcia ognia, lecz zastrzegłem sobie jeszcze ostateczne nakazanie jego rozpoczęcia, gdyż miałem pewne wątpliwości co do istoty tego celu, który mieliśmy przed sobą. Obserwując bowiem dalej doliczyłem się jedynie dwanaście zaprzęgów w dwóch grupach bateryjnych, podczas gdy rosyjanie powinni byli ukazać się w grupach po szesnastu zaprzęgów, gdyż baterje ich liczyły każda

po osiem dział, a nie po szesc jak austriackie. Nalegajacemu wiec na mnie szefowi sztabu dywizyi, oraz denerwujacemu sie juz nawet memu dzielnemu pomocnikowi podpułkownikowi Schöffferowi odpowiedzialem, nadejmujac lornetki od oczu, ze nieuwazam za wykluczone iz obserwowana przez nas artylerya moze byc wlasnie dywizyon naszego ryzykanta Hoffmana wjezdzejacy formalnie na tyly rosyjskie, ze dlatego czekac bede z otwarciem ognia jeszcze w kazdym razie chwil kilka.

Po paru minutach mielismy juz potwierdzenie tego mojego przypuszczenia. Ujrzelismy wyraznie, tam pod laskiem szereg swiecacych sie w sloncu dwunastu luf armatnich odwracajacych sie rownoczesnie ku nam, a w pare sekund potem blysk dwunastu wystrzalow i ukazanie sie tyluz czerwono zabarwionych obloczkow w samym srodku rosyjskich pozycji, co niepozostawilo nam zadnych juz watpliwosci, ze istotnie major Hoffmann znajduje sie ze swemi dwoma bateriami przydzielonemi do lewej kolumny, juz nie na flance, ale wprost na tyłach rosyjskich okopow.

Długie oczekiwanie bylo wiec sownie wynagrodzonym, i w jednej chwili zapomniat kazdy o swem poprzednim zniecierpliwieniu.

Niebawem zagrały też wszystkie nasze armaty, zasypujac przeciwegle rowy strzelcow rosyjskich gradem pociskow, a gęste linje krakowskiej piechoty, porwane zapałem rzucily sie odrazu z impetem do rozstrzygajacego natarcia. Widok jaki przedstawial ten atak byl prawdziwie wspanialym, a wydal sie nim moze bardziej jeszcze imponujacym po dlugich godzinach oczekiwania a takze i w podnieceniu tego dla nas wszystkich pamietnego dnia pierwszej bitwy w tej gigantycznej wojnie.

Zapał bojowy ogarnal wszystkich. Tak sztab dywizyi, jak i podwladni mi nawet dowodcy a nawet obserwatorowie chcieli natychmiast posunac sie naprzod, musialem ich jednak powstrzymac jeszcze czas jakis na naszym korzystnym punkcie obserwacyjnym, dokad wszystkie linje telefoniczne byly zalaczone a organa pomocnicze znaly juz kierunek i droge. W chwili gdy atakujaca piechota zblizyła sie juz do okopow, trzeba bylo powstrzymac chwilowo ogien armatni, a potem przełozyc go na dalszy dystans, aby nie narazic jej na tak bardzo demoralizujace, chociazby tylko przypadkowo strzaly wlasnej artyleryi.

Zarządziłem wiec tymczasem posunięciem naprzod schodami baterijnymi, w czasie ktorego oznajmiły nam juz głosne okrzyki o zwycieskim wtargnięciu krakowskiej piechoty w rosyjskie okopy.

Wydawszy wiec memu zastępcy podpułkownikowi Schöffferowi rozkaz obserwowania ze swą grupą haubic całego frontu i wspomagania piechoty w razie potrzeby lub możliwego kontrataku nieprzyjaciela, zleciłem telefonicznie drugiej grupie trzech baterji polowych, stojacej bliżej Annapola, posunięcie wszystkich swych dział na tamtejsze wzgorza, aby mogły lepiej wspierac dalszą akcję, a ewntualnie wziac i czynny udział w poscigu. Sam udałem się rowniez natychmiast na wyznaczone dla tych polowek miejsce w pobliżu wsi Opoka Duża, a wyprzedzając je wraz ze scisłym sztabem stanąłem niebawem pierwszy na szczycie owych wzgorz na wschod od Annapola, odznaczajacych się z daleka jedynym widocznym w tej okolicy wiatrakiem. Pomimo zachowania należytej ostrożności i odpowiedniego ukrycia mych koni, zostałem tam od razu przywitany ostrymi szrapnelami rosyjskimi pierwszymi z jakimi wówczas się spotykałem, a z ktorych cztery pekło wprawdzie dosc wysoko, ale za to bardzo dokładnie nad głową moją i mego adjutanta. Dotychczas niebyły się jeszcze odezwały żadne rosyjskie armaty, byłem też niemało zdziwionym, skąd tak prędko mogły one odkryc miejsce w ktorem się znajdowałem. Jednakże zaraz w następczej chwili zauważyłem pod osobno stojącym drzewem, wyraznie zarysowujacem się na połnocnym stoku wzgorza, zwartą grupkę oficerow austriackich, a opodal w krzakach całą masę ludzi oraz koni kawaleryjskich, ktorym posłali rosyjanie też zaraz nową porcyę szrapneli, lepiej tym razem do nich skierowaną.

Zagadka była zatem wyjasniona. Oni to sciagnęli pociski w tę strone, zajmujac najzupełniej niepotrzebnie wlasnie ten teren, ktory był dla moich obserwatorow jedynie nadajacym się i koniecznym.

Huknąłem wiec na nich tonem mocno podniesionym, aby się czempredzej ztamtąd wynosili, lecz na odgłos mych słow, niezupełnie grzecznych, powstał z pod drzewa chudy, elegancki generał, w ktorym poznałem odrazu generała Brudermanna, rangą znacznie starszego odemnie, będącego wlasnie dowodcą tej 3 dywizyi kawaleryi, ktora nam wlasnie rano takie urządziła widowisko. Podeszedłszy ku niemu prosiłem go zatem o wybaczenie ostrego tonu mej przemowy, tłumacząc iz wziąłem jego sztab za patrol jazdy, ktory narażając

siebie niepotrzebnie zabiera nam właśnie ow jedyne dla nas odpowiednie punkt obserwacyjny. Zaczyna generał Brudermann nie wziął mi jakos za złe tej pomyłki, gdyż był prawdziwym gentlemanem w każdym calu, więc choć stanowił typ oficera wyłącznie kawalerzysty, taktycznie niestety zbyt mało wyszkolonego, błąd swój wyczuł od razu i chciał go zaraz naprawić.

Poskarżył mi się następnie że wyższe dowództwa już od tygodnia pędzą jego dywizję jak gdyby ona była jakimś małym podjazdem, że kazano mu się przeczekać od lewego do prawego skrzydła, a teraz znow od prawego ku lewemu tak że otrzymawszy ze znacznym opóźnieniem rozkaz przejścia w rejon Annopola, musiał w końcu niechcąc przcinać naszych kolumn marszowych, przejechać przed naszym frontem, a temsamem i pod ogniem karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Dodał zarazem że zmęczona jego dywizja potrzebuje już koniecznie jakiegoś nareszcie wypoczynku, szczególnie ze względu na znaczną liczbę lekkostrzelnych ludzi i koni.

Nie mogłem powstrzymać się od zapytania czy mój ordynansowy oficer złożył mu swój raport, i czy rozmyślnie nieskorzystał on z przesłanej w ten sposób przezemnie propozycji przeprowadzenia korzystniejszego swej dywizji zakrytą, całkiem drogą lesną.

Generał odparł mi nato, z pewnym zakłopotaniem, że dostawszy się tu raz w ogień na tym goscincu, nie mógł już ze względu na dyscyplinę zboczyć w teren, gdyż wyglądałoby to na chęć uniknięcia strat, do czego niechciał żadną miarą przyzwyczajając swych żołnierzy już od samego początku, i że szczęściem mimo wszystko, straty nieokazały się w końcu tak licznymi jak zrazu przyszczano. Obiecał mi najchętniej usunąć się natychmiast z zajmowanego dotychczas wzgórza, prosząc przytem o radę, gdzie mogłby, stosownie do sytuacji, umieścić swą dywizję dla zapewnienia jej tak koniecznego odpoczynku.

Uradowany, że pozbędę się tej masy jeźdźców, taktycznie na razie zupełnie bezużytecznej a zamykającej tylko dostęp dla nadciągających już baterii, wskazałem mu okolicę na północ od Annopola w kierunku na Jozefow, jako leżącą na flance XII dywizji piechoty, która rozciągnęła się była właśnie po sam Annopol, i radziłem, by zjechałszy ze wzgórz, zajętych przez nas już całkowicie, przeprowadził tam jazdę swą dołem i drogą zakrytą, a wolną jeszcze oraz nikomu na razie niepotrzebną.

Miałem jednak jeszcze pewne trudności z nadzwyczaj zdenerwowanym szefem sztabu tej dywizji jazdy, podpułkownikiem Dragonim, który chciał odmaszerować ten rozpocząć od wsiadania na koni całej tej masy na wzgórzu samym, i ustąpił dopiero po kategorycznym moim żądaniu, by konie sprowadzono aż na doł, ścieżką zakrytą krzakami, a potem dopiero pozwolono żołnierzom wsiadać na nie. Później doniesiono mi jednak jeszcze, że cała ta jazda, zamiast zakrywać lewą flankę przez zajęcie okolicy którą wskazałem, rozłożyła się na łąkach między Wisłą a Annopolem, tamując wszelkie ruchy dywizyjnych taborów i zakładów, a prócz tego, na skutek zdenerwowania po przebytych silnych wstrząsach i licznych stratach dnia tego, co chwila nocnymi strażami alarmowała i niepokoiła sąsiadów.

Pozbyliśmy się ich na dobre dopiero następnego dnia na podstawie kategorycznego rozkazu dywizyjnego, zmuszającego upartego szefa sztabu tej kawalerii do odmaszerowania wprost pod Jozefow.

Miałem w wydarzeniach tego dnia dobitny obraz marnowania tak świetnego materjału, jaki stanowiły bezsprzecznie ówczesne pułki austriackiej kawalerii, już od samego początku, nawet przez tak szlachetnych i dzielnych dowódców, do jakich należał stanowczo młodszy generał Brudermann, a to z powodu iż nie znalazł on ani potrzebnej pomocy w pracy operatywnej, ani koniecznego, taktycznego wsparcia w swym szefie sztabu, zwanym i bez podstawnie zarozumiałym podpułkownikiem Dragonim. Tak osobiscie dzielny generał byłby przy współpracy rozsądnego i zdolnego szefa sztabu oddał niechybnie armii ni nieocenione usługi, a zaraz w akcji dnia tego mógł odrazu zamiast niszczyć swe siły bojowe w brawurowej a zbytecznej defiladzie pod ogniem rosyjskim zachować je za pomocą normalnego marszu w całości aby po zajęciu przez piechotę XII dywizji rosyjskich okopów, rzucić swe pułki w pościgu z flanki na cofające się już kolumny wroga i spowodować przez to z łatwością ich klęskę.

Tymczasem rosyjanie, zaskoczeni tak niespodziewanie z flanki i od tyłu ostrym ogniem działowym dzielnego majora Hoffmana, któremu udało się przypadkiem pierwszymi odrazu salwami zestrzelać i rozbić ich wyższe sztaby, opuścili bez wielkiego oporu swe doskonale rozbudowane rowy strzeleckie, pozostawiając nam z gorą półtora tysiąca jenców. Przy tem artylerja ich, jak i wszystkie tabory uciekające w popłochu, ugrzęzły w piachach i bagnistych przejściach rzeźni Wyżnicy i tkwiły w nich aż do następnego ranka

więc byłyby się stały wraz z resztą oddziałów łatwym łupem austro-węgierskie kawaleryi, gdyby ta była dnia tego jeszcze zdolną do jakiegokolwiek użycia.

Zdążyliśmy oddać zaledwie jeszcze tylko kilka strzałów na znikające szybko w lasach linje tyraljerow rosyjskich, lecz zato otrzymaliśmy nawzajem, jakby na pożegnanie, w pobliżu wiatraka widocznego z daleka, dwa pojedyncze ciężkie jakies granaty. Po wydaniu przez dywizję zarządzen wstrzymujących bezładny poscig na zdobytych rowach strzeleckich, miałem czas zaspokojic moją ciekawosc i zwiedzić chociaż pobieżnie teren tej pierwszej w mem życiu a ~~prx~~ przytem zwycięzkiej potyczki. Kazałem sobie podac świeżego konia, kupioną właśnie w Dzikowie folblutkę "Minerwa" i przejechałem najpierw wzdłuż gościnca, obok ktorego odbywało się przed chwilą starcie. Trupow oczewiscie jeszcze nie pochowano, mogłem więc skonstatowac że z szeregow austriackich znajdowało się ich tam bardzo niewiele, a stosunkowo nieznaczna była rownież i ilosc rannych, ktorych odwożono właśnie traktem do Annapola.

Przejeżdżając potem wzdłuż zdobytych okopow wkopanych głęboko w piaszczysty teren i wyzyskujących doskonale jego naturalną pagorkowatosc, byłem rownież zdumiony stosunkowo bardzo małą ilością strat rosyjskich. Tylko w jednym miejscu, posrod dużej wyrwy piaskowej, leżało blisko siebie kilkanascie trupow oficerskich, a przy nich wierzchowe konie, zabite tam widocznie wraz z nimi przez pierwsze niespodziewane salwy majora Hoffmana. Jency, ktorych wy-
pytywałem, opowiadali mi, że sztaby obu brygad dywizyi strzeleckich zostały właśnie w chwili wydawania rozkazow zaskoczone od tyłu tymi pociskami i wyginęły prawie w całosci.

Skutkiem więc braku zarządzen w czasie walki zapanowała kompletna dezorientacya, ktora przemieniła się w panikę, gdy ukazały się wkrótce podeszłe już blisko, linje atakującej piechoty, pracę z ogromnym impetem i rzucającej się w ogien wedle ich okreslenia, niegorzej od istotnych "dyabłow". Zauważyłem przytem, że większa część jencow odpowiadała nadzwyczaj chętnie po polsku, i idowiedziałem się że byli to ludzie pochodzący z okolic Kielc i Radomia, pozdrawiałem ich więc już potem w przejeździe wyłącznie po polsku, a oni uformowani do marszu w kolumny, odpowiadali mi radosnie charakterystycznym w wojsku rosyjskiem zbiorowym sposobem powitania.

Miłą była dla mnie w czasie tego objazdu radosc i wdzięcznosc z jaką odnosiły się zwycięzkie oddziały piechoty do mnie i mojej artyleryi, za tak wydatną pomoc udzieloną im w czasie tej walki.

Niemozna więc było wówczas przewidywac, że w ciągu najbliższych dni będzie ta pomoc tak szkodliwie zbagatelizowaną, i to nawet przez dowodcow tych samych oddziałow, ktorym pod Annapolem umożliwiła ona tak łatwym, bo niemal bezkrwawe zwycięstwo.

Wrociwszy dopiero o zmroku do Annapola, zastałem wprawdzie cały sztab dywizyi w radosnym nastroju, jednak po pierwszych objawach entuzjazmu wywołałem nego własnem zwycięstwem, wyczułem pewien żal co do zbyt przeważającego w niem udziału artyleryi, i co ciekawsze jeszcze, jakby pewną obawę, że wobec małych strat ~~wraga~~ atakującej piechoty i niezbyt wielkich strat wroga, piękne to zwycięstwo będzie zapewne "u gory" mocno zlekceważonem.

Dowiedzieliśmy się pozniej dopiero, że niemal równocześnie gdysmy byli zajęci tą walką pod Annapolem, na wschod od nas rozgrywała się poważniejsza bitwa całej reszty I korpusu w okolicy na południu od Krasnika.

Przebieg jej był też nadzwyczaj ciekawym, gdyż 23 sierpnia w pierwszym dniu walki 46 dywizyi obrony krajowej, atakująca frontalnie z wielkim rozmachem lecz bez należytego przygotowania i poparcia artyleryi, poniosła była tak ciężkie straty, że znajdujący się właśnie wówczas przy niej dowodca korpusu, ulegając wrażeniu klęski, ktora widział z tak bliska, uważał całą akcję za zupełnie daremną i zamierzał nawet nakazac już odwrot ogolny. Powstrzymał go od tego jedynie młody oficer sztabu jego kapitan Frank, tłumacząc że dopoki nie nadejdą raporta od XII dywizyi walczącej pod Annapolem ~~im~~ od V dywizji maszerującej na Lisnik Duży w rejon pomiędzy Goscieradowem a Krasnikiem powzięcie tak stanowczej decyzji, niejest jeszcze niczem uzasadnionem, tembardziej że nie uprawnia do tego i zachowanie się nieprzyjaciela, wyczekującego dalszych wypadkow całkiem biernie w swych okopach.

Uzyskawszy nareszcie na skutek ostrego przeciwstawienia się lamentującemu szefowi sztabu, od zupełnie w tej chwili zdeprymowanego dowodcy korpusu przynajmniej pewne opoznienie w wydaniu tak niefortunnego rozkazu odwrotu, podjął się kapitan Frank odszukania osobiscie V dywizyi, w ich mniemaniu zabłąkanej, i przyprowadzenie jej co rychlej na pomoc. Otrzymałszy pisemny rozkaz dla tejże dywizyi nakazujący natychmiastowe przyjscie z pomocą już pobitej ~~XI~~ 46 dywizyi, a to przez najspieszniejsze wycofanie się ku południowemu wschodowi, pojechał dzielny ten oficer konno, już o zmroku, samo-

trzec na poszukiwanie owej zabłąkanej V dywizji.

Po dłuższem i trudnem szukaniu, wśród ciemnej nocy i w nieznanym terenie znalazł on ją nad ranem na biwaku w Budkach niedaleko Lisnika, a zatem już na flance, a nawet prawie na tyłach oddziałów rosyjskich, pozostających wciąż jeszcze biernie w swych okopach na wysokości Węglina.

Osądzając należycie całokształt sytuacji, dał on po objasnieniu ogólnego położenia, na własną odpowiedzialność tej dywizji zamiast przysłanego na piśmie rozkazu cofnięcia się bez walki ku południowi, całkiem przeciwne ustne polecenie natychmiastowego natarcia na tyły rosyjskie.

Zarządzeniem tem spowodował dopiero owe poważniejsze zwycięstwo pod Krasnikiem. Wroczył bowiem do dowództwa korpusu jeszcze na czas by je uprzedzić o tem, że dywizja V znajduje się na flance i tyłach rosyjskich i właśnie w tej chwili tam atak swój rozwija, a przeto zmusił sztab korpusu, zwątpiały już zupełnie i zastraszoney wznowionym od rana pod Krasnikiem ogniem armatniem, do pchnięcia poturbowanej poprzedniego dnia XLVI dywizji na poczynającego się już cofać nieprzyjaciela.

Pełne zwycięstwo osiągnięte dnia tego i duże straty jakie poniosł przeciwnik, były więc faktycznie zasługą energicznej i zuchwałej może nawet, lecz zupełnie uzasadnionej samoistnej decyzji tego utalentowanego młodego oficera. Nieotrzymał on krzyża Maryi Teresy, na który wówczas rzetelnie zasłużył, dlatego jedynie, że zbyt wielu wyższych dowódców byłoby się musiało przy tej sposobności przyznać do zupełnego zwątpienia a nawet karygodnej małoduszności.

Nastój zdeprymowania jaki opanował był 23 wieczorem dowództwo I korpusu odbił się również szkodliwie i na dalszym sukcesie jaki mogło osiągnąć jeszcze zwycięstwo pod Annopolem, gdyż pierwsze alarmujące wieści o porażce oraz o ciężkich stratach XLVI dywizji, połączone z zapowiedzią grożącego z tej racyi ogólnego odwrotu, wstrzymały XII dyw. od energicznego i natychmiastowego poscigu na całym froncie.

Natomiast jest niewątpliwem, że krotki jej raport wieczorny o odniesionem dnia 23 sierpnia zwycięstwie przyczynił się znowu niemało, wraz z energiczną interwencją kapitana Franka do tego iż zdenerwowany dowódca korpusu przetrwał jeszcze tę niebezpieczną noc z 23 na 24 sierpnia bez wydania rozkazu odwrotu, który mógł spowodować nieobliczalne wprost skutki.

Bo cofnięcie się I korpusu byłoby odrazu wywołało zatrzymanie się na całym froncie obu armji austro-węgierskich, rzuconych przez granicę z takim rozmachem, a więc spowodowało natychmiastowe i zupełne załamanie się całej ówczesnej ofensywnej akcji.

Zasługi poszczególnych dowódców ujawnione dnia tego, zostały później przez najwyższe władze w ten sposób nagrodzone, że dowódca I korpusu, który właściwie bitwę tę pierwszego dnia przegrał i nie był nic temu winien, że nie zakończyła się ona prawdziwą klęską, otrzymał wielką wstęgę żelaznej korony; generał Scotti, naprawdę zasłużony śmiałym ruchem i energicznym natarciem swej V dywizji, wysoko cenioną drugą klasą Leopolda, mój dywizjoner za prawdziwie piękny sukces pod Annopolem już tylko drugą klasą żelaznej korony, zaś kapitan Frank, który los bitwy pod Krasnikiem rozstrzygnął, jedynie trzecią klasę tegoż orderu, zaś major Hoffman na razie tylko zwykły wojskowy krzyż zasługi. Późniejsza moja interwencja celem uzyskania dla obu tych ostatnich najpiękniejszego odznaczenia wojskowego, krzyża Maryi Teresy, na który w pełni zasłużyli, nieodniosła skutku.

Po owej nocy w której pod świeżem wrażeniem pierwszej bitwy i pierwszych również poniesionych choć nielicznych ale zawsze przykrych strat, mało kto spał prawdziwie, a którą przerywało zresztą przepytywanie przyprowadzanych wciąż jencow, słysząc od rana silny ogień armatni od strony Krasnika, wysunęliśmy przedewszystkiem przednie strażę pod Książomierz, grupując się do odmarszu tak w kierunku poprzednim, t.j. ku północy, jak i w kierunku północno-wschodnim, celem ewentualnego niesienia pomocy naszym sąsiadom.

Jednakże przesadnie ostrożny dowódca dywizji, mimo nalegań z mej strony, niechciał posunąć się dalej bez rozkazu. Dopiero koło południa nadeszły wiadomości o cofnięciu się Rosjan przed I korpusem na Krasnik, a przytem otrzymaliśmy i krotkie zlecenie energicznego poscigu dalej ku północy.

Nie tracąc czasu na żadne przegrupowywania, wydano więc tylko pospiesznie obiad i ruszono zaraz w skwarny dzień pieszczymi drogami, kierując się ku dwom najbliższym przejściom przez błotnistą rzeczkę Wyżnicę pod wsiami Boiskami i Dzierżkowicami. Przednia straż idąca przez Książomierz, tworzyła przytem słabszą prawą kolumnę, a reszta dywizji, idąca przez Grabówkę, silniejszą lewą.

Przekroczywszy dolinę Wyżnicy, w której natknęliśmy się na widoczne ślady

panicznej rosyjskiej ucieczki, zatrzymano dywizję na nocleg, gdyż skutkiem ciężkich warunków marszu pora była już bardzo spóźnioną. Sztab stanął w skromnym dworku szlacheckim w Grabowce, którego właściciele, dwoje starszaków, przyjęli nas z tak widocznym przerażeniem, że spytałem ich od razu o przyczynę tegoż. Usłyszawszy moje nazwisko i upewnieni że jestem Polakiem, przyznali mi się, że boją się Kozaków, którzy wprawdzie przed nami uciekli ale wroczą z pewnością i na nich mścić się będą, gdyż służba doniesie niechybnie, że państwo gościli Austriaków, i że im sprzyjają. Prosił więc by im do każdej rzeczy której potrzebować będziemy wydawano "nakazy" co uchroni ich od ewentualnego pociągnięcia do surowej odpowiedzialności. Wyjaśniłem więc z pewnym co prawda trudem tak dowodcy jak i oficerom sztabowym, tę przymusową i właściwie tragiczną sytuację gospodarzy i uzyskałem, że wyrażano im nadal wszystkie życzenia w formie kategorycznych rozkazów, o ile możliwości nawet na piśmie wydawanych. Przypilnowałem również, by wszystkie przedmioty rekwizycyjne były natychmiast płacone, lub w razie niemożności przynajmniej najformalniej kwitowane, i by od razu zakazywano surowo wszelkich nadużyć i przesładowań. Miałem bowiem sam sposobność zaraz w czasie tego właśnie nawet marszu przekonać się naocznie, jak się tego rodzaju bezprawia odbywają. Nadjechałem był do wioski Suchej Woli w chwili gdy gruby podoficer rachunkowy jednego z marszowych bataljonów przydzielonych do XII dywizji, wyrwał przemocą wątłej kobiecie otoczonej liczną drobną dziatwą ostatnią jej nędzną krowinę, a zamiast uiszczyć zapłatę, chciał brutalnym kopnięciem pozbyć się lamentującej właścicielki. Bardzo energiczny sposób, w jaki przerwałem tę oburzającą scenę uratował oczywiście krowę od rekwizycji i całą tę rodzinę od dalszego przesładowania, lecz żałowałem później, że niekazałem od razu rozstrzelac owego rabusia dla dania wszystkim odstraszącego przykładu, gdyż tylko bezwzględne tępienie od samego już początku tego rodzaju nadużyć, mogło być ochronić ludność od późniejszych tak licznych i ciężkich przesładowań i grabieży. Smutne te objawy stały się zresztą z biegiem czasu liczniejszymi i z tego powodu, że o ile z początku załatwiali zakupy fachowi oficerowie i podoficerowie intendantury czyniąc to według przepisu za gotówkę, później wobec coraz większego braku specjalistów posługiwały się oddziały nieraz dorywczo zwykłymi podoficerami a nawet i żołnierzami, którzy często nie zasługiwali na zaufanie, a zatrzymując znaczną nieraz gotówkę dla siebie, wydzierali ludności bez zapłaty ni kwitu wszystko co tylko zabrac się dało. A że twarde życie wojenne u wielkiej części ludzi prostych potęguje drzemiące w człowieku prymitywnym dzikie instynkta, wypadki takie stawały się niestety coraz bardziej ogólnymi.

Drugim przykrem zagadnieniem była sprawa grzebania zabitych, gdyż przy kolosalnej ilości późniejszych strat, nie było nieraz można pochować odpowiednio własnych nawet poległych, niemówiąc już o przeciwnikach.

Raz tylko jeden w czasie całej tej wojny, właśnie po tych pierwszych walkach pod Annopolem widziałem pogrzeb oficera nieprzyjacielskiego z pełnymi honorami wojskowymi, a mianowicie chowano tamże starszego rotmistrza rosyjskiej gwardii barona Medema, który wyprzedziwszy swój szwadron zapędził się był na doskonałym koniu za patrolem austriackim aż w same opłotki Annopola i zginął tam z ręki jednego z wachmistrzów ułanskich.

Lecz dla pochowania oficerów sztabu rosyjskiego poległych w tamtejszych okopach i wówczas nawet nie stało nam już czasu przed wymarszem z Annopola, a późniejsze szybkie działania wojenne nie dozwalały tembardziej na taką zwłokę.

Grzebania zmarłych dokonywała więc przeważnie ludność okoliczna, korzystając przytem z poważnych nieraz łupów przy nich znajdujących, tak że drugi ten straszny objaw zdziczenia powodowanego wojną, t.j. ograbywanie zabitych, a co najgorsza jeszcze i zwierzące nieraz dobijanie rannych, stał się poniekąd odwetem gorszych elementów ludności za poniesione zkaż inąd straty i krzywdy. Szczególniej podczas operacji bardziej manewrowych, wymagających szybkich ruchów i wytężonych marszów, mnożyły się oba te straszne przejawy, potęgujące srogą bezwzględność wojny, a niektorzy najporządniejsi nawet dowodcy, przyzwyczajawszy się do nich w czasie marszów, niepotrafili przeciwstawić się tej pladze nawet na postojach, gdzie uporządkowanie tych spraw było zupełnie możliwym.

Nieraz gdy broniłem ludność naszą przed rabunkiem lub nadmiernymi świadczeniami, odpowiadano mi naiwnie w prymitywnej logice " że wojna to nie przelewki" i że jeżeli żołnierz niesie w ofierze swe życie, to i "cywil", a szczególnie nieprzyjacielski poddany, winien również odczuć jej ciężar na swem mieniu przynajmniej. Podobne zapatrywania przyczyniły się oczywiście

do takiego rozwielenienia się nadużyć, i do takiego patrzenia przez palce na nie, że ludność początkowo życzliwa, musiała stać się z czasem prawdziwie wrogą, nawet względem własnych oddziałów.

Niestety także, od samego już nawet początku wojny, wielu oficerów obu stron walczących, pozwalało sobie na branie tak zwanych "pamiątek", które jak n.p. w Zagorzanach, poczęło się od srebrnego nożyka zabranego przez członka jednego z wysokich austriackich sztabowców, a zakończyło zerwaniem ze ścian bardzo cennych gobelinów przez sztab armii Radka Dimitrjewa, lub jak w Przeworsku, gdzie elegancki rotmistrz huzarów węgierskich przywłaszczycywszy sobie bardzo cenną karabelę, nie wstydził się upewnić jeszcze później listownie jej prawego właściciela, że znajduje się u niego ona w największym poszanowaniu jako droga relikwia wojenna, tak dalece uważał on za naturalne swe prawo "zdobywcy".

Na razie zachowywała się jednak XII dyw. może dzięki mojemu naciskowi najzupełniej poprawnie, pilnując skrupulatnie przepisów, a choć ludność Lubelszczyzny odnosiła się naturalnie ze zrozumiałą rezerwą do wkraczających wojsk austriacko-węgierskich, okazywała jednak wiele życzliwości dla nas oficerów i żołnierzy polaków, bardzo licznych w tej dywizji, mimo że miała wszelkie podstawy do obawiania się represji wojsk rosyjskich, skoro te do ofensywy odwrócili się zdołają, i okupowany teren odbiorą. Dopiero nad wieczorem otrzymaliśmy w Grabowce obszerniejszą relację o wielkiej doniosłości "korusnego zwycięstwa" odniesionego na południu Krasnika wraz z rozkazem bardzo energicznego poscigu rozbitych już zupełnie rosjan.

Nakazano więc na dzień 25 sierpnia szersze ugrupowanie poscigowe, od razu w trzech kolumnach, każda po jednej brygadzie piechoty z przydzielonym dywizyjnem artylerii, o godzinach wymarszu możliwie wczesnych, a tak obliczonych, aby wszystkie trzy brygady mogły się poruszać na równej wysokości. Z rozmieszczenia noclegowego w jakim znajdowała się dywizja wynikło przytem nie bardzo szczęśliwie, że przydzielona do niej po przekroczeniu Sanu t.zw. I brygada marszowa korpusu słabo skonsolidowana i mniej ruchliwa od obu brygad normalnych, skierowaną została właśnie na lewą (zewnątrzną) linię marszu, poprzez Boby na Chodel, najsilniejsza zaś prawa grupa, utworzona przez 24 brygadę, pod wysoko wówczas cenionym generałem Zaleskim, otrzymała wraz z dywizyjnem haubic najlepszą drogę przez Urzędów i Ludwinów na Borzechów. Słabszej liczebnie 23 brygadzie za którą postępować miało dowództwo dywizji, dano w centrum kierunek na Ratoszyn i Brzeziny. Wyczuwając jednak pewne niebezpieczeństwo dla lewej flanki kolumny utworzonej z brygady marszowej, do której najmniej można było mieć zaufania, próbowało dowództwo XII dyw. nawiązać co rychlej kontakt z podporządkowaną mu na najbliższe dni 3 dyw. kawaleryi, znajdującą się już od kilkunastu godzin w okolicy Jozefowa, by nakazać jej intensywny wywiad na zewnętrznej flance poprzez Opole na Lublin oraz ściśle współdziałanie dnia następnego z tą lewą właśnie kolumną w akcji poscigowej. Przeprowadzenie tego zamiaru napotkało jednak na nieoczekiwane trudności. Tak na rozkaz armii, podporządkujący ją dowództwu XII dyw. piechoty w celu uzupełnienia poscigu, jak i na wskazówki tegoż dowództwa przesłane jednocześnie przez oficera ordynansowego, odpowiedziała dywizja kawaleryi jedynie że związana silnymi oddziałami nieprzyjacielskimi nie może ruszyć się obecnie z Jozefowa, tembardziej, że konie są nadzwyczaj przemęczone i wymagają koniecznie kilkudniowego wypoczynku.

Alarmowała nas przytem opowiadaniem o silnej akcji rosyjan z zachodniego brzegu Wisły na Jozefów, tak że spowodowała nawet tem znaczne opóźnienie naszego poscigu, który dopiero 26 sierpnia po noclegu sztabu u księdza w Bobach podjęliśmy znów w całej pełni. Mielismy właśnie ruszyć wczesnym rankiem, gdy nam przywieziono odpowiedź 3 dyw. kaw., że Jozefowa żadną miarą ruszyć nie może.

Dowódca XII dyw., oburzony tak widocznym lekceważeniem doniosłości wydanego rozkazu i wiedząc że posuwające się lewym brzegiem Wisły oddziały grupy generała Kummera nie napotykają tam innego oporu prócz dość słabej kawaleryi nieprzyjacielskiej, postanowił zmusić jednak 3 dywizję kaw. pomimo wszystkiego do bardziej aktywnego współdziałania.

Ponieważ z powodu chwilowego rozczłonkowania artylerii byłem nieczynnym i na razie miałem więcej wolnego czasu do dyspozycji, podjąłem się pojechać do 3 dyw. kaw. i wywrzec osobiście nacisk w nakazanym kierunku. Ruszyłem więc natychmiast z kilkoma tylko jeźdźcami w stronę Jozefowa, pozostawiając sztab swój przy dywizji. Choć obaj oficerowie ordynansowi

chcieli jechać zębami, wziąłem ze sobą tylko porucznika Biesiadeckiego i ochotnika Skrzynskiego, poruczając porucznikowi Żelenskiemu opiekę nad moim oddziałem sztabowym oraz nad naszymi koniami zapasowymi.

Po godzinie żwawego kłusowania, gdy ujrzelismy przed sobą wylaniającą się z lasów wstęgę Wisły oraz ogrody i domki Jozefowa, zatrzymałem się na chwilę na wzgórku by przyjrzeć się przez szkła okolicy i zorientować nieco w terenie. Zwróciły wówczas moją uwagę grupki galopujących jeźdźców, a w kilka chwil później ujrzałem wyraźny błysk kilku luf armatnich zwracanych ku nam.

Domyslając się, że jest to konna artyleria austriacka, która poczytując nas za nieprzyjaciół, ma zamiar powitać nas ogniem, pusiłem się wraz z moimi towarzyszami galopem przez głęboki parow ku miasteczku aby zniknąć tym sposobem szczęśliwie z oczu tych zbyt gorliwych wojowników. Po dwóch kilometrach jazdy, pod samym już prawie Jozefowem, natknąłem się dopiero na patrol dragonów austriackich, widocznych z daleka w swych hełmach świecących i kolorowych mundurach, a wkrótce potem i na owych artylerzystach, którzy mnie przed chwilą właśnie pociskami swymi poczęstować chcieli. Wskazali mi (nieco skonfundowani) kierunek na północny wschód od Jozefowa, gdzie miała znajdować się właśnie straż przednia wraz ze sztabem 3 dyw.kaw.

Kłusując dalej spotkałem niebawem dużą kolumnę jazdy maszerującą ku południowi, a mijając ją poznałem wielu dobrych znajomych, przede wszystkim ówczesnego majora Żabę, późniejszego generała wojsk polskich, który na moje pytanie dlaczego kierują się na południe jakby znajdowali się w odwrocie, objasnił mi dopiero, że codziennie muszą jeździć w ten sposób na zmianę dla pojenia koni, i to do pojścia w Wisłę, odległego o kilkanaście kilometrów, przemęczając je tem oddziały bez żadnego słusznego powodu.

Prosiłem zatem brygadiera o natychmiastowe wstrzymanie pochodu tej kolumny oraz wytłumaczenie mi tych dziwacznych zarządzeń.

Dowiedziałem się wówczas, że pod wpływem zupełnie zwarjowanego szefa sztabu pułkownika Dragoniego, dawniej tak spokojny i zrównoważony generał Brudermann poczynił już tracić głowę i z powodu ukazania się jednego tylko szwadronu kozaków po tamtej stronie Wisły, nie przestaje trzymać dywizji od dwóch dni w najbardziej męczącym pogotowiu, każąc jej kręcić się formalnie bez przerwy po najbliższej okolicy samego Jozefowa.

Informacje te były rzeczywiście niezmiernie charakterystyczne i tłumaczyły poniekąd przemęczenie tej jazdy. A gdy udało mi się wreszcie odnaleźć, nie bez trudu, stanowisko sztabu tejże dywizji, znajdował się on właśnie wraz z pułkiem przedniej straży w zarosłach nad samym brzegiem rzeczki, w której wszystkie konie dywizji mogły być łatwo pojone bez wszelkich marszów i na miejscu. Zato przed sztabem tym wznosiło się niedalekie dość znacznie dominujące wzgórze, na którym prócz słabych patroli nie ustawiono żadnego innego ubezpieczenia, tak że lada oddziałik rosyjski mógł z największą łatwością ostrzelać z tamtąd nie tylko straż przednią lecz z nią i sztab cały, podczas gdy artyleria konna pozostawiona zbyt w tyle i rozwinięta już na pozycjach pod samym Jozefowem, nie byłaby w stanie w tym wypadku w żadnej mierze przeciwdziałać.

Zameldowawszy się u generała Brudermanna zawiadomiłem go od razu, że mam rozkaz poprowadzenia jego dywizji w poprzednio już nakazanym kierunku. Wywołało to natychmiastowy sprzeciw ze strony niezmiernie podnieconego szefa sztabu starającego się udowodnić mi, że to jest niemożliwe, tak że aż reagować musiałem ostro, oświadczając pułkownikowi Dragoniemu iż rozmawiam z dowódcą i żadnych nieproszonych uwag nieprzyjmuję.

Odprowadziwszy generała Brudermanna na bok, powiedziałem mu, że wolałbym nie być zmuszonym do wręczenia mu bardzo ostrego rozkazu pisemnego XII dywizji, i przypuszczam że i on sam doskonale zrozumie jak koniecznym jest w danej sytuacji poscigowej współdziałanie całej dywizji kawaleryi, a skoro jego widocznie przedenerwowany szef sztabu, przeszkadza mi we wszystkim, to winien odesłać go natychmiast do szpitala lub pozbyć go się w inny energiczny sposób.

Poprosiłem również, by konie oddziałów zatrzymanych przezemnie w drodze zechciał kazać napoje w rzeczce płynącej u naszych stop i by wydał zaraz wszelkie zarządzenia dla wyruszenia w możliwie najkrótszym czasie w kierunku miasteczka Chodla.

Pod tym energicznym naciskiem zostały wszystkie te konieczne zarządzenia niebawem wydane, ale szef sztabu, mocno widocznie obrażony, ograniczył się tylko do zanotowania tychże.

Z opowiadań poszczególnych dowódców, którzy zaczęli się tymczasem zgłaszać do sztabu, okazało się jeszcze wyraźniej iż ów podpułkownik Dragoni potrafił tak zasugerować dzielnego lecz taktycznie słabego generała Brudermanna,

rzekomem wielkiem niebezpieczeństwem grożącym z tamtej strony Wisły, że dywizya trzymana ciągle pod siodłem musiała przebywać po czterdziestu kilometrow dziennie, kręcąc się właściwie całą swoją masą na jednym prawie miejscu, zamiast żeby mogła po należytem ubezpieczeniu się za pomocą małych oddziałów, przynajmniej wypocząć tu po zmęczeniu spowodowanym kilkudniowym poprzednim wywiadem przed frontem armji.

Pomimo jednak rzeczywistego zmęczenia ludzi i koni, gdy dowiedziano się odesłanie o dotychczas już osiągniętych zwycięstwach i zrozumiano że to o poscig chodzi obecnie wszyscy niżsi dowodcy oświadczyli, że pojedają ochotnie chociaż by ostatnim tchem koni celem wyzyskania takiej sytuacji.

Wyruszyliśmy jednak dopiero około dziesiątej, wlokąc się przytem prawie wyłącznie krokiem, pomimo mych nalegań, i dopiero gdy około godziny pierwszej, w czasie krótkiego postoju, dał się wyraźnie słyszeć huk dział w kierunku marszu XII dywizyi, zdołałem nareszcie wymusić kilka kilometrów kłusowania, przyczem przekonałem się, że cała dywizya porusza się zupełnie żwawo, tak że można przecieżyć liczyć było jeszcze na jej dostateczną sprawność bojową. Zbliżaliśmy się do Chodla i mijali właśnie Godow, gdy moj oficer ordynansowy porucznik Żelenski, pozostawiony uprzednio przy sztabie, przywiózł mi wiadomość o ogólnej sytuacji, z której wynikało, że rosyjanie stawiają ponowny opór na pozycjach w okolicy Skrzynca i na wzgórzach na północ od Borzechowa po obu stronach lubelskiego górcinca, i że XII dywizya zamierza nacierać energicznie w swem obecnym ugrupowaniu, licząc na to iż cała kawalerya poprzez Chodel współdziałać z nią będzie na flankę nieprzyjacielskiego ugrupowania.

Podczas gdy długa kolumna jazdy pozostawała w dalszym ruchu ku północy, wyjechałem więc z generałem Brudermannem na pobliskie wzniesienie, z którego widac było cały teren jak na dłoni. Obserwowaliśmy z tamtąd dokładnie liczne obłoczki pochodzące od rosyjskich szrapneli pękających nad wzgórzami na wschód od naszego stanowiska, a więc nad miejscem gdzie znajdują się musiały prawdopodobnie w tej chwili austriackie kolumny piechoty, a bliższe pojedyncze i kierunek pękania różowo zabarwionych obłoczków austriackiej artyleryi, wskazywały znow wyraźnie na wzgórze zajęte przez Rosjan i stojącą za nimi liczną ich artyleryę.

Sytuacja wydała mi się tak jasną, szczególnie wobec widocznego już przekraczania niziny rzeczki Chodla przez oddziały lewej kolumny XII dywizyi, że bez wahania wskazałem generałowi Brudermannowi, zgodnie zresztą z otrzymanym rozkazem na kierunek poprzez Chodel ku dobrze przed nami ku północy widocznym pagorkom Wronowa. Radziłem mu, by skorzystał ze sposobności rzucenia z tamtąd swych pułków na flankę a może i na tyły rosyjskie, by zestrzelał ich pozycje na wskos swoją artyleryą i dążył nawet do zdobycia rosyjskich armat, a potem i do odcięcia wszystkich ich sił przez energiczną akcję ku Beżycom.

Nie można było wymarzyć sobie lepszej sposobności dla wielkiego sukcesu kawaleryi, to też generał Brudermann przyjąwszy z radością moje rady i wskazówki, pogalopował żywo na czoło swej kolumny, podczas gdy ja uważając moją misję przy nim za korzystnie zakończoną, pospieszyłem na pole walki XII dywizyi by wziąć udział w akcji na właściwym mi miejscu. Dla pewności jednak i celem uniknięcia wszelkich pomyłek, kazałem jeszcze porucznikowi Żelenskiemu odprowadzić dywizję kawaleryi aż poza miasteczko Chodel, licząc jednocześnie i na to, że w ten sposób będę przezeń lepiej poinformowany, kiedy grupa ta zdoła rozpocząć owe działania na flankę i tyły przeciwnika.

Szukając dowództwa najbliższej nas lewej kolumny skierowałem się tymczasem z towarzyszącymi mi jeźdźcami na sąsiednie wzgórze, skąd dostrzegało się linje austriackie znajdujące się w ruchu ku północnemu wschodowi. Lecz dostawszy się niebawem w ogień rosyjskiej artyleryi, zsiadłem z konia i posyłając wszystkich innych w ukrycie do wsi Baranczowki, podszedłem pieszo z samym tylko porucznikiem Biesiadeckim ku własnemu obserwatorom artyleryjskim, rozmieszczającym się właśnie na skraju lasu pokrywającego cały wierzch leżącego przed nami pagorka. Widac było z tamtąd linje szaroniebieskich mundurów, odznaczających piechotę linjową austriacką, nacierającą dzielnie lecz w zbyt gęstym szyku, mimo silnego ognia artyleryi oraz karabinów maszynowych rosyjskich, całkiem jak gdyby na manewrach nie licząc się wcale z tem, że nawet bardzo mało celny ogień musi wyrządzić ogromne szkody w tak silnie zwartych i zbyt gęstych szeregach.

Na lewo od nas, po drugiej stronie niziny rzeczki Chodla, na wysokości wsi Borowa, główne siły lewej kolumny dywizyjnej, t.j. brygady marszowej ubranej w stare ciemne mundury, dochodziły właśnie do brzegu znajdującego się

tam lasu, gdy rosyjanie skierowali na nie silny armatni ogień zaporowy. Precezyjnie padające granaty wyrzucały tam jakby wysokie fontanny czarnych dymów a liczne obłoki pękających serjami szrapneli przykrywały bezustanku brzeg lasu i szeroką dobrze z mego stanowiska widoczną, linię lesną, wstrzymując w ten sposób tę mało jeszcze sprawną rezerwową piechotę w jej dalszym posuwaniu się. A chociaż austriacka artyleria wysunięta w dolinie rzeki Chodla aż poza Borow, odpowiadała wytrwale, to jednak masowy ogień przeciwnika nie słabł bynajmniej, gdyż nie można było w żaden sposób odkryć nie dosięgnąć skutecznie owej doskonale ukrytej artylerii rosyjskiej.

Oddziały owej brygady rezerwowej, dowodzone przez pułkownika Bankowskiego choć podprowadzane nawet kilkakrotnie osobiscie przez wyższych oficerów, niezdobyły jednak przebyć taj imponującej a nieznannej im dotąd ogniowej przeszkody, i pod naciskiem tego piekielnego ognia, poczęły się cofać z coraz dotkliwszemi stratami w kierunku miasteczka Chodla. Nieznaczna tylko ich część, w sile jednego lub dwu mniej więcej bataljonów, zdołała utrzymać się jakos na lepiej zakrytem miejscu, w samym lesie z czego skorzystała wysunięta poza Borow bateria porucznika Moszkarza, zaimprovizowana z czterech dział rezerwowych, aby przesunąć się co rychlej aż na wschodni skraj ostrzeliwanego lasu, i z tamtąd na odległość zaledwie półtora kilometra rozpocząć niebawem nadzwyczaj skuteczny ogień na zaskoczoną tem najzupełniej rosyjską artylerję.

Niespodziewane i nadzwyczaj śmiałe ukazanie się austriackich oddziałów na samej flance, i tak blisko rosyjskich armat, wywołało tam widoczne zamieszanie. Cała prawie ich artyleria skierowała swój ogień na tych śmiałków, zaprzestając zupełnie dalszego ostrzeliwania rezerwowej brygady, która dzięki temu mogła zabrać się w okolicy Chodla i jako tako uporządkować. Natomiast owe cztery armatki austriackie zostały zasypane przez co najmniej 48 armat przeciwnika gradem pocisków, lecz zręczny porucznik Moszkarz potrafił tak rozczłonkować nieregularnie swe armaty w większych odstępach wśród maskujących je dobrze krzaków, że zdołał wytrzymać ten ogień przez całą prawie godzinę bez poniesienia poważniejszych szkód, zadając za to rosyjskiej artylerji bardzo ciężkie straty.

Dopiero gdy bataljon austriackiej piechoty rozwinięty z nim razem na skraju lasu począł ustępować pod naporem ognia armatniego i kontrataku przeciwnika, przez co bateria pozostawała już tam bez żadnej osłony, kazał jej dzielny dowódca wycofywać działa jedno po drugim galopem po lesnej drożynie, by się na ich stratę nie narazić. Pozostawiając zaś przy ostatnim działach, którego obsługa po większej części leżała już ranna, sam je z jednym ze swych najtęższych ogniomistrzów zaprzodkował i wywioził, ratując je w ten sposób w ~~ostatnim~~ ostatnim niemal momencie. Przytem został w chwili wsiadania na konia ranny w plecy kilkoma kulkami szrapnelowemi i ledwie że się przy pomocy dzielnego owego ogniomistrza z tych opałów wydostać zdołał.

Gdyby wtedy w chwili ogólnego napięcia, gdy cała uwaga rosyjan skierowaną była na brzeg lasu zajętego przez bohaterską bateryę, przynajmniej część austriackiej kawaleryi ukazała się była na wzgórzach położonych trochę bardziej ku północy, lub na drodze z Wronowa do Bełżyc, t.j. już na tyłach rosyjskich, efekt tej akcji byłby musiał stać się wprost rozstrzygającym. Nie ulega bowiem wątpliwości, że rosyjanie parci z frontu a zaatakowani z prawej swej flanki, niebyliby zdołali wytrzymać tego zagrożenia, a ich odwrot w ogniu armatnim byłby spowodował tam dla nich niemal pełną katastrofę. Tymczasem jednak 3 dyw.kaw., przeprowadzona przez rzeczke Chodel przez porucznika Żelenskiego, osiągnąwszy dopiero około godziny piątej po południu okolice na północ od Adelina, tak długo wypoczywała w lesie i zarosłach niabyto obserwując na wszystkie strony gorącą walkę odgrywaną się na prawo tuż koło niej, aż wreszcie cała akcja coraz bardziej zamierać poczęła. Natknąwszy się zaś nieco później na dwa szwadrony rosyjskie z kilkoma karabinami maszynowymi, (której przeciwnik zaalarmowany ukazaniem się silnej kawaleryi na swej flance wysunął był pospiesznie do Wronowa), a które zdołały napasać ogniem sztab generała Brudermannna, jadący znow jak zawsze niestrożnie na samym czele przedniej straży, wykonała owa dywizya kawaleryi, uprzednio nadzwyczaj przemęczona, gdyż tylko wolnym krokiem naprzód posuwać się mogąca, tak szybko swój odwrot porą nocną poza cały austriacki front, że do Moniaków i Chruslanki przeszło 25 kilometrów odrazu przebyć potrafiła.

W ten sposób nieszczęsna ta dywizya jazdy nietylko że nie odegrała dnia tego tej niezmiernie wdzięcznej roli, która jej się sama narzucała, lecz przemęczyła znow swych ludzi i swe konie niepotrzebną rejteradą aż na własne głę-

bokie tyły, gdzie jeszcze na domiar złego przejeżdżając w nocy w największym pośpiechu przez Chodel, wywołała ogromne zamieszanie wśród żołnierzy brygady rezerwowej, przemęczonych i zdenerwowanych przebytą właśnie ciężką akcją bojową. Spowodowało to panikę i formalne walki uliczne, zakończone niestety częściowym spalaniem i zrabowaniem tej niewinnej miejsciny.

W dalszym ciągu, zjawiwszy się w nocy w okolicach na zachód od Urzędowa, wniosła jeszcze nieszczęsna ta jazda niebezpieczny popłoch w tabory V i XII dywizji które telefonowały do nas, że są zagrożone przez masy "kozaków".

Nieudolne a nawet karygodne prowadzenie tej dywizji jazdy wyrządziło zatem tak poważne szkody, że dowódca XII dywizji piech. powinien był bezwzględnie oddać cały sztab tej jednostki pod sąd wojenny, a nieuczynił z tego względu, że pod wrażeniem własnych nieszczęść popełnionych przez siebie i błędów, czując się zdeprimowanym niepowodzeniem ogólnym swej grupy, niechciał on takim zarządzeniem zwałac niejako całej winy na generała Brudermanna, dzielnego oficera a jedynie nie nadającego się do dowodzenia bojowego taką wysoką jednostką.

W kilka dni później rozstaliśmy się z wielką ulgą z tą kawalerią skierowaną ostatecznie na lewy brzeg Wisły, gdzie wraz z nieco lepiej prowadzoną 7 dywizją generała Kordy już czas dłuższy pozostała.

Tymczasem frontalne natarcie owych trzech operujących samodzielnie kolumn "poscigowych" XII dywizji na dobrze przygotowane i należycie obsadzone pozycje rosyjskie, nie doprowadziło 26 sierpnia do żadnego korzystnego rezultatu. Przeciwnie, obie doskonałe jej linjowe brygady, rzucone w bój bez należytego przygotowania tegoż przez przynależną artylerię, wprowadzając odrazu zbyt gęste linje piechoty w gwałtowny ogień rosyjskich armat i karabinów maszynowych, załamały się niebawem pod wpływem horrendalnych strat, sięgających do 50% efektywnych stanow. Akcja zaś flankowa brygady rezerwowej dzielnego zresztą pułkownika Bankowskiego, choćdobrze pomysłana i z najlepszymi chęciami wykonana, z powodu gorszej jakości żołnierza utknęła już przy znacznie mniejszych stratach w gwałtownym ogniu zaporowym rosyjskim, wobec czego przy zupełnym braku poparcia ze strony dywizji jazdy, ani bohaterские wysiłki jednego bataljonu ani nawet owej heroicznej baterii porucznika Moskarza nie mogły zmienić ogólnie niekorzystnego wyniku.

Cała XII dywizja lekceważąc po łatwym zwycięstwie pod Annopolem tak ogień nieprzyjaciela jak i niezbędną pomoc własnej artylerii, otrzymała w tych walkach nad Chodlem dotkliwą naukę, i skrwawiła się tak mocno, że musiano dokonać wielkich wysiłków by jej oddziały częściowo zupełnie zdemoralizowane, utrzymać wogóle na zajętych stanowiskach.

Wielkie usługi oddała wówczas dywizji cała jej dzielna artyleria, nieliczna wprawdzie i niedostatecznie w amunicję zaopatrzona, lecz za to zdecydowana nieustąpić i poświęcić się dla ratowania tak mocno nadszarpanej piechoty. Tego samego jeszcze dnia nad wieczorem odwiedziłem baterie pracujące pod zawsze dzielnym majorem Hoffmannem, który wytrwał na wschód od Borowa w swych daleko wysuniętych pozycjach, pomimo iż własna piechota cofając się na Chodel pozbawiła go była wszelkiej osłony. Zatrzymał jednak tym sposobem przed swym frontem wszelkie dalsze następywanie rosyjan. Otrzymaliśmy tam jeszcze wprawdzie obaj wraz z dowódcą 23 brygady generałem Lilienfeldem kilkanaście pożegnalnych szrapneli rosyjskich skierowanych na nas podczas zwiedzania najbardziej eksponowanych pozycji za gorzelnią i pałacykiem w Fryszerce na zachód od Borowa, które kazałem pod noc potem opuścić, uważając je za zbyt ryzykowne, lecz widok dzielnych kanonierów uwijających się spokojnie w blaskach szrapneli rosyjskich pękających dziwnie cicho a świecących zarazem silnie przy zapadającym już mroku, i postawa tych żołnierzy pełnych zapału oraz świadomych swego obowiązku, wywarł na nas wszystkich prawdziwie pokrzepiające wrażenie.

Wracając wieczorem przez Borow wstąpiłem na stację opatrunkową artylerii, aby się dowiedzieć o rannych, których na szczęście było jeszcze stosunkowo niezbyt wielu. Porucznik Moszkorz opatrzony już prowizorycznie, leżąc na chłopskim wpcie, który miał go przewieźć do szpitala, mimo silnego bólu opowiadał mi jeszcze z zapałem i dumą o tem, jak obsługa jego czterech armatek strzelała bezustannie ze spokojem i najwyższą precyzją, chociaż wciąż była rażoną ogniem kilkudziesięciu dział przeciwnika, i jak dopiero zasypana kulami gęsto nacierającej piechoty ustąpiła wreszcie, uprowadzając jednak szczęśliwie wszystkie swoje armaty. Ubolewał on ogromnie nad niepojawieniem się w tym czasie austr. kawalerii, która tak ogromną rolę odegrać mogła. Dzielny ten oficer otrzymał na mój wniosek wkrótce krzyż wojskowy, lecz zasłużył właściwie na wyższe daleko odznaczenie za swe samodzielne i nadzwyczaj ryzykowne wystąpienie, którem uratował resztę brygady rezerwowej i stworzył warunki do wielkiego zwycięstwa kawalerii, udaremnionego jedynie przez zgubny wpływ niefortunnego pułkownika.

Dragoniego na swego dowódcę.

Stwierdzić jednak należy, że wszyscy niemal ówczesni wyżsi dowódcy jazdy w wojsku austriackim wzgl. austro-węgiers., z małymi wyjątkami, do których zaliczyć muszę przede wszystkim generała Zieglera, dowódcę 2 dyw.kaw., a może jeszcze częściowo generałów Korde i Berndta, nie byli zupełnie przygotowanymi do tego trudnego rodzaju dowodzenia i choć okazywali odwagę nieraz przesadną oraz doskonałe wiadomości techniczno-hippiczne, żadnego nie posiadali wyobrażenia o nowożytnym taktycznym prowadzeniu i odpowiednim użyciu swej broni. Przytem również i szkolenie jazdy było zbyt zacofane, uzbrojenie i wyposażenie w broni pomocnicze nie wystarczającym, a nawet i umundurowanie z daleka bardzo widoczne zupełnie nieodpowiedniem dla wszelkiej akcji bojowej. Więc też w rezultacie, ta pod względem doboru ludzi i koni pierwszorzędna jazda austro-węgierska, która powinna była szczególnie w okresie początkowym wojny ruchomej odegrać wybitną rolę, zawiodła w zupełności, choć niejednokrotnie okoliczności dawały jej nawet ~~nie~~ szanse dużych powodzeń.

Pewną kompensatę tworzyło jedynie to, że również i ogromne masy rosyjskiej kawaleryi nie potrafiły na skutek złego dowodzenia osiągnąć, z małymi bardzo wyjątkami, większych sukcesów ani w Galicyi ani tem mniej na froncie przeciwniemieckim i to pomimo swego gruntowniejszego przygotowania wojennego szczególnie w służbie polowej, mimo całkiem odpowiedniego umundurowania i lepszego wyposażenia technicznego, a nawet wysokiej swej sprawności bojowej i tak bardzo przeważającej liczebności. To też jedyny realny sukces dwóch dywizyj rosyjskiej kawaleryi generała Kesslera pod Jarosławicami i Olejowem, przeciw jednej tylko części dywizyi kawaleryi generała Zaremby, nacierającej dzielnie lecz również bardzo nieudolnie prowadzonej, wyrownanym znow został dnia 22 sierpnia pod Turynką i Kamionką strumiłową kompletnym zniszczeniem całej rosyjskiej dywizyi kawaleryi przez równe liczebnie lecz lepiej prowadzone siły generała Zieglera, poczem jazda rosyjska unikała już dalszych spotkań na tym froncie.

Nastój dowództwa XII dyw.piech., do którego dotarłem dopiero nazajutrz, gdyż nocowało ono z dala od pola walki nie był oczywiście różowym. Rosyjanie odparli byli w zupełności wszystkie ataki, i to przeważnie za pomocą działania tylko artyleryi i karabinów maszynowych, oraz zatrzymali wszystkie swe obronne pozycje. Więc chociaż siedzieli na razie zupełnie biernie w swoich rowach i nieprzeszkadzali wycofaniu się austriackich oddziałów na lepiej zakryte wzgórza, nie mogło być mowy przez czas jakiś o po nawianiu akcji zaczepnej, gdyż straty nacierających pułków, aczkolwiek trochę przesadzone pod pierwszym wrażeniem, były jednak tak poważne, że tylko silne okopanie się wszystkich oddziałów tej samej jeszcze nocy i odpowiednie ugrupowanie całej artyleryi, mogło zapewnić utrzymanie się przynajmniej w już osiągniętym terenie. Odnosne zarządzenia należało przytem wydać jak najspieszniej aby nie było spóźnionymi, zaraz więc po moim przyjeździe do Ratoszyna wywarłem nacisk by uskuteczniło to natychmiast, poczem spędziliśmy resztę wieczoru w bardzo smętnym usposobieniu, przy mglistym oświetleniu kilku przygodnych świeczek, posilając się ofiarowaną nam goscinnie przez dzierżawcę majątku, herbata i skromną przekąską, nim się sztab cały nie przeniósł na noc do bardziej osłoniętego Ludwinowa.

Oczewiscie że rozmowa toczyła się szczególnie na temat niepowodzenia dnia tego przyczem większość oficerów przypisywała całą winę lekkomyślnie wydanemu rozkazowi dowództwa korpusu, polecającemu "scigać energicznie" pobitego nieprzyjaciela. Było w tem istotnie nieco prawdy gdyż właśnie skutkiem tego rozkazu utworzono owe trzy samodzielne kolumny brygadowe i rzucono je w natarciu zbyt gwałtownie na nieprzyjaciela, który nieuciekł bynajmniej, lecz cofnął się ku swym okopom i był już odpowiednio w nich przygotowanym do obrony. A ponieważ nie dozwolono piechocie odczekać należytego działania przydzielonej do niej artyleryi, dostała się ona niebawem w morderczy ogień armatni i maszynowy, który ją musiał zdziesiątkować.

Jednakowoż jak stwierdziłem już tam w Ratoszynie odrazu bezwarunkowo głównego powodu tak ciężkich strat szukać należało przede wszystkim w przyzwyczajeniach wyniesionych z ćwiczeń czasu pokojowego, opartych częściowo na zacofanych przepisach austriackich regulaminów taktycznych. Przyzwyczajano się bowiem formować zbyt gęste linje tyraljerskie, napierano podciągniętymi nadto blisko i masowo występującymi rezerwami, niewyzyskiwano dostatecznie terenu, a szczególnie nie pozostawiano dość czasu ani na rozwinięcie własnego ognia karabinowego, ani na współdziałanie towarzyszącej artyleryi. Piechota austr. w pierwszej fazie wojny bezsprzecznie bardzo dzielna, szła do ataku jak w r.66 z wielką brawurą, lecz jakgdyby w jakimś zaslepieniu pchała się w gęstych formacjach w morderczy ogień

na przeciwnika przeważnie dobrze ukrytego w rowach strzeleckich, i dlatego nie liczne swe sukcesy opłacała zwykle krwią bardzo obficie zbytecznie przelewana.

Wszystko to było wynikiem zupełnie świadomego zlekceważenia doświadczeń wojny rosyjsko-japońskiej, przez zarozumiały i biurokratyczny sztab generalny austriacki, który przeciwstawiał się ze specjalnym jakby uprzedzeniem, dobrze uzasadnionym i rozsądnym przestrogom własnego obserwatora tej wojny, pułkownika Csicsericza, którego sprawozdanie i uwagi nawet niejednokrotnie wysmiewano. Trzeba jednak podnieść, że nawet i kierownicze sfery wojskowe francuskie trwały w początkach tej wojny również jeszcze w zasadzie bezwzględnej ofenzywy, słusznej zresztą jako teoria strategiczna, lecz niebezpiecznej w stereotypowym przenoszeniu jej na każdorazową taktyczną sytuację.

Szalone pierwsze straty armji francuskiej, jak również zresztą i niemieckiej były więc wynikiem błędnie stosowanej teorii, podobnie jak owe krwawe a tak zbyteczne ofiary austriackich pułków linjowych. Skutki jednakże tych karygodnych błędów taktycznych okazały się fatalniejszymi dla armji austro-węg., słabszej organizacyjnie i liczebnie od niemieckiej i francuskiej, bo pochłonęły zaraz na początku większą część najlepszego kadrowego materiału, a w tem szczególnie duży procent zawodowych oficerów, podcinając przez to od razu dalszą sprawność i wartość taktyczną oddziałów.

Zasadnicze te wady przygotowania bojowego przez sztab generalny austriacki, potęgowała jeszcze nieudolność większej części sztabów dywizyjnych, rezygnujących zwykle z dowodzenia w terenie, a posługujących się w swym biurokratyzmie prawie wyłącznie długimi pisemnymi rozkazami operacyjnymi oraz wygodnym ale zawodzącym bardzo często rozkazodastwem telefonicznym.

Natomiast wyszkolenie taktyczne rosyjan opierało się na ich własnych gorzkich doświadczeniach z wojny mandżurskiej i liczyło się znacznie więcej z wydatną siłą nowoczesnego ognia, a przytem zgodnie z biernym usposobieniem ich żołnierzy, uwzględniało w wysokim stopniu wartość ochronną terenu, którą podnoszono umiejętnie doskonałym stosowaniem umocnień polowych. Dlatego zaakcentowała się od razu bardzo znaczna defenzywna odporność wojsk rosyjskich wobec frontalnych masowych uderzeń austriackich a natomiast zupełna niemal bierność ich taktycznych dowodstw, oraz ociężałość i brak elastyczności samych oddziałów, posiadających zbyt mało i niedostatecznie wykształconych oficerów. Umożliwiała to łatwe powodzenie przeciwko nim nawet najbardziej ryzykownym flankowym natarciami, któremi wojska niemieckie były też rzeczywiście rosyjan w każdym niemal spotkaniu.

I faktycznie, podczas gdy wszystkie prawie starcia na froncie austro-rosyjskim, nawet w wypadkach realnych sukcesów austriackich, jak n.p. pod Krasnikiem i Komarowem, zaznaczyły się bardzo licznymi i ciężkimi stratami zwycięzców, to jednocześnie na froncie niemiecko-rosyjskim odnosił właśnie Hindenburg swe pierwsze całkowite zwycięstwa, okalał i niszczył zupełnie całą armję Samsonowa pod Szczytnem oraz wypierał i rozbił wkrótce potem również armję Rennenkampfa, nie ponosząc przytem w swych strategicznie i taktycznie doskonale prowadzonych korpusach bynajmniej jakichś strat przekraczających normalną miarę.

Podczas dyskusji naszej w Ratoszynie mogłem wskazać prócz tego już i na walki własnej dywizji jako najoczewistsze potwierdzenie słuszności tych zapatrywań. Pod Annopolem odniesiono łatwo i prawie bez strat zwycięstwo nad dwoma dobrze w terenie zakopanymi i umocnionymi brygadami strzeleckimi dlatego tylko, że udało mi się powstrzymać piechotę od masowego frontalnego natarcia, zanim nie wykonano obejścia z lewej (zachodniej) flanki i nie ukonczono należycie artyleryjskiego przygotowania dla wsparcia tego głównego ataku. Zatem w fatalnym dniu 26go, tego w czasie rzekomego "poscigu", gdy dowódcy brygad otrzymali trochę za dużo samodzielności a wszelką akcyę artylerji jak gdyby umyślnie zlekceważyli, nie czekając na jej rozwinięcie, przyczem nie zadano sobie nawet trudu dokładnego zrekonoskowania rosyjskich pozycji, to nieszczęsna piechota poszła swym zwykłym trybem do bohaterkiego ataku w zbyt zwartych i zagęszczonych szeregach, na skutek czego pozostawiła też w niespełna godzinie niemal połowę swych dzielnych żołnierzy na krwawym poboju. I gdyby nie ofiarne wytrwanie artylerji, zakrywającej z największym poświęceniem cofanie się rozbitych oddziałów, byłaby cała XII dywizja musiała zapewne rozpocząć już tego dnia wieczorem ogólny swój odwrot.

W nocy jednakże, pomimo uprzedzeń i niechęci, okopały się nareszcie przynajmniej jej przednie oddziały na pagórkach zamykających od południa dolinę rzeczki Chodla, naprzeciwko wzgórz obsadzonych silnie przez rosyjan. Artylerja pozostała na razie w odcinkach brygad, zgrupowana pojedynczymi dywizyonami, —

tak jak to wypadło z marszu, ja zaś przed świtem jeszcze wyruszyłem z moim sztabem z noclegu w Radlinie na linię tych naszych przednich stanowisk.

Obserwując całą okolicę z małego lasku położonego na dominującym pagorku koło wsi Gondy, stwierdziliśmy, że brygada generała Zaleskiego, chociaż najbardziej dnia poprzedniego zmaltretowana, może jednak na przewyższającym przycie rosyjskiego wzgórzu między Kępą a Borzechowem, stworzyć przy wyzyskaniu przeszkody rzeczki Chodla i po jakimś takim rozbudowaniu swych zasłon, dość silne zgrupowanie, by zamknąć zupełnie główną komunikację z Bełżyc przez Bożechow do Urzędowa.

Dołączając zaś do niej jeszcze jeden pułk 23 brygady generała Lilienhofs, zajmujący lasy na południe od folwarku Borow, z którego kranca obserwowaliśmy właśnie cały ten teren, uzyskiwano również i należyte zakrycie całej artylerii i dość obszerną przestrzeń by zapewnić swobodę ruchów dla całości.

Drugi pułk tej 23 brygady, najsilniejszy jeszcze podówczas 20 pułk krakowski będący pod dowództwem pułkownika Puchalskiego, pozostał od razu w odwodzie podczas gdy brygada marszowa, obsadziwszy wzgórze na południe od Chodla, mogła przesunąć swój odwód nawet trochę dalej, aż do Godowa.

Ustaliliśmy też zaraz punkta obserwacyjne i ich połączenia ze sztabem, a potem zaproponowałem nieco odpowiedniejsze przegrupowanie artylerii i jej dowództwa, tak że cały odcinek był już zorganizowany ogólnym rozkazem dywizyjnym, zanim doszły do nas w południe 26 sierpnia dalsze zarządzenia korpusne. Z zarządzeń tych przekonałem się niebawem, że i u naszych sąsiadów został t.zw. "poscig" zatrzymany przez jakoby świeżo nadeszłe z Lublina znaczne rosyjskie odwody armii generała Ewerta, a dowiedzieli się że wszystkie dywizja I korpusu mają się okopać wzdłuż rzeczki Chodla oraz w przedłużeniu tej linii na wschód poprzez Sobieszczany aż do dolnej Bystrzycy. Rozkaz ten przydzielał XII dywizji odcinek od Chodla w poprzek góscinca aż po Borzechow włącznie, i polecał wydzielać rezerwy i przygotowywać się do ponownego natarcia z chwilą gdy nadejdą przez Wisłę poniżej Zawichostu przywołane z zachodu bataliony grupy generała Kummera, którą w tej dyspozycji, niby dla niepoznaki, ochrzczono dość dziwnym mianem sławnej później "Uzelknote".

Tymczasem mieliśmy wiązać energicznie Rosjan przed naszym frontem, niedopuszczając do ich przegrupowania, a zarazem uzupełniać straty poniesione w ludziach, materiałach i amunicji, by odzyskać co rychlej jak najlepsze pogotowie operacyjne.

Trzecią dywizję kawalerii, niepotrzebną już za frontem, skierowywał ten rozkaz na razie w okolice Opola z przeznaczeniem przerzucenia ewentualnego na lewy (zachodni) brzeg Wisły, a to z chwilą gdy grupa generała Kummera zdoła zluźnić ją nad dolnym biegiem rzeki Chodla.

Dyspozycja ta odpowiadała w zupełności wydanym już poprzednio przez dywizję rozkazom, niemielismy przeto 27 sierpnia ani w dniach następnych żadnych zmian do przeprowadzenia.

Natomiast przeciwnik, wzmocniony widocznie ciężką artylerią, rozpoczął już około południa ostrzeliwać gwałtownie nasze rowy strzeleckie, szczególnie po obu stronach góscinca z Bełżyc do Urzędowa, gdzie niedostatecznie jeszcze okopana brygada generała Zaleskiego zaczęła usilnie domagać się pomocy. Wszelkie jednak powstrzymanie tego ognia za pomocą naszej polowej artylerii było w gruncie rzeczy zupełnie iluzorycznym, gdyż nieposiadaliśmy należytej obserwacji, ani samolotów mogących ogniem tym kierować, przedewszystkiem zaś niemielismy możliwości osiągnięcia austriackimi polowkami, niosącymi na najwyżej 8000 metrów, i haubicami nie donoszącymi nawet 7000 metrów, owych ukrytych dalekonosnych armat rosyjskich, które ustawione w okolicy na południe od Bełżyc, raziły nas zupełnie bezkarnie z odległości co najmniej ~~2000~~ 9 kilometrów swymi 6-calowymi pociskami.

Niechcąc jednakże pozostawiać tak silnie ostrzeliwanej piechoty bez widocznej pomocy, zaproponowałem otwarcie ognia precyzyjnego na dobrze widoczne rosyjskie okopy. Przy wykonywaniu tego zastosowałem system, który okazał się tak wówczas jak i później bardzo skutecznym, a mianowicie kazałem ostrzeliwać okopy i rowy strzeleckie tylko 10 centymetrowymi granatami haubic polowych i to ogniem dość wolnym, ale precyzyjnie i systematycznie rozłożonym, podczas gdy odpowiednie ustawione baterie polowe miały za zadanie zasypywać te rowy krótkimi napadami skosnego ognia nisko pękających szrapneli jedynie w chwilach, gdy wybuchy cięższych granatów powodowały w ostrzeliwanych okopach pewien ruch lub czasowe wycofywanie się z nich przeciwnika.

Mając jednak bardzo niewiele amunicji musiałem przeprowadzać to ostrzeliwanie niezmiernie oszczędnie, mniej więcej w stosunku jednego strzału naszego na 10 rosyjskich, skutkiem czego nie dawało ono naturalnie zbyt wielkiego efektu moralnego. Za to efekt praktyczny tych precyzyjnych strzałów był zupełnie pokaznym i umożliwił w końcu własnej piechocie dalsze wytrwanie w ogniu huraganowym nie-

przyjaciela.

Ustaliwszy moje obserwatorium niedaleko stanowiska dowodczy haubic podpułkownika Schöffera, mogłem regulować to ostrzeliwanie prawie automatycznie, gdyż granaty jego dwóch baterii oznaczały zarazem i strefę działania obu grup armat polowych wyczekujących odpowiedniej chwili dla swych ogniowych napadów. Oprócz tego byłem też połączony z najbliższą baterią polową, oznaczoną w moim rozkazie jako "dyrekcyjna" tak, że mogłem każdej chwili spowodować koncentrację ognia wszystkich dział całej dywizji przez bardzo proste wskazanie im miejsca i kierunku za pomocą wysoko pękających bateryjnych lub półbateryjnych salw tejże dyrekcyjnej baterii. Tego pierwszego dnia naszej walki pozycyjnej, gdy zwiększony ruch dał się zaobserwować we wiosce Skrzyncu a potem znowu w okolicach wsi Egersdorfu, rzucona tam "dyrekcyjna" salwa wystarczyła też zupełnie by po paru już minutach kilkadziesiąt pocisków wylatujących ze wszystkich stron dywizyjnego odcinka, zasypało wskazany cel potokiem ognia i żelaza.

Chociaż więc stosując ciągle wielką oszczędność amunicji zaprowadziłem i przy podobnym ostrzeliwaniu ograniczenie ognia takiego do najwyżej trzech pocisków na działo, to jednak przy szybkim strzelaniu dawało to skutek wcale pokazy.

Tegoż dnia 27 sierpnia zauważyliśmy popołudniu wysoko w obłokach świecący długi przedmiot w kształcie cygara, szybujący dość żwawo od wschodu ku zachodowi. Był to Zeppelin niemiecki, wracający wówczas ze swego drugiego już lotu podobno, bardzo doniosłego pod względem strategicznym. Przed wieczorem ukazał się znowu nad nami pierwszy rosyjski samolot typu Fahrmana, który jednak zawrócił wkrótce ku północy, mimo iż ogień karabinowy, którym ostrzeliwaliśmy go w pośpiechu, okazał się zupełnie bezskutecznym.

Austryackich samolotów nie widzieliśmy jednakże wcale w czasie całej tej akcji pod Lublinem, gdyż były one wówczas wyłącznie zajęte wywiadem w kierunku najsilniej grożącego niebezpieczeństwa, t.j. ku wschodniej i północno-wschodniej granicy Małopolski.

W pewnej chwili, gdy rosyjski ogień huraganowy przerwał nam był wszelkie połączenie telefoniczne z prawostronną brygadą generała Zaleskiego, a od wsi Borowa dochodzić nas począł grzechot karabinów ręcznych i maszynowych, dowódca dywizji, który od pewnego czasu znajdował się na moim punkcie obserwacyjnym, zaczął się mocno denerwować i zażądał odemnie dostarczenia mu dwóch oficerów, którzyby raz jeszcze ustnie powtórzyli dowodcom brygad rozkaz bezwzględnej wytrwania na zajętych pozycjach, a zarazem ciągłego dalszego wzmocnienia swych schronów i okopów.

Miałem koło siebie jedynie podporucznika Żelenskiego i ochotnika Aleksandra Skrzynskiego, ich więc obu musiałem z rozkazami tymi powysyłać.

Na prawo całe wzgórze zajmowane przez brygadę generała Zaleskiego wraz z wkopaniem w ziemię stanowiskiem jego sztabu, zakrywały tumany kurzu i dymu, a w byłski i grzmoty uderzających tam co chwila ciężkich pocisków rosyjskich oraz fontanny ich wybuchów, tworzyły koło nich jakoby nieprzebytą śmiercionośną scianę. Na lewo chwilowy grzechot karabinów maszynowych zdawał się już przyćmiewać, a rzadkie padające tam pociski nie wywierały ~~być może~~ bynajmniej wrażenia poważniejszej walki lub większego niebezpieczeństwa.

Podaliśmy więc obu odjeżdżającym oficerom węzełki do pociągnięcia, nie chcąc z własnej decyzji wskazywać gorszego kierunku jednemu lub drugiemu z tych miłych, bliskich mi i dzielnych towarzyszy.

Węzełek, a zatem niebezpieczniejszą znacznie jak się zdawało drogę, wyciągnął Skrzynski, tak że gdy ruszył on wkrótce z kopyta i znikł nam z oczu w obłokach fatalnej ogniowej kurzawy, mimo woli odnieśliśmy wszyscy wrażenie, że wątpliwym jest czy zdoła on dotrzeć żywy do dowództwa brygady, a tembardziej do nas powrócić. Przeciwnie, co do podporucznika Żelenskiego, jadącego na lewo w prawie już zupełnie spokojną stronę, nikomu z nas nawet nie przyszło do głowy by to miał być ostatni galop w jego życiu. Zdaje się jednak, że on sam miał jakieś dziwne przeczucie, gdyż jak później skonstatowano powiedział on starymu ordynansowi Michałowi, który mu konia podawał jeszcze kilka słów ~~xx~~ jakby pożegnania, i wyraził przypuszczenia że już żywym nie powróci.

Po kilku minutach ujrzelismy raptem wszyscy poprzez wybuchy i dymy rosyjskich granatów Skrzynskiego stojącego spokojnie na koniu pod samym wzgórzem, trochę zaledwie przechylonego, by lepiej porozumieć się z dowódcą brygady wyglądającym ze swego schronu. Wroczył niebawem zdrow i cały, galopując z największym spokojem jakby na polowaniu, wśród pękających wciąż jeszcze pocisków, i tylko tak on jak kon jego byli mocno piaskiem i pyłem obsypani. Donosił też nam, że brygada mimo tak silnego ognia nie poniosła dotąd zbyt ciężkich strat, gdyż większość pocisków przenosiła na szczęście ich okopy.

Tymczasem z lewej strony strzelanina ustała była zupełnie, a że droga do

wzgorz koło Borowa była znacznie dalszą, nie niepokoiłem się jeszcze faktem że podporucznik Żelenski nie wraca.

Dopiero gdy nie było go aż do zmierzchu, a zapytywana o niego przez nowo już założony telefon lewostronna brygada odpowiedziała, że podporucznik Żelenski rozkaz przywiozł i przed kilkoma już godzinami odjechał z powrotem, zaczęliśmy z niepokojem za nim poszukiwać. Lecz ani nasze gęste patrole, ani wysłane wreszcie aż do brzegów rzeczki Chodla poszukiwawcze oddziały niezdolały znaleźć żadnego po nim śladu.

Dopiero po kilku dniach, gdy żołnierze nasi zajęli wies Grondy, dowiedzieli się oni od jej mieszkańców, że podporucznik Żelenski, a musiał to być on z pewnością sądząc z opisu jeźdźca oraz konia, wracając przez tę wies już wieczorem, został zniemacka napadnięty przez patrol kozacki i uprowadzonym po krótkiej walce, w której go ciężko ranie miano. A po roku dopiero, po definitywnym zajęciu Lublina, doszła nas smutna wiadomość, że jako ciężko rannego wieziono go przez Lublin, że prosił kogos z przypadkowo spotkanych znajomych o powiadomienie rodziny, lecz już niestety w czasie dalszego transportu na stacji w Żukowie życie zakończył. Dzielny oficer, nadzwyczaj miły towarzysz i kolega, a gorący patriota pracujący od kilku lat w konnym sokole krakowskim, którego był duszą oraz najgorliwszym instruktorem, zgłosił się być na ochotnika natychmiast po wybuchu wojny, pomimo dobiegającej czterdziestej dziesiątki do mojego sztabu.

Wskreszenia Ojczyzny, w które tak gorąco wierzył, niebyło mu danem niestety dożyć. Padł skłuty i zestrzelany przez kozaków, ubiwszy kilku z nich przedtem z pistoletu, broniąc się zaciekle, a krwią swoją zrosił właśnie tę ziemię lubelską, z którą od lat młodych rodzinne i serdeczne łączyły go węzły. Cześć i wierna pamięć należy się też tej prawdziwie patriotycznej a dzielnej żołnierskiej postaci.

Dla XII dywizji rozpoczął się teraz kilkodniowy okres walk pozycyjnych, których później mieliśmy wszyscy doświadczyć jeszcze tak wiele. Na razie dawały nam one pewne korzystne wytchnienie, a dość wyraźny spokój u przeciwnika można było wyzyskać dla uporządkowania wszystkich oddziałów i uzupełnienia poniesionych strat przez wcielenie pierwszych marszowych kompani i batalionów. Piechocie nie brakło jeszcze wcale amunicji, której zużywano zresztą bardzo mało wobec szalonych frontalnych ataków wykonywanych na bagnety, lecz zato artyleria liczyła już po sciągnięciu amunicji ze wszystkich kolumn dywizyjnych i korpusnych nie więcej jak 100 do 120 strzałów na jedno działo i faktycznie żadnych prawie ostrzeliwań ryzykować nie mogła, zachowując swe pociski na wypadek bezwzględnej konieczności.

Natomiast rosyjanie dowozili widocznie z Lublina z największą łatwością amunicję armatnią, tak że marnowali lekkomyślnie znaczne jej bardzo ilości. Nieraz wywoływaliśmy umyślnie taką zwykle całkiem nieszkodliwą ich strzelaninę za pomocą jakichkolwiek fikcyjnych przesunięć, aby przyczynić się do wyczerpania ich zapasów amunicyjnych i wyrównania w ten sposób choć trochę naszego pod tym względem ubóstwa.

Kanonierzy nasi zabawiali się też nieraz wystawianiem fałszywych placówek obserwatorskich a nawet pozycji działowych, i cieszyli się niezmiernie gdy ~~gdy~~ rosyjanie skierowywali do tych celów zmyślonych na darmo swe pociski. Trzeba jednak przyznać że dalekonosna artyleria rosyjska strzelała bardzo nieraz precyzyjnie, czego omały włos niedoświadczyłem na własnej skurze. Gdy wracałem bowiem konno stępa do mej kwatery w Ratoszynie przeleciał ciężki granat tuż nad moją głową, i wybuchł zaraz za koniem towarzyszącego mi S. Skrzynskiego, który odesłany przezemnie w tej właśnie chwili ku domowi jakimś szczęśliwym przypadkiem ruszył był odrazu galopem, dzięki czemu nie został rozszarpanym w kawałki, lecz jedynie wraz z koniem silnie zasypany cienkim piaskiem.

Zsiadłem umyślnie aby podnieść z brzegu głębokiej jamy wybuchowej gorące jeszcze stalowe strzępy tego przeznaczonego nam pocisku, rozdarłe w kształcie długich węzowatych nożów malajskich, które byłyby nas pocięły w kawałki, gdyby nie teren pulchny i lekko piaszczysty w jakim tego rodzaju ciężkie pociski, wybuchają nazbyt znacznej głębokości, zazwyczaj żadnej nieczyniły szkody.

Z powodu tej precyzji strzałów rosyjskich i wielkiej czujności ich artylerii, podejrzewano ciągle, że ogniem tym kierują obserwatorzy nieprzyjacielscy ukryci wew wioskach już zajętych przez austriackie wojska połączeni podziemnym telefonem ze swymi bateriami. Nie dawałem oczywiście żadnej wiary tym podejrzewaniom, bo gdyby istotnie mieli rosyjanie tak zręcznie zorganizowany system obserwacyjny, to niszczyliby za jego pomocą przedewszystkiem miejsca —

postoju sztabow i ustalone pozycje artyleryjskie, a nie marnowali amunicji na ostrzeliwanie przypadkowe tyłowego terenu i rozmaitych fikcyjnych celow, czem nie wyrządzali prawie żadnej szkody, a sprawiali nawet raczej zadowolenie z bezskuteczności tego ognia. Niestety jednak plotki te znalazły tyle posłuchu w wojsku austriackim, że doprowadziły później do istnych pogromow każdej nieomal prywatnej instalacji telefonicznej czy oświetleniowej, oraz do rozmaitych innych represji.

Co do mnie mam wryżenie, że rosyjanie, czując się odrazu taktycznie słabszymi od austriaków, tylko jakby ze strachu wyzyskiwali swą chwilową przewagę amunicyjną by przeciwnika niepokojic i od natarcia powstrzymac, za co zresztą ciężko odpokutowali późniejszym brakiem amunicji w chwilach najbardziej decydujących.

Owczesna ich przewaga artyleryjska irytowała mnie jednak, więc niechcąc byc jej w biernym widzem i pragnąc uzyskac działa niosące chociaż trochę dalej od polowych, zaproponowałem by przysłano nam z Krakowa ruchome baterie tej twierdzy, t.zw. "wypadowe" mogące ze swych bronzowych dwunastocentymetrowych starych armat Uchatinsa strzelac do 12 kilometrow zupełnie precyzyjnie, a nawet sięgac z długich pietnastek i ponad tą odległosc. Dowództwo I korpusu podchwyciło ~~myśl~~ skwapliwie myśl tą i wydało natychmiast rozkaz wysłania na front kilku takich baterii z obfitą amunicją, tak że można było liczyć na ich nadejście w ciągu najbliższego tygodnia. Lecz tymczasem milczelismy z musu, odpowiadając tylko w wyjątkowych wypadkach na ogień rosyjan, którzy posyłali nam normalnie poparęset pociskow dziennie, a często przekraczali i parę tysięcy na dobę.

Wiadomosci podawane nam przez dowództwo I armji podkreślały w owym czasie korzystne rozwijanie się akcji IV armji austriackiej po przez Zamosc, zato milczały uporczywie o losach najbardziej na okrażenie narażonej III armji t.zw. lwowskiej, dowodzonej przez starszego brata generała Bruder-manna.

Obiściywano nam ciągle przybycie rezerwowej armji generała Kummera, owej słynnej "Uzelknute", lecz opozniało się ono ciągle tak że niebylismy dość pewni zakrycia lewej zewnętrznej flanki uskutecznianego wyłącznie przez 3 dyw.kawalerii w kierunku Opola. Postanowiono zatem wysunac w tę stronę całą jazdę dywizyjną, zbędną już zupełnie od chwili walki w okopach. Interesując się specjalnie tą akcją jako doniosłą dla całosci, chciałem przy tej sposobności zorientowac się w terenie co do charakteru niziny ciągnącej się wzdłuż dolnego biegu rzeczki Chodla, i za zgodą dowodcy dywizji wyruszyłem dnia 30 sierpnia z tym oddziałem kawalerii w stronę Opola.

Ze wzgorza na południu od tego miasteczka, (X-6- 191 karty general.) do ktorego dotarlismy po jakich trzech godzinach wolnej jazdy, widzialem doskonale przez moje ostre szkła cały lewy brzeg Wisły od samego prawie Kazimierza, wraz z ujściem rzeczki Kropianki, zarysowujacem się bardzo wyraźnie w okolicy Solca. Wprawnem okiem artylerzysty odkryłem tam niebawem błyski szesciu czy osmiu armat ustawionych na wzgorzu nad samą wsią i strzelających w stronę południową. Kilka większych grup jezdzcow oraz tumany kurzu podnoszące się na goscincu prowadzącym od Solca ku północy do znajdujacego się tamże dużego lasu, kazaly przypuszczac, że musi to byc część rosyjskiej jazdy generała Nowikowa, o ktorej pojawieniu się po tamtej stronie rzeki wiedzielismy już od dawna.

Bateria strzelała bardzo gęsto, a sledząc za kierunkiem w ktorym padały jej szrapnela, rozpoznalem że zasypują one salwami białych obłoczkow jakies długie czarne linje tyraljerskie, cofajace się za każdą seryą pociskow szybkim biegiem wzdłuż Wisły ku południowi.

Nie było mi trudno odgadnac, że są to biedne bataljony landsturmowe i etapowe owej słynnej grupy generała Kummera, ktore w moich oczach artylerya rosyjska popędzala nadzwyczaj łatwo i skutecznie samym tylko ogniem armatnim. Po każdej rosyjskiej salwie zrywali się oni, dość zresztą regularnie, przebywali biegiem jakich dwiesciece do trzystu krokow ku tyłowi, i kładli się ponownie na ziemię, wypoczywajac zapewne aż do następnej salwy, po ktorej powtarzał się znowu ten sam proceder. Dopiero nad brzegiem rzeczki Kamiennej, gdy szrapnela rosyjskie widocznie dalej już sięgac niemogły, zatrzymały się wreszcie te linje tyraljerskie i poczęły się okopywac, a ja przerwawszy mają tak ciekawą obserwację zawrociłem ku Opolu.

Później opowiadali nam jency, że rosyjanie przewzali byli tych niezbyt dzielnych i zle zorganizowanych żołnierzy armji generała Kummera "szpakami",

, ponieważ nosili bardzo ciemne stare mundury z granatowego przedwojennego sukna, a przytem po każdym strzale, według ich określenia "rozlatywali się podobnie jak szpaki".

I ta to właśnie grupa najgorszych austriackich wojsk miała, wkraczając do lewobrzeżnej części królestwa, opuszczonej zresztą przeważnie dobrowolnie przez Rosjan, wzbudzić zaufanie do potęgi austriacko-węgierskiej i wywołać entuzjastyczne powstanie ludności polskiej, a wreszcie stworzyć jeszcze dla niego i jakies ewentualne kadry wojskowe. Oczywiście że nędznym swym wyglądem i tchorzliwym zachowaniem się zdwoiły te oddziały jedynie nieufność i lekceważenie dla monarchji habsburskiej, a przytem zraziły jeszcze do reszty ludność przez bezwzględne rekwizycje, do których były zmuszone już z racji swego gorszego wyposażenia etapowego i taborowego.

Manifest zaś, który miał im pomóc w tym zadaniu, zredagowany w gornolotnym stylu i obiecujący Polakom niby to bardzo wiele, tak był mdły i w rzeczy samej konkretnie nic niemówiący, że nie zadowolili naturalnie nikogo ani w Królestwie ani w Małopolsce, niemówiąc już o jakiegokolwiek możliwości wywołania przezeń zbrojnego odruchu.

Fantastyczne plany tego rodzaju błakające się co prawda w umysłach nielicznych tylko jednostek oddziału wywiadowczego austriackiego sztabu generalnego powstały były jednak głównie, pod wpływem zapewnien polskich polityków lewicowych, którzy prawdopodobnie w zrewolucjonizowanie Królestwa sami niewierzeli, ale uważali je za pożyteczny chwilowo dla siebie bluff polityczny. Taksamo jednak i austriackie czynniki wojskowe nie liczyły się ani przez chwilę z tem, aby miano kiedykolwiek dotrzymywac obietnic podawanych przez nich w zamian owym Polakom politykom.

Jak dalece jednak miarodajne czynniki tę kwestję bagatelizowały, dowodzi fakt że przeznaczono do takiego przedsięwzięcia zupełnie trzeciorzędna zupełnie pod każdym względem grupę generała Kummera, a przez cały czas jej pobytu na terenie Kongresowki nie narzekano zresztą bynajmniej na bardzo wstrzemięzliwe stanowisko jakie ludność wobec niej zajmowała.

Dopiero później starano się winę niepowodzen własnych uzasadnic nieudaniem się "tego powstania" polskiego na ktorem rzekomo poważne opierano rachuby. Również i sztab tej grupy, z którą miałem bliższą styczność w czasie gdy przydzielona do XII dywizji ciągną swą tendencją do ucieczki wielokrotnie psuła wszelkie ofenzywne zamiary, - nieskarzył się jeszcze wówczas na nieżyczliwość lub nielojalność ludności, i owego powstania wcale się na serio nie spodziewał a nawet twierdził, że mogłoby ono bardzo utrudnić etapowe urządzanie i wywołać chaos, który byłby później niełatwym do opanowania.

Co do generała Conrada przyznaje on sam w swych pamiętnikach, że od pierwszych dni sierpnia 1914 roku był przeciwnikiem wszelkiego angażowania się Austrii w sprawę polską, że żadnych zapewnien ani obietnic nie czynił i czynic nie chciał, że do formowania legjonow i wywołania przez nie powstania odnosił się jak najsceptycznie, a tylko pod naciskiem sfer politycznych zgodził się być na fakt wówczas zrestą już dokonany, wtargnięcia legjonowej kadrowki do Królestwa i werbowania tam przez nią ochotników.

Na zarządcę tych okupowanych obszarow przygotował on zawczasu sobie, bardzo bliskiego swego znajomego generała Colarda, znanego z bezwzględnej austriackiej służbistosci, a pragnąc kraj ten ująć w jak najsilniejszą wojskową administrację zgodził się jedynie z trudem i bardzo niechętnie na dodanie temuż wielkorządcy wojskowemu, cywilnego doradcy Polaka, upatrzonemu w osobie byłego namiestnika Bobrzynskiego.

Zapamiętania te generała Conrada charakteryzuje może najlepiej jego własne sprawozdanie z narady u Ministra spraw zagranicznych odbytej w tej sprawie jeszcze w dniu 12 sierpnia, a więc przed wyjazdem Naczelnego Dowództwa do Przemyśla. Na pytanie jakie zajęć stanowisko wobec Polski a również Ukrainy, odpowiada szef sztabu krótko: "zaczekajcie z tem aż Polskę zdobędziemy". W dalszym ciągu skarży się, że w chwili tak doniosłej dla egzystencji całej monarchji ma się już zaczynać przetarg o polskie obszary, i zwraca uwagę, że "jemu sprawa podziału zajętych obszarow polskich jest zupełnie obojętna, lecz powinna być przecie przedewszystkiem ułożoną z Niemcami, a wykonaną może być wówczas dopiero, gdy się z tamtąd wyrzuci Moskale, którzy tam przecie siedzą jeszcze. Nie chcę wdawac się w żadne uznawanie polskich praw do samodzielności państwowej, żadnych obietnic dawac nie pozwala, a w sprawie tworzenia polskich legjonow oświadczają, że w takim razie należy, myśląc logicznie, tworzyć również i ukraińskie.

W kilka dni później, w czasie podróży do Przemyśla, rozmawiając w swym wagonie z następcą tronu, późniejszym cesarzem Karolem, nieumie na jego py-

tanie co należy zrobić z Polską, generał Conrad nic innego sprecyzować, jak że "Polska jest istotnie bardzo bogatym krajem i zdolnym do rozwoju"... i że należy przede wszystkim dążyć do tego aby: oddzielić Słowian wschodnich od ich zachodnich europejskich współbraci i w ten sposób utrzymać tych ostatnich łatwiej w obrębie swych wpływów... czyli że nienależy oczywiście odbudowywać Polski, ale podzielić ją ponownie już tylko pomiędzy Niemcy i Austrię, aby wyzyskać dla siebie należycie przyrodzone bogactwa tej ziemi.

W każdym więc jego powiedzeniu brzmi nuta szczerzej niechęci, a dążenia odsrodkowe Polaków budzą z natury rzeczy u tego zacieklego centralisty i fanatycznego austriackiego patrioty taki sam opór, jak dążenia Węgrów do dalszego rozwinięcia separatyzmu, o których również zwykł był wyrażać się jak najostrzej i przeciwstawiać się im z całą bezwzględnością.

Mimo jednak tak wyraźnie negatywnego stanowiska względem sprawy polskiej, po nieudanych próbach ofensywnych akcji, wierzyć zaczyna generał Conrad - czy też tylko udaje dla pokrycia wszelkich własnych błędów organizacyjnych i taktycznych bajkę wymyśloną przez memoriał pułkownika Göttlichera, szefa sztabu generała Kummera, iż akcja tej grupy nie mogła się powieść, gdyż "polska pomoc zawiodła".

Będąc w połowie września w dowództwie I armji na kwaterze w Okocimie u barona Götza, miałem właśnie w ręku ten memoriał pełen perfidji i fałszu, w którym pułkownik Göttlicher jako jeden z głównych winowajców niepowodzenia grupy Kummera, zwała je w zupełności na Polaków, pomawiając ich wprost o: "zdradę". W początkowych zdaniach czytam tam bowiem mniej więcej dosłownie: Wbrew wszelkim solennym zapewnieniom i naszym uzasadnionym oczekiwaniom, ludność polska na obszarze dawnego Królestwa odnosiła się do wojsk austro-węgierskich nie tylko bez wszelkiego obiecywanego entuzjazmu, lecz przeciwnie wręcz niechętnie i wrogo, starając się o powiadomienie nieprzyjaciela o każdym naszym ruchu, oraz zdradzając nas przy każdej sposobności.

Raport ten osiągnął w sferach rządowych i wojskowych austriackich pożądany przez inicjatorów skutek, a także u ludności niemieckiej wywołał ogólną podejrzliwość w stosunku do Polaków, a nawet do polskich oddziałów w austr. wojsku, które mimo okazywanej przez nie, zawsze wysokiej bardzo wartości bojowej i lojalnego spełniania obowiązku, stałe za "niepewne" poczytywano. Przytem wrogię nam sfery wojskowe sztucznie łączyły często naprawdę zdradliwe i podstępne zachowanie się części ludności ruskiej w Małopolsce z urojonemi zdradami jakoby polskiemu, aby wytworzyć w ten sposób szkodliwą dla Polaków legendę.

Wrogię zaś stanowisko od początku generała Conrada wobec legjonów polskich odbiło się krzywdząco na ich organizacji i przetrwało cały czas ich istnienia. Pod jego to głównie wpływem traktowano nieledwie na równi z polskimi legjonami sztuczne zawiązki formacji ochotniczych ukraińskich, które tworzono w przewidywaniu ich ewentualnego użycia na terenie ziem ruskich, gdyby akcja wojenna w tym kierunku rozwijać się miała, przyczem kontrolę nad oboma powierzono temu samemu referentowi w Naczelnym dowództwie pułkownikowi Hranilowiczowi, jednemu z najbardziej zaufanych ludzi sfer biurokratyczno-sztabowych wiedeńskich.

A chociaż legjony polskie w dalszym przebiegu wojny światowej zostały przez wysiłek samego naszego społeczeństwa, pomimo niebывałych trudności, rozbudowane aż do trzech brygad, a swem poświęceniem i męstwem zdobyły później nawet u tak im niechętnego generała Conrada pochlebne wojskowe uznanie, niepotrafiły one jednak zmienić jego nieżyczliwego wobec sprawy polskiej stanowiska. Pozostał on do końca wrogiem wszelkiej polityki narodowościowej w odniesieniu do wewnętrznego ustroju Monarchji, nienawidził jakiegokolwiek uwzględnienia politycznych potrzeb ludności z powodu komplikacji wojskowych jakie z tego wyniknąć mogły, a jako doktryner czysto niemiecko-austriackiego centralizmu, przyczynił się może bezwiednie do zupełnego wypaczenia linii polityki austro-węgierskiej wobec Polski i do coraz bezwzględniejszego postępowania Naczelnej komendy w odniesieniu do wszystkich ludów Monarchji.

.....
Z grupą generała Kummera nawiązałem kontakt tego samego dnia 30 sierpnia jeszcze przed wieczorem na wysokości Opola, ale dowódca jej czołowej dywizji, generał Czapp, mój starszy kolega ze szkół wojskowych, wykształcony sztabowiec i rozsądny człowiek uprzedził mnie odrazu, że od tej masy złe wyposażonych i wojskowo mało wartościowych bataljonów pospolitego ruszenia, nie należy spodziewać się jakiegokolwiek realnej pomocy. Objasniłem go, że dowództwo XII dywizji częściowo poinformowane o marnym składzie tej grupy,

oczekuje od tych z gorą pięćdziesięciu bataljonów już tylko chwilowego odciążenia w obsadzie pozycji, co pozwoliłoby jej samej przeprowadzić szerszą akcję zaczepną.

Zorientowałem pobieżnie generała o dotychczasowych walkach, i nieco dokładniej na mapie o sytuacji i rozmieszczeniu obecnym wszystkich oddziałów, oraz doradzałem mu specjalnie obsadę dość korzystnie położonych wzgórz po drugiej stronie rzeczki Chodla, celem zapewnienia jej przeprawy, a ustaliwszy jeszcze najlepszy sposób utrzymania wspólnej łączności, ruszyłem w powrotną drogę, by XII dywizji o tem wszystkim corychlej uwiadomic.

Wstąpiłem jednak po drodze jeszcze umyślnie do dowództwa 101 brygady landszturmowej, konstytuującej od dwóch dni w Opolu, aby przekonać się naocznie o skutkach zajść jakie tam miały miejsce w czasie paniki wywołanej cofnięciem się 3 dywizji kawaleryi w dniu 26 sierpnia.

Były one rzeczywiście fatalne, rynek spalony, sklepy zrabowane, mieszkanie biednej ludności również częściowo rozgromione, kilku mieszczan powieszonych za rzekomą zdradę, a proboszcz miejscowy posadzony przez władze wojskowe o dawanie rosyjanom sygnałów optycznych z wieży kościelnej.

To ostatnie twierdzenie, zupełnie fantastyczne, zdołałem przypadkowo szczęśliwie obalic, gdyż przyglądając się bacznie owej wieży kościelnej w chwili gdy słońce zachodziło, zauważyłem że promienie załamujące się w małych szklanych okienkach powodowały silne i często zmieniające się odbłaski, które naturalnie za sygnały poczytywać mogła jedynie chora ze strachu wyobraźnia, pragnąca koniecznie dopatrzeć się zawsze i wszędzie zdrady a to głównie dla usprawiedliwienia swego własnego niedołęstwa lub nawet tchorzostwa.

Wypowiedziałem też dobitnie to zapatrywanie w sztabie brygady i odjechać mogłem przynajmniej z tem przeswiadczeniem, że nieszczęśliwego proboszcza dalej o zdradę podejrzewać niebędą.

Po złożeniu mego sprawozdania w dowództwie dywizji zaproponowałem odrazu by po wcieleniu do pułków linjowych kompanii marszowych, które właśnie wydzielano rozwiązując całą pierwszą brygadę marszową-- wzmocnić w ten sposób, a - ogołem i tak bardziej bitne brygady linjowe zgrupować na odcinku flankowym między Chodlem a Opolem, pozostawić zaś zato znacznie mniej wartościowym bataljonom armji Kummera dobrze już rozbudowane rowy strzeleckie dotychczasowego frontu, licząc na to, że za drutami i w akcji defenzywnej, można przeciw będzie je jakos zużytkować. Lecz odosna moja propozycja została bezwzględnie odrzuconą przez dowództwo armji, zapewne dlatego, że wyższe władze przepisały już użycie grupy Kummera na lewym skrzydle, zaś każdej inicjatywy własnej obawiano się już wówczas tam nawet jak ognia.

Dowódca I armji poczciwy generał Dankl, chociaż prawdziwie skonczony gentleman, był przede wszystkim małostkowym i pedantycznym biurokrata, i w zupełnej swej apatii unikał stale wzięcia na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności. Dobrał sobie do pomocy jako szefa sztabu zacnego lecz również biernego generała Kochanowskiego, pochodzeniem raczej bukowinczyka niż polaka, oficera mało znaczącego, niemógł nigdy zdecydować się na samodzielne wykonanie jakiegos dyspozycji wyższej, i trzymał się wyłącznie dosłownego brzmienia tych przysyłanych mu z góry rozkazów. A choć przyznając, że w danym wypadku krzyżowanie się taborów naszych z grupą Kummera, odbywającą się poza frontem, mogło wywołać na przeciąg kilkunastu godzin pewne komplikacje, to jednakże znacznie większe przyszło chyba przewyciężać trudności, w kilka dni potem, gdy skutkiem tego musiano wesprzeć załamujące się centrum I armji jedną z niemieckich dywizyj generała Woyrscha, i przeciągać ją wraz z całym jej taborem poza frontem aż trzech dywizyj austriackich.

Na razie uzyskalismy dla XII dywizji jedynie przydzielenie do jej rejonu jednej brygady z grupy Kummera, złożonej przeważnie z Węgrów, pod dowództwem generała Sieglera, dzielnego i sympatycznego starego wojaka, któremu kazano obsadzić zachodnią część dywizyjnego odcinka.

Będąc najlepiej zorientowanym w sztabie dywizji co do detali całego frontu, który niemal codziennie objeżdżałem lub obchodziłem, poczuwałem się do koleżeńskiego obowiązku ułatwienia nowo przybyłemu brygadjerowi jego czynności i pomagałem mu ohochozo w ich wykonaniu.

Pozyskałem przez to odrazu jego zaufanie, i sam również powziąłem dużą sympatię do tego starszego już człowieka, trwającego tak w dzień jak i w nocy niezmiennie na swym posterunku w lasku niedaleko Grondów, posród dwóch bataljonów swoich starych landszturmistów, wydzielonych do odwodu.

A ponieważ wyskok zajętego przez niego lasku nadawał się równocześnie najlepiej jako moj własny postereunek bojowy, gdyż pokrywał najwyższy punkt całego pagorka naprzeciw Grondow i Borowa, przebywałem często z nim razem, i oprócz przyjemności kontaktu z tym starym doświadczonym wojskowym, miałem sposobność bezpośredniego obserwowania podwładnych mu oficerów, a szczególnie żołnierzy.

Utrwaliłem przez to moje przekonanie, że ten rodzaj wojska złożonego ze starych roczników nie nadaje się choćby pod najlepszymi dowódcami do żadnej akcji zaczepnej i co najwyżej może się okazać jako tako pożytecznym w dobrze rozbudowanych i drutami kolczastymi otoczonych rowach strzeleckich.

Mimo iż nakazana z góry akcja zaczepna musiała w tem niekorzystnym ugrupowaniu doprowadzić do zupełnie pewnego fiaska, przygotowywano się jednakże do niej poważnie i probowano zwiększyć, o ile się dało, odwód dywizyjny przez wycofanie z frontu jak największej liczby lepszych oddziałów. Porozumiewając się z sąsiadem, przynależnym do grupy Kummera, generałem Czappem, oddaliśmy mu do obsady jeszcze odcinek pod miasteczkiem Chodlem, gdyż spokój panujący wówczas przed całym tym frontem zdawał się pozwalać na to bez żadnego ryzyka.

Lewą grupę baterii polowych majora Hoffmanna pozostawiłem jednak za tymże odcinkiem koło wsi Godow, tak aby w razie potrzeby wspierać temi armatami tak widocznie niepewnego sąsiada, oraz aby moc, ostrzeliwać z tamtąd skosnym ogniem całą dolinę rzeczki Chodla aż po Skrzydłów, a również opanowywać korzystnie z flanki ewentualne drogi rosyjskiego zbliżenia się od strony Osiny i Trzcince. Przewrotność ta okazała się konieczną nawet w przyszłości wprost zbawienną, gdyż biedne landszturmowe "szpaki" z tej setnej brygady generała Mihalczica zaraz następnego dnia po objęciu nowych pozycji, t.j. już 1 września, urządziły sobie w nocy fałszywy alarm a po nim gwałtowną strzelaninę, poczem drapnęły prosto z pod Chodla, tak że po połapała je dopiero i szczęśliwie zawróciła nasza kawalerya dywizyjna pozostawiona w Godowie ku osłonie mych armat.

Po owym fatalnym doświadczeniu musieliśmy zagrozić tym oddziałom, że jeśli opuszczą ponownie niepotrzebnie swoje tak bezpieczne okopy, to własna artyleria skieruje na nich bez pardonu swój ogień, co też tak poskutkowało, że rozbudowawszy sobie potem lepiej swe rowy i schrony, ponosili skutkiem tego mniej ofiar i stali się w końcu nawet dosyć pewną obsadą.

Procz tego pozostawiła XII dywizya przed nimi bardzo dzielny bataljon strzelecki podpułkownika Biffła w wysuniętej pozycji dominującej nad całą okolicą na wzgórzu pod Adelinem, czem zyskała ostatecznie pewność, że odcinek ten pozostanie dobrze zabezpieczonym.

Natomiast dalsze linje grupy generała Kummera, rozciągające się popod Opole i aż blisko ku Wisle, dawały się nam co chwila jak najprzykrzej we znaki. Rosyanie, którzy operowali tam tylko jazdą wspartą, zaledwie kilku bataljonami piechoty, siedzieli bowiem zupełnie cicho dopóki znajdowała się w tej okolicy 3 dyw.kawaleryi, i ograniczali się przeważnie tylko do ~~wzbrony~~ ochrony trasy kolejowej z Dębłina do Lublina, którą to 3 dyw.kaw. usiłowała nawet przerwać kilkakrotnie, chociaż bez rzeczywistego rezultatu.

Z chwilą jednak gdy rosyjskie podjazdy skonstatowały, że na miejscu impo-
nującej kawaleryi linjowej podeszły pod Opole te ciemno ubrane landsztur-
mowe "dziady", rozpoczęły się odrazu jakby na dowód lekceważenia, natar-
czywe działania kozaków i dragonów rosyjskich. Co chwila więc napływac
poczęły do nas od tych rycerzy zatrważające wiadomości o "silnych natar-
ciach" i "akcjach poważnych sił rosyjskich" na Opole i okolicę, podczas
gdy w rzeczywistości, jak się sam kiedyś naocznie przekonać mogłem, pow-
tarzało się tam jedynie to samo widowisko, które kilka dni przedtem między
Solcem a rzeką Kamienną oglądałem przypadkiem z daleka.

Rosyjska kawalerya niepokoiła ich bowiem przedewszystkiem swymi rozrzuc-
nymi szwadronami, ostrzeliwującymi ich niedostatecznie rozbudowane rowy
strzeleckie z różnych lasków i ukryć, a nawet aż z drugiego brzegu rzeczki
Chodla, w pewnych zaś odstępach czasu nakrywała znow te rowy kilkoma sal-
wami armatniami, po których za każdym razem znaczna część owych bohaterów
uciekała w panicznym strachu nawet z zakrytych swych rowów, scigana natu-
ralnie tembardziej rosyjskimi pociskami. Pod wieczór, gdy ogień armatni
przycichał, wracali wprawdzie ci biedni landszturmisci do swych rowów dla
otrzymania strawy, jednak wszystko to niepotrzebne straty, osmielało co-
raz bardziej rosyjskich kawalerzystów, a własnych sąsiadów napełniało obawą
, że przeswietna ta grupa wojsk ucieknie ktoregos dnia w zupełności, pozos-

tawiając flankę i tyły XII dywizji bez jakiegokolwiek osłony.

I rzeczywiscie, gdy w pierwszych dniach wrzesnia taki napad ogniowy wypędził był znowu prawie całą obsadę z rowow strzeleckich z pod Opolą, przygotowane do tego szwadrony rosyjskie wpadły na umieszczoną na wzgórzach artylerję i gdyby nie heroiczny opór dywizyonu armat szybkostrzelnych, byłaby cała artylerja grupy Kummera wpadła w ręce atakujących.

Wówczas zdecydowano się przyspieszyć sciągnięcie na prawy brzeg Wisły oddziałów niemieckiej obrony krajowej generała Woyerscha, przyczem XII dywizja wydelegowała znowu mnie do tego, abym niemieckich dowódców zorientował i ułatwił im zapoznanie się z pozycjami austriackimi i z przeciwległą sytuacją rosyjską.

Podążałem 3 wrzesnia popołudniu z rzeczywistą niechęcią na to pierwsze w tej kampanji spotkanie z Niemcami.

Kipiała we mnie bowiem nietylko nienawisc polska do prusakow, lecz pozatem jeszcze i osobista irytacja oraz upokorzenie, że muszę odgrywać wobec tych ludzi o których wyższości organizacyjnej w i wysokich walorow bojowych byłem dobrze poinformowany, - rolę przedstawiciela wojska prezentującego się w danej chwili i miejscu, tak specjalnie marnie, a nawet wręcz opłakanie.

Pamiętam dobrze że rozmyślnie w sposób najbardziej sztywny i ceremonialny przywitałem się z grupą ich sztabu, którą spotkałem około godziny osiemnastej w małej wiosce Pusznio Godowskie, przy goscincu prowadzącym z Opolą do Urzędowa. Ponieważ Niemcy chcieli zorientować swych artylerzystow w terenie jeszcze przed zachodem słońca, więc postanowiłem poprowadzić sam ich oficerow artylerjskiej landwery, niezbyt zresztą imponujących wyglądających starszych wiekiem ludzi, podczas gdy przybyłem ze mną z ramienia dowództwa korpusu kapitanowi Frankowi kazałem grupie ich sztabowcow wytłumaczyć w budynku szkolnym za pomocą map i szkicow detalja austriackich pozycji.

Ruszyłem konno żwawem tempem, ktoremu ci starsi panowie nie bardzo nadążać mogli więc wydostałem się wkrótce sam na wzgórze koło wsi Komaszycy, skąd można było dobrze objąć wzrokiem większą część bojowego odcinka.

Zauważywszy jednak ruch na wzgórzach po stronie przeciwnej, zawróciłem ku podążającym za mną wolniej Niemców i zaproponowałem aby zsiadli z koni, gdyż śledzący wszystko pilnie obserwatorzy rosyjscy mogą łatwo skierować na nich ogień swych armat. Niemieli oni jednak na to ochoty, gdyż zsiadanie i ponowne wsiadanie na konia było dla nich zapewne z powodu ich otyłości zbyt uciążliwym, woleli zatem podzielić się tylko na grupki i podjechać w ten sposób nawet jeszcze bliżej ku dolinie.

Muszę zato przyznać, że gdy Rosjanie posłali im odrazu na powitanie kilka niezle wycelowanych szrapneli, nnie zdenerwowało ich to wcale, bo jechali dalej stępą wraz ze swymi ludźmi i rozmiescili się zaraz zupełnie odpowiednio oraz całkiem spokojnie w najbliższym terenie. Potem mimo dalszych strzałow, poczęli obserwować z największą flegmą ogień rosyjski, ustalać kierunek jego pociskow oraz szukać gorących jeszcze zapalników tych szrapneli, tak że musiałem przyznać sobie w duchu iż są oni w każdym razie tęgimi i fachowymi ludźmi, pomimo swego nieszczegolnego wyglądu.

A gdysmy się pod wieczór, po zupełnie zadawalającym omówieniu spraw służbowych, mieli już pożegnać, a ja nieco już lepiej dla nich usposobiony zaproponowałem im skromny posiłek w mojej artylerzyckiej grupie znajdującej się w pobliżu pod Godowem, spodobali mi się jeszcze więcej swem oświadczeniem, że mając spotkać się ze swymi oddziałami pod Wrzelowcem, muszą wracać tam natychmiast, aby na czas wszystko zadysponować i wyprowadzić baterje swoje jeszcze przed wschodem słońca niepostrzeżenie na wybrane własnie dla nich pozycje.

I rzeczywiscie dzielni ci oficerowie ustawili już przed brzaskiem armaty swe tak doskonale nad samym brzegiem rzeczki Chodla, że mimo iż były one starego typu i bardzo ograniczonej doniosłości, zdołali w ciągu jednego dnia przepędzić baterje rosyjskie poza strefę swej nosności, zakrywając je odrazu bardzo intensywnym napadem ogniowym gdy tylko się z rana odezwały.

Zaimponowali też odrazu nietylko nieprzyjacielowi, rozzuchwalonemu poprzedniemi łatwym powodzeniem, lecz i sąsiadom, a dwa ich bataljony wystarczyły zupełnie, by ustalić silnie na wzgórzach pod Opolem front owych chwiejących się ciągle kilkunastu bataljonow austriackich landszturmistow i odeprzec z ciężkimi stratami oddziały rosyjskie podsuwające się nieopatrznie, jak dotychczas, poprzez rzeczkę Chodel ku południowemu jej brzegowi.

A byli oni przecież także tylko landwera, przeważnie poznanską i slązką, lecz porządnie zorganizowaną w pułki i w brygady, prowadzoną przez oficerow znających swe obowiązki, tworzyli zatem mimo swego trochę starszego wyglądu praw-

dziwie wycwiczone i dzielne wojsko, a nie improwizowaną zbieraninę jak grupa Kummera, której musieli na naszym froncie spieszyć właśnie z pomocą. Niestety wyższe zarządzenia skierowały niebawem cały korpus tej niemieckiej landwehry generała Woeyscha dalej ku wschodowi, poprzez Urzędów ku Bychawie, za wyjątkiem owych dwóch bataljonów pozostawionych pod Opolem.

Z tego przesunięcia można też było odrazu wywnioskować że poważna bitwa tocząca się już od pewnego czasu w obrębie 4 Armji generała Auffenberga oraz na prawym skrzydle stykającej się z nią na górnym Wieprzu I armji, nieokazuje jednak tak korzystnego przebiegu jak nas o tem w ciągu ostatnich dni niezmiennie zapewniano.

Byliśmy tymi zarządzeniami tembardziej strapieni, że spodziewaliśmy się właśnie teraz owej oddawna wyczekiwanej chwili, w której można by zehrać całą XII i V dywizję, oraz uderzyć niemi wraz z dzielnymi bataljonami niemieckimi korpusu generała Woeyscha, nareszcie na prawe (zachodnie) skrzydło armji gen. Everta, aby rozbiwszy przeciwnika napierać potem z całą energją na Lublin i zapoczątkować przeto zwinięcie całego rosyjskiego frontu od strony Wisły. Tymczasem nakazana nam obecnie defenzywa wykluczała wszelką taką akcyę a skazywała znow na prawdopodobne fiasko, niefortunne frontalne użycie dobrego niemieckiego żołnierza.

Brak energicznej inicjatywy ze strony dowództwa I armji i zupełna nieumiejętność wyzyskania tej pięknej sposobności ze strony austriackiego naczelnego dowództwa, spowodowały nakazanie owym doskonałym niemieckim bataljonem bezcelowych spacerów po najgorszych drogach poza naszym frontem, zamiast użycia ich odrazu na skrajnym lewym skrzydle i wywarcia tem niechybnie silnego wstrząśnienia całego rosyjskiego ugrupowania między Wisłą a Wieprzem.

W połączeniu z dużymi sukcesami odnoszonymi wówczas przez IV armję na wschód od Wieprza, oraz przez Hindenburga pod Szczytnem, musiała bowiem akcyja taka doprowadzić do realnego, a może nawet decydującego ogólnego zwycięstwa. Dzisiaj na podstawie dat obu stron walczących, można stwierdzić, że ta nasza intuicyjna ocena ówczesnej sytuacji na froncie była rzeczywiście trafną, mimo iż nikomu z nas niedawano od samego początku jakby rozmyślnie ani z dowództwa armji, ani tem mniej z naczelnego dowództwa wręcz żadnych, a tak przecież koniecznych wiadomości o ogólnym położeniu.

Było to bezwzględnie błędne i okazało się wielce szkodliwym, gdyż sztaby takich wyższych jednostek jak korpusy i dywizje, ograniczone do zdawania sobie sprawy z własnego tylko odcinka, a nie informowane z góry o tem nawet co się u najbliższych ich sąsiadów dzieć, zdane nałskę losu oraz własnych informacji i domysłów wyrobiły w sobie z konieczności obojętność a nawet wobec całokształtu sytuacji zasadniczą bierność.

Bierność tak potęgowała się jeszcze znacznie, przeto, że kazano im odczekiwać codziennie przedewszystkiem wyższych rozkazów, a te mieszały się już wówczas, a z czasem coraz bardziej, wew wszystkie datalja wykonawcze, jakie zasadniczo należało pozostawić wyłącznie frontowym dowódcom. W obecnym wypadku wnioskowaliśmy z tych rozkazów, że mimo widocznej przewagi jaką zyskała IV armja generała Auffenberga w ciężkich walkach trwających wciąż jeszcze między górnym Wieprzem a Huczwią i Bugiem, - nazwanych później bitwą pod Komarowem, - zupełna bierność całej I armji po jej początkowych sukcesach pod Annopolem i Krashikiem, spowodowała niefortunne natknięcie się na wzmocnione fortyfikacyjnie pozycje rosyjskie, stała się powodem ogólnej przegranej.

Armja ta bowiem, wiążąc swemi pełnymi dziewięcioma dywizjami tylko cztery do pięciu dywizji przeciwnika, dozwoliła generałowi Evertowi przeciwstawić całą resztę swych sił IV armji austrackiej i doczekać się w ten sposób nadejścia spieszących mu z pomocą od Kowla i z nad Bugu kolumn V armji generała Plehwego. A chociaż generał Auffenberg zdołał wyprzec w koncu jeszcze i armję Plehwego przy pomocy zadysponowanej z południa grupę arcyksięcia Jozefa Ferdynanda toskanskiego, będącej częścią III armji austriackiej, akcyja ta nie mogła już doprowadzić do istotnego rozbitcia przeciwnika i osiągnęła jedynie częściowe poturbowanie pięciu jego korpusów.

Dlatego po cofnięciu się III armji lwowskiej generała Brudermanna, stopniałej do siedmiu już tylko dywizyj, a wypartej z Małopolski wschodniej i z pod Lwowa ogromną przewagą dwóch silnych armji rosyjskich Iwanowa i Ruzskiego, wszystkie owoce poprzednich zwycięstw austriackich zdawały się już przekreślonymi.

W początkach wrzesnia nie miało dowództwo XII dywizji jednak żadnych o tem wszystkim informacji, a tylko wzmianka o poważnych wzmaganjach "mogących zdecydować o losie całej kampanji" jak się wyraża to naczelne dowództwo, wskazywała na wielką doniosłość chwili. Wyczekiwaliśmy zatem lada chwila wzmocnienia, również i akcyi wszystkich innych sił a przedewszystkiem użycia dzielnego korpusu generała Woyerscha do energicznego flankowego natarcia w łączności

z większą częścią I korpusu przez Opole.

Skierowanie tegoż dalej na wschód było więc wobec tych nadziei wielkim dla nas zawodem, gdyż z pomocą tak mało wartosciowych oddziałów jakimi byli landszturmisci generała Kummera, niemożna było myśleć o jakimkolwiek poważniejszym przedsięwzięciu na flankę rosyjską.

Dowództwo I armji, nauczone smutnym doswiadczeniem, nie rudiło się też wcale pod tym względem, lecz zawiniło tembardziej ciężko tem, że niesiliło się ~~wraz~~ ono nawet, w swej niebywałej biernosci, na wytłumaczenie Naczelnemu Dowództwu niesłuszności i niebezpieczeństwa wydanych zarządzeń, ale ograniczyło się do niewolniczego i biurokratycznego wykonania obronnej koncepcji nakazanej wyższymi rozkazami, które opierały się często na informacjach zawodnych, i przedstawiających błędnie istotną sytuację. W ten sposób zakazano na całym froncie wszelkich zaczepnych poczynan, i kazano "wyprostować" linię oporu wyłącznie wzdłuż lewego (południowego) brzegu rzeczki Chodla, czem spowodowano naturalnie przedewszystkiem ogromne obniżenie ogólnego nastroju moralnego. Szczególniej w sławetnej grupie Kummera zaczęły się powtarzać znowu lokalne "uchodzenia" tak iż trzeba było znowu ponowić energicznie groźbę obrocenia własnych armat przeciw tym bohaterom, jeśli samowolnie porzucą zechcą przydzielone im okopy. Niemiała przygoda wydarzyła się wówczas jeszcze i Aleksandrowi Skrzynskiemu, którego posłałem jednego południa do mej artylerji pod Godowem w tym celu by zorientował się osobiscie co do chwilowego stanu stojącej pod Chodlem, brygady węgierskiego landszturmu generała Mihalcića.

Gdy do poznego wieczora nie powracał, zaniepokojony jego nieobecnością a mając przytem świeżo w pamięci smutne doswiadczenie ze s.p. Żelenskim, poleciłem dowodcy grupy artyleryjskiej pod Gdowem by szukać go kazał natychmiast energicznie. Dzięki temu odnalazł on go w owej brygadzie węgierskiej, gdzie został aresztowanym jako podejrzany o szpiegostwo.

Pokazało się, iż gdy zjawił się tam w mundurze prostego ułana u jakiegos nad miarę zdenerwowanego dowodcy pułku i udzielił mu wyczerpujących ustnych informacji, stosownie do mego zlecenia, podejrzliwe madziary zadegutowały, że tak inteligentny człowiek, noszący mundur szeregowca a posiadający wiadomości sztabowego oficera, nie może być czem innym jak tylko szpiegiem.

Zamknęli go więc do ciemnego lochu, obrabowawszy przedtem doszczętnie z wszystkiego co miał przy sobie, i żywili szczerzy zamiar powieszenia nazajutrz tego niebezpiecznego ptaszka, którego tak szczęśliwie udało im się przychwycić.

Dzięki wczesnej mojej interwencji skonczyła się ta awantura tylko na stracie zabranej gotowki oraz i na ochwaceniu wartosciowego wierzchowca, którego te madziary pozostawili spoconego przez całą zimną noc bez ruchu przywiązanego poprostu do drzewa, na ktorem miał zawisnąć nazajutrz jego jezdziec.

Incydent ten przyniosł zato Skrzynskiemu natychmiastową nominację na starszego wachmistrza; a jednocześnie został też podany do odznaczenia za waleczność okazaną już kilkakrotnie przedtem w chwilach prawdziwego niebezpieczeństwa.

Lecz jakżeż łatwo mógł on przepłacić życiem krotkowzroczną i tchorzliwą zaciekłość tych nierzumiejących języka węgrow, którzy pozniej wieszali tak często całkiem niewinnych ludzi na podstawie najbłachszych i przeważnie zupełnie bezsensownych podejrzeń.

Tymczasem wykonano pomimo mego protestu, nakazane imperatywnie przez wyższe dowództwa opróżnienie dominującego wzgorza pod Adelinem, co dało niebawem możność obserwatorom rosyjskim zajęcia tego punktu i uzyskania pełnego i wygodnego wglądu również i na tyły frontowych pozycji austriackich, szczególnie w kierunku na Radlin i Ratoszyn (szkic 3), gdzie mieścił się sztab XII dywizji oraz główne siły jej odwodów.

Przytem od ranka dnia 3 wrzesnia konstatawałem, tak samo zresztą jak i moi obserwatorzy artyleryjscy, wzmożony ruch u rosjan i przedewszystkiem powolne lecz konsekwentne wzmacnianie ich grup wysuniętych w okolicach Huty Trzcienieckiej i Borowa, przez bezustanny i poważny napływ pojedynczych ludzi.

To też wrociwszy dnia 4 sierpnia w południe na obiad do sztabu dywizji w Ratoszynie, wyraziłem przekonanie, że rosianie przygotowują; i to zapewne na najbliższe już chwile, większą akcją zaczepną, ktorej nieomieszkają poprzedzić ostrzeliwaniem sztabu, tak łatwym teraz dla nich dzięki dokładnej obserwacji z owych wzgorz pod Adelinem. Lecz poczciwy dywizyoner ge-

nerał Kestranek zaciągnął zaraz tak mnie jak i swego szefa sztabu do budynku szkolnego na oczekujący nas już tam obiad, oświadczając, że po jego zjedzeniu będzie jeszcze dość czasu na dyskusję taktyczną, która, i tak musi pozostać zupełnie jałową, gdyż najsurowszy zakaz wyższych dowództw podejmowania wszelkiej zaczepnej kontrakcji wyklucza na razie jakiegokolwiek aktywne zareagowanie z naszej strony.

Podczas obiadu, podanego w całym gronie sztabu dywizyjnego, liczącego już wówczas około 30 osób nie mogłem się jednak oprzec nurtującym mnie ciągle przeczuciom grożącej katastrofy i dlatego prowadziłem po cichu nadal w tej sprawie żywą dyskusję z szefem sztabu majorem Gerbertem, rozumiejącym mnie gruncie najzupełniej.

Nakłoniłem też wreszcie i dywizyonera do pospiesznego zakończenia obiadu oraz przejścia w scislejszym już gronie na czarną kawę do jego gabinetu służbowego, gdzie mieliśmy pod ręką mapy a przede wszystkim i telefon.

Podczas gdy zacząłem szkicować generałowi sposób w jaki proponowałbym wystąpić agresywnie celem pokrzyżowania planów przeciwnika, a szef sztabu próbował połączyć się telefonicznie z dowództwem korpusu dla otrzymania pozwolenia na taką konieczną kontrakcję, nastąpiło właśnie to przed czym tak usilnie i bezskutecznie przestrzegałem.

Z przeciągłym swistem padających nagle gęsto pocisków armatnich, z hukiem licznych wybuchów, i z brzękiem tłuczonych szyb oraz łoskotem odłamywanych dachówek i cegieł, lecących z dachu naszej szkoły, łącząc się poczęły odrazu przerazliwe krzyki odzywające się wprost pod oknami dywizyjnego sztabu, przeplatane głośnym a bezładnym nawoływaniem. Podbiegłem więc do drzwi wchodowych, aby zobaczyć co się właściwie na zewnątrz domu dzieje, i przekonałem się od pierwszego spojrzenia, że sytuacja która wyłoniła się, była dokładnie taka, jaką od rana przewidywałem.

Gwałtowny rosyjski napad ogniowy, skierowany głównie na sztab dywizyjny w Ratoszynie, sprawił odrazu nieopisany popłoch w zakładach i taborach roztasowanych jak najwygodniej i nie oczekujących bynajmniej jakiegokolwiek przykłej niespodzianki. Wszystko rzuciło się naraz do bezładnej ucieczki, a zaprzężona właśnie w owej chwili kolumna sanitarna, uciekająca z dziedzinca radlińskiego dworku, wpadła na grobli całkiem przypadkiem na maszerujący w przeciwną stronę tabor któregoś z frontowych jednostek. Krzyki przekleństwa najeżdżających na siebie wzajemnie wozniców, przerażonych pękającymi tuż obok nich granatami, chociaż te granaty nie czyniły im nawet żadnej szkody pękając przeważnie w wodzie stawu, niepomogły oczywiście wcale do tego, by zczepione ze sobą wozy rozplątać i przez wązki mostek przeprowadzić.

Widząc zatem, że z tak błahego zajścia może wyniknąć prawdziwa katastrofa, podbiegłem po grobli ku mostkowi trzymając w jednej ręce grubą łaskę, a w drugiej dobyty na prędcę pistolet.

Gęstymi razami i groźbą użycia pistoletu zmusiłem wkrótce tych oszalałych ze strachu wozniców do niejakiego spokoju oraz wycofania zaklinowanych już wozów. Nadbiegł też zaraz do mnie i Skrzynski, więc poleciłem zebrać natychmiast naszych ludzi sztabowych porozmieszczanych w budynkach dworskich, kazać osiodłać konie i przyprowadzić je do mnie, sam zaś zdoławszy skierować wreszcie ową tabor pułkowy w lewo, a kolumnę sanitarną w prawo poprzez wies na zakrytą drzewami drogę, wrociłem do szkoły aby wejść w kontakt z pozostawionym tam przed chwilą sztabem dywizyjnym.

Zastałem jednak budynek szkolny zupełnie opustoszały, zastawę stołową porzuconą w nieładzie, podczas gdy okna ze strony ogrodu pootwierane lub wybite, świadczyły że część moich kolegów sztabowych tą drogą szukała zbawiennej ucieczki. Także w kancelarii sztabowej i w innych pokojach służbowych świeciły pustki, parę tylko skrzynek z aktami i przyborami leżało na podłodze, a zerwane druty centrali telefonicznej świadczyły o pospiechu z jakim się i z tamtąd usuwano.

Tymczasem dotychczasowe gwałtowne ostrzeliwanie szkoły i folwarku Ratoszyna zastanowili rosyjanie niemal zupełnie, a swist pocisków przelatujących nad moją głową wskazywał mi, że ich artylerzyści obserwujący skutek swych strzałów ślali ogień dalej za uciekającą ku południu grupą sztabowców oraz ich ludźmi i koniami dając mi przez to możność łatwiejszego uporządkowania reszty sztabu i taborów pozostałych jeszcze na folwarku.

W czasie tego podprowadził był już Skrzynski nasze konie przez zatłoczoną groblę, a ukrywając je w zagłębieniu terenu koło kuzni dworskiej, powrócił sam by stanąć do mojej dyspozycji. Pocziwy stary ordynans Michał był też zaraz pod ręką, a przetrwawszy przy naszym wozie stojącym koło samej szkoły całe najgwałtowniejsze ostrzeliwanie, zakładał teraz do niego moje konie zaprę-

gowe. Nakazałem mu, by z rezerwowymi ludźmi dywizyjnego taboru, wyciągniętymi przez Skrzynskiego z ostrzeliwanych tak silnie przed chwilą stajen, pozabierał przede wszystkim ze służbowych pokoi akta i skrzynie tam pozostawione, a potem uporządkowawszy należycie ten scislejszy tabor, ukrył go w najbliższym terenie i oczekiwał dalszych moich rozkazów lub powrotu dowództwa dywizji. Sam zaś wsiadłem na konia by odszukać dywizyjne odwody, zdecydowany przede wszystkim na zatrzymanie każdego wstecznego ruchu oddziałów frontowych, który wobec fatalnej ucieczki całego sztabu mógł tak łatwo rozpocząć się samorzutnie. W tym celu postanowiłem dojechać najpierw do Ratoszyna, gdzie miały stać owe odwody, lecz droga przez wies była tak dalece zapchana taborami, że zmusiło mnie to do wyjechania wraz z całym moim otoczeniem a więc w kilkanastce koni, wprost przez folwark na zorane świeżo pole, pokazując się temsamem rosyjskiej artylerii, która zwrociła też natychmiast swój ogień od nieszczęśliwych uciekinierów na moją dość pokazną grupę.

Ruszyłem jednak od razu galopem, przyczem jeźdźcom moim kazałem się rozpruszyć, co nas rzeczywiście uratowało, gdyż mimo iż rosyjanie strzelali doskonale, skracając szybko dystanse, a liczne ich pociski przelatowały z szumem i swistem koło naszych głów i wybuchały nawet gęsto między naszymi koniami, szczęśliwym trafem żaden z nich nikogo wprost niezaćpeził.

Po kilku minutach ostrego galopu byliśmy też już poza strefą tego ognia, nalykawszy się tylko dobrze kurzu i dymu, a wraz z nami przebył również szczęśliwie i dowódca 23 brygady generał Lilienhof, którego poniosł kon za nami wbrew jego woli.

To ogniowe powitanie mojej konnej grupy szczęściem zupełnie nieszkodliwe, uratowało przytem, jak się później okazało cały sztab dywizyjny, który mógł wytchnąć i ukryć się za wzgórzami, oddzielającymi Radlin od Ludwinowa, podczas gdy rosyjanie ogień swój na mnie zesrodkowali.

Dojechawszy do kościołka w Ratoszynie zastałem tam sztab odwodów dywizyjnych już na koniu, a kolumny 20 pułku piechoty pułkownika Puchalskiego rozpoczęły nawet marsz odwrotowy w kierunku południowym.

Oburzony do żywego iż dano się i tu do tego stopnia nastraszyć i przepłoszyć samem tylko ostrzeliwaniem, chociażby nawet najgwałtowniejszym, a pragnąc się odwdziżyć rosyjanom za ten ich napad ogniowy z hojnym naddatkiem, zdecydowałem się niemal odruchowo na zastąpienie nieobecnego dowódcy dywizji i wydawać począłem natychmiast odpowiednie rozkazy.

Młodszy rangą pułkownik Puchalski podporządkował się mi się naturalnie bez najmniejszego oporu i zaraz zawrócił kolumny swego pułku, skierowując je stosownie do mego polecenia, w zagłębienie terenu ciągnące się poza całym frontem dywizyjnym od zachodu ku wschodowi.

Trudniejszym było porozumienie się z generałem Lilienhofem, znacznie odemnie starszym tak wiekiem jak i rangą, a przytem w owej chwili bardzo zdenerwowanym dopiero co przebyłym galopem wśród rosyjskich pocisków.

Lecz moja energiczna i zupełnie zdecydowana postawa i krótkie oświadczenie, że nie czas teraz na dysputy, gdyż muszę ratować całą dywizję, i żądać zatem muszę od wszystkich bezwzględnie posłuchu, zdecydowały go jednak do objęcia przydzielonego mu przezemnie dowództwa lewego odcinka aż po Chodel włącznie, z obowiązkiem dopilnowania aby ta część frontu wytrwała bezwzględnie w swych rowach, a szczególnie by madyarzy 100 brygady landszturmu zaraz nieuciekli. Z podobnym rozkazem posłałem natychmiast Skrzynskiego i do drugiego starszego też odemnie generała Zaleskiego do wioski Kępa, wzywając go aby ze swą grupą utrzymał przynajmniej bezsprzecznie cały odcinek swojej brygady, a w razie możności poparł mnie choć częścią swych odwodów w kontrakcyi, którą zamierzam przeprowadzić z okolic Grond i Berowa.

Obiecałem mu, że po wydaniu rozkazów dla tej akcji, dojadę do niego jeszcze osobiscie, celem wzajemnego uzgodnienia naszej działalności.

Tymczasem korzystając z krótkiego postoju wypoczynkowego w zagłębieniu terenu na północ od Radlina, wyjaśniłem pułkownikowi Puchalskiemu oraz zgromadzonym przy mnie jego oficerom sztabowym, mój własny plan działania, oparty na odpowiednim użyciu całego 20 pułku piechoty (krakowskiej), stanowiącego chwilowo główny odwód XII dywizji.

Wy tłumaczyłem im, że systematyczna zbiórka rosyjskich oddziałów odbywająca się już od dwóch dni przed najśłabszą częścią dywizyjnego frontu, t.j. przed środkowym odcinkiem obsadzonym przez węgierskich landszturmistów z 101 szej brygady generała Sieglera, nasuwa uzasadnione przypuszczenie, iż w najbliższym czasie, prawdopodobnie już z brzaskiem dnia jutrzejszego 5 września, nastąpi tamże gwałtowny atak ich piechoty. Wobec tego musi być piechota ta już niewątpliwie po większej części zebrana w dolinie rzeczki Chodla, między Grondami i

Borowem, a grupując się należycie do ataku któryby nas zaskoczył, znajduje się niechybnie tak silnie zmasowaną w owej okolicy, że po krótkim nawet tylko ostrzeliwaniu jej przez artylerię, powinno flankowe natarcie naszej piechoty wydać ogromne rezultaty. Ponieważ w wąskiej dolince Chodla nie było i tak dość miejsca dla rozwinięcia większych sił, a flankowe ataki wykonane choćby nawet słabszymi siłami mogły w tych warunkach mieć jeszcze znaczniejszy rezultat gdyby się udało przypuszczać je z obu stron na to gęste zgrupowanie rosyjskie, (szkiec 2) nakazałem aby II bataljon 20 pułku piech., podsunięty już poprzednio bardziej ku Chodlowi dla wsparcia niepewnych Honwedów, złączył się ze stojącym pod młynem na zachód od Borowa bataljonem strzelców dzielnego podpułkownika Biffła i zaraz po nastaniu ciemności wykonał wspólnie z nim od zachodu pierwszy atak demonstracyjny wzdłuż rzeczki w kierunku na Borow.

To natarcie miało być zarazem sygnałem dla specjalnie przezemnie dyrygowanej artylerii polowej do zasypania całej kotliny między Borowem a Grondami silnym ogniem armatnim. Z jego zaś znowu ustaniem ruszą natychmiast pozostałe trzy bataljony 20 pułku piechoty przygotowane w laskach na wschód od Grondów, również wzdłuż rzeczki, ale znowu od wschodu ku północnemu zachodowi, do energicznego ataku na odcinek Grondy-folwark Borow, podczas gdy strzelcy wraz z II bataljonem 20 pułku ponowią równocześnie swój atak od zachodu na wies Borow. przykazałem jednak, aby po wykonaniu tych natarć i zasypaniu ogniem wszystkich sił jakie rosyanie zdołali nagromadzić dotychczas w dolinie między folwarkiem a wsią Borowem, obie grupy nie zapędzały się nocą w żadne niebezpieczne poscigi, lecz powracały zaraz na swe wyjściowe stanowiska, i to koniecznie przed nastaniem dnia jeszcze, celem uniknięcia niepotrzebnych strat, od ognia celnej artylerii rosyjskiej, która mogła dopiero z brzaskiem zorjentować się należycie i ostrzeliwać ich skutecznie.

Uważałem za konieczne wydanie takich aż nazbyt może szczegółowych rozkazów ze względu na to, że przedsięwzięcie było aż nazbyt skomplikowanym, a przytem miało się odbyć w nocnej porze.

Rozumowałem że taka kacya wystarczy zupełnie celem przeszkodzeniu rosyanom w ich agresywnych zamiarach i pokrzyżowania planu ich ofensywy, do której ściągali od kilku dni poważniejsze swoje rezerwy.

Mimo niewielkich sił, które do tego użycie zamierzałem, mogłem osiągnąć rezultat zupełnie zadawalniający, gdyż spodziewałem się iż oddziały rosyjskie zaskoczone w nocy z dwóch stron a przytem zasypywane pociskami naszej artylerii, stracą wśród ciemności wszelką orientację oraz spokój nerwów, i dlatego dadzą się łatwo rozbić przez atakujące bataljony XII dywizyi, mimo znacznie przeważającej swej liczby.

Ponieważ wiedziałem że przy takich sposobnościach wynikają nieraz pomyłki z racyi różnicy zegarków lub nieodpowiednio naznaczonej godziny, umyślnie niewymieniłem czasu dla rozpoczęcia samej akcji, ani jej poszczególnych faz, lecz nakazałem jedynie kolejność ich wykonania.

Ustaliwszy że akcyę zacznie naprzód od zachodu, całkiem pewny i energiczny dowódca bataljonu wadowickich strzelców podpułkownik Biffł, a zaraz po nim otworzy artyleria ogień armatni, którego kontynuowanie lub wstrzymanie miałem każdej chwili sam w ręku, byłem zupełnie pewnym, że po tym ogniu nastąpi dokładnie w odpowiednim momencie atak ogólny ze stron obu, działający już głównie przez kompletne zaskoczenie.

Nakazałem jeszcze wypoczynek i rozdanie dobrej kolacyi mającym atakować oddziałom i wydałem pospiesznie wszelkie potrzebne zarządzenia obu grupom artylerii, przeznaczonym do wspierania tej akcji, t.j. bateriom haubic mającym zarzucić granatami znane nam już miejsca zbiórki rosyjskich bataljonów, oraz bateriom polowym majora Hoffmanna, przeznaczonym do tego by od zachodu sięgały skosnym ogniem w dolinę rzeczki aż po folwark Borow włącznie.

Po tem wszystkiem udałem się na zagrożony najmocniej środkowy odcinek do zaczętego dowódcy madjarskiej brygady generała Sieglera, aby i jego należycie o całym przedsięwzięciu poinformować, uprzedzając zarazem że na czas tej akcji zamierzam ulokować się z nastaniem wieczoru, tak jak zwykle w jego pobliżu, na na wysoku lesnym koło wsi Grondy.

Na tem miejscu dominującym nad okolicą, aż zapewniającem równocześnie dostateczne zakrycie dla własnej obserwacyi, kazałem też odrazu rozmieścić się memu sztabowi wraz z obserwatorami i założyć połączenia telefoniczne do grup bateryjnych. A że przedtem jeszcze rozesłałem w południową stronę poza front kilku podoficerów celem odszukania sztabu dywizyi, zaginionego od chwili ogniowego napadu na Ratoszyn, nie pozostawało mi więc teraz już nic innego do czynienia jak udać się do generała Zaleskiego, któremu obiecałem porozumienie osobiste, a który dotąd niedawał jeszcze znaku życia.

Po drodze spotkałem Skrzynskiego, który mi zaraz zaraportował o dość nieprzy-

chylnem usposobieniu generała Zaleskiego dla zamierzonej przezemnie akcji, co mnie zbyt jako młodszego rangą niezdziwiło, gdyż wiedziałem że jest on nerwowym i formalistą, a w stosunku do mnie być może też nieco uprzedzonym. Postanowiłem więc przeformować od razu rzecz całą, chociaż znaczne uspokojenie jakie było w między czasie nastąpiło na froncie, niedawało mi już prawa do wystąpienia w sposób tak energiczny jak to uczyniłem poprzednio koło kościoła w Ratoszynie, wprost pod ogniem dział rosyjskich.

Przybywszy do kwatery generała Zaleskiego w miejscowości Kępie oświadczyłem mu zaraz wobec jego oficerów oraz Skrzynskiego, którego umyślnie jako świadka przy sobie zatrzymałem, że po ucieczce sztabu dywizji z folwarku w Ratoszynie zmuszony byłem dla powstrzymania paniki a przeto i ogólnej klęski objąć dowództwo na całym dywizyjnym odcinku i wydać niezwłocznie rozkazy dla koniecznej kontrakcji, a teraz pozostawiam jego decyzji, czy zechce jako starszy przejąć na siebie całą ciężką zato odpowiedzialność i zatwierdzić moje zarządzenia, które niemogą już w żaden sposób być odwołanymi, czy też woli pozostawić mi nadal całą odpowiedzialność za kierownictwo owej akcji i zarządzić w swoim własnym rejonie tylko jakiegokolwiek odpowiednie współdziałanie.

Genrał Zaleski odmówił, jak to zresztą z wszelką pewnością przewidywałem, wzięcia odpowiedzialności za zarządzoną już przezemnie kontrakcją, zasłaniając się znanym nam wszystkim kategorycznym zakazem wyższych władz wojskowych, co do wszelkich przedsięwzięć agresywnych. Oświadczył jednak, że na swoim odcinku wesprze lojalnie moje działanie przez wydanie odpowiednich zarządzeń, a równocześnie będzie starał się ze swej strony powiadomić o wszystkim dowództwo dywizji, nawiązać kontakt z nim i spowodować jego decyzję.

Ponieważ ze strony dywizji spodziewać się mogłem najostrożniejszego ewentualnego sprzeciwu, n~~am~~ pragnąłem bynajmniej odczekiwac skutków nawiązania tej właśnie łączności, i wypiszący tylko pospiesznie ale z wielką przyjemnością ofiarowaną mi szklanke gorącej herbaty, pożegnałem generała Zaleskiego i podążyłem o zapadającym już zmroku do moich obserwatorów w lasku pod Grondami.

Dotarliśmy już zupełnie po ciemku do obozowiska mądarów, którzy nas mocno już zgłodniałych uraczyli bardzo gościnnie gorącym gulaszem i kilku szklanczkami dobrego grogu, poczem pogawędziwszy trochę z nimi i zostawiwszy u nich nasze konie wierzchowe, poszliśmy dalej pieszo, świecąc sobie lampką elektryczną i stanęli o 9 wieczorem, zupełnie już po ciemku, na stanowisku bojowym mego sztabu. Tam zawińliśmy się w płaszcze i położyli jak to mogli, pod drzewami przy telefonie i aparatach obserwacyjnych, aby z pokrzepionymi nieco siłami stanąć za jakie dwie godziny do roboty. Zdrzemnąłem się oparty o pień sosny, wśród kompletnej ciszy zalegającej cały las, lecz niebawem obudził mnie księżyc wchodzący w pełni nad nami. Myśl że za chwilę rozpocznie się walka zainicjowana tak samodzielnie moją własną decyzją a rozstrzygająca zapewne o utrzymaniu pozycji całego frontu, napełniała mnie też pewnym wewnętrznym podnieceniem. Odnosiłem wówczas wrażenia myśliwego, który przygotowawszy odpowiednio obławę na grubego zwierza, wyczekuje z bijącym sercem na swym stanowisku rezultatu tych zabiegów, całkiem niebaczając na niebezpieczeństwo, lecz, niespokojny tylko o to jedynie, by zwierze nie uszedł mu z matni. Wspomnienie sromotnego popłochu jakiego byłem niedawno świadkiem w czasie popołudniowego ostrzeliwania oraz świadomość szkód moralnych i materalnych wynikłych z tego dla dywizji, napełniały mnie chęcią odwetu, a kłopotalem się o to jedynie, czy przeciwnik niepotrafi wyslizgnąć się nam jeszcze, lub wcześniejszym uderzeniem ze swej strony nie zechce popsuc mi wszystkich szyków.

Dlatego oczekiwałem z niecierpliwością hasła, t.j. ataku strzelców znajdujących się po lewej stronie od mego stanowiska, i starałem się ostrą mą lornetką przeniknąć białawe opary podnoszące się przedemną z doliny rzeczki Chodla, snujące się w silnym oświetleniu księżyca. Wyszedłem nawet poza las kryjący nas, by moc lepiej nasłuchiwać, lecz nic niemąciło jeszcze kompletnej ~~wiszy~~ i jakby solennej ciszy zawieszanej nad oświetlonym przez księżyc terenem, mającego nastąpić niebawem krwawego ~~starcia~~ spotkania. Szelest czyichs kroków wyrwał mnie z zadumy, i poznałem stojącego już blisko mnie Skrzynskiego. Miałem się właśnie do niego odezwac, gdy uwagę moją odwrócił jakiś dziwny cien, jakby rogów jelenich, ukazujący się od strony lasu, a niebawem wyłaniać się zaczęła na południowym zboczu ~~zgarza~~ pagorka, a więc od strony austriackich oddziałów; jakas postać fantastycznie wydłużona w białym świetle księżycowym. Dopiero z bliska rozpoznałem w tym

upiorze naszego porucznika Biesiadeckiego, który założywszy gałąz swierkową na swą czapkę ułanską, udekorowany tym symbolem bojowym powracał do nas po przejściowym zawieruszeniu się wraz ze sztabem dywizji podczas ogniowego napadu na Ratoszyn.

Przez niego dowiedziałem się dopiero, że po owym gwałtownym "zerwaniu" wszelkich połączeń tak z frontem jak i z sąsiadami, dowództwo dywizji zdołało wycofać się szczęśliwie do lasu koło Ludwinowa i zamierza pozostać na razie w tamtej okolicy, a nie mając o nas żadnych wiadomości zaniepokojone jest mocno tem co się na froncie stało lub dziać jeszcze będzie.

Niechcąc pomimo wszystkiego pozostawić tych nieszczęsnych sztabowców nadal w niepewności, kazałem porucznikowi Biesiadeckiemu wracać zaraz do nich znana mu już drogą i zawiadomić, że cały front dywizji pozostał dotąd nietkniętym, ale wobec tak wyraźnie przygotowującego się rosyjskiego natarcia musiałem zarządzić odpowiednią kontrakcję, która jest już w toku wykonania i lada chwila rozpocząć się powinna. Prosiłem też by dowództwo nie kłopotowało się nami i czekało spokojnie do rana, gdyż zaraz po załatwieniu się z nieprzyjacielem przybędę do nich by kontakt napowrót nawiązać.

Jak się później dowiedziałem wiadomości te zostały przyjęte przez nich nawet z zadowoleniem, bo wyjaśniały im sytuację mroczną dla nich dotąd zupełnie a zarazem zwalniały od konieczności powzięcia jakiegokolwiek decyzji, a temsamem od wszelkiej bezpośredniej odpowiedzialności.

Tymczasem na wzgórzach pod Grondami oczekiwaliśmy w coraz większym napięciu rozpoczęcia akcji, a gdy zegarek mój wskazał północną godzinę westchnąłem z głębi serca do Boga, by przedsięwzięciu naszemu dał wynik korzystny i pozwolił zaznaczyć rozpoczynający się dzień 5 września walnem zwycięstwem.

Nasłuchując pilnie od lewej strony z kierunku Chodla, usłyszałem też wkrótce łoskot salw karabinowych przecinający raptownie nadzwyczajną ciszę lesną.

Niebawem wzmagać się tam począł gwałtownie grzechot ręcznej broni i terkotanie karabinów maszynowych, świadcząc niezbicie o tem, że mężczyźni strzelcy wadowiccy wsparci bataljonem krakowskiej "dwudziestki", rozpoczęli już swą krwawą robotę.

By nie pozostawić ich dłużej bez pomocy, wydałem obu grupom artylerii krótki rozkaz otwarcia ognia. Już w kilkanaście minut po północy szum i swist przelatujących nad ~~kami~~ naszymi głowami pocisków haubic złał się z hukiem armat i grzmotami pękających granatów i szrapneli w jeden piekielny koncert, zagłuszający niemal zupełnie terkot mitraljez i grzechot karabinów.

Wkrótce salwy rosyjan ustąpiły zupełnie, natomiast odezwała się ustawiona gdzieś bardzo blisko nas ich pojedyncza bateria mniejszego kalibru, złożona jak to później skonstatowaliśmy, z towarzyszących piechocie gońskich armatek, -i zaczęła traktować nasz odcinek lesny takim gradem pocisków, że musieliśmy ukryć się chwilowo wszyscy w głębokim rowie na skraju lasu, gdyż spadające gęsto odstrzelane gałęzie czyniły pobyt pod drzewami niemożliwym.

Spostrzegłem wkrótce, że owa bateria która stała zresztą tak blisko iż huk wystrzałów dochodził nas prawie równocześnie z pękaniem pocisków nad naszymi głowami, niezdolna obniżyć już bardziej płaskiego toru swoich strzałów, gdyż małe wzniesienie terenu znajdujące się przed nami wystarczało zupełnie aby pochwyć wszystkie pociski któreby szły nieco niżej, to znaczy wprost na nas.

Natomiast pożar wzniesiony we wsi Grondy austriackimi pociskami począł oświecać tak jasno nasz kąć oraz cały brzeg lasu, iż niemożna się było wychylać z rowu bezkarnie, tembardziej że ogień karabinów maszynowych rosyjskich rozmieszczonych na strychach najbliższych nam domostw tej wsi, nawoływał również swym terkotem do ostrożności.

Niebawem usłyszeliśmy silny zgiełk bitwy również i z prawej strony, było więc oczywiste, że czekające widac niecierpliwie główne siły 20 pułku piechoty wyruszyły już także do decydującego natarcia, i to może nawet nieco zbyt wczesnie. Zarządziłem więc jeszcze tylko oddanie kilku ostatnich salw z haubic polowych na wies Grondy i na tą okolicę, z której zdawała się odzywać właśnie owa blisko stojąca bateria rosyjska, poczem obawiając się narażenia atakującej piechoty, następującej widocznie już i od wschodu, kazałem przenieść cały ogień działowy aż na dolinę około Borowa, i zmieniając kilkakrotnie dystanse, zasypywać ją jeszcze ogniem przez minut parę.

Rachuby moje sprawdziły się jak najdokładniej. Rosyjanie byli rzeczywiście gęsto gęsto zebrani w stosunkowo wąskiej dolince Chodla celem wykonania ataku z ~~hrz~~ brzaskiem dnia następnego, a niespodziewany napad z dwóch stron i ogień armat ~~ni~~ oraz karabinów maszynowych bijący ze wszystkich prawie kierunków, spowodował niebawem u nich zamieszanie i wzajemne ostrzeliwanie się ich oddziałów. poniesli też rzeczywiście ogromne straty, jak nam później pojmani jenny opo-

wiadali, zas ich karabiny maszynowe poustawiane na strychach domow we wsi Grondy w celu ostrzeliwania nas z gory, spaliły się niemal wszystkie w naszych oczach wraz ze swą obsługą, gdyż gwałtowny ogień karabinowy uniemożliwił gaszenie pożaru.

Przyglądaliśmy się temu przez szkła i musieli bezradnie obserwować rozgrywające tam istnie dantejskie sceny, gdyż chociaż dystans dzielący nas od wsi wynosił zaledwie tysiąc kroków, to jednak wszelki ratunek w tym gradzie kul był wykluczonym. Wkrotce kazałem wstrzymać ogień armatni, i poleciłem pułkownikowi Puchalskiemu właśnie nadjeżdżającemu jak najszybsze zebranie pułku, a rozentuzyzmowanym madziarom, ktorzy stojąc na brzegu swych rowow okrzykami "hurrra" powiększali ogolne zamieszanie, zakazałem równocześnie jakiegokolwiek przekraczania zasiekow, gdyż chciałem już teraz spokojnie odczekać rezultatow owego krotkiego nocnego napadu, a nie pozwolic nikomu na niebezpieczne awanturowanie się głębiej w rosyjskie ugrupowanie. Główny cel był już bowiem osiągniętym, skoro dokładne ostrzeliwanie, i energiczne natarcie wywołały były na całym froncie tak szalony popłoch i zamęt w rosyjskich szeregach zgrupowanych do agresywnego działania, podczas gdy wszelka dalsza nieprzewidziana akcja wykonywana nocną porą, mogła łatwo doprowadzić do rozluźnienia także i atakujących oddziałow i do ich rozbitcia skutkiem wzajemnego ostrzeliwania się i napadania tak, trudnych do uniknięcia w tych warunkach. Że przewidywania te moje były zupełnie uzasadnionymi, dowiódł nam wówczas los jednego pułkownika 20 pułku piechoty, który uniesiony ferworem walki przerwał się łatwo koło Skrzynca przez zupełnie zaskoczoną tem wszystkim obsadę rosyjskich rowow strzeleckich, lecz rozsypawszy się następnie w ciemności między ich linjami, powrócił dopiero nad ranem z zupełnie niepotrzebnie poważnymi stratami szczególnie w zaginionych i jencach. Gdy wreszcie kompletna cisza zaległa znow tę istotną "dolinę śmierci" rozbrzmiewającą jeszcze przed chwilą tak głośnym zgiełkiem bojowym, kazałem pułkownikowi Puchalskiemu uporządkować swe oddziały i sprowadzić je na kwatery we wschodniej, lepiej zakrytej części wsi Radlina, a sam siadłszy na konia starałem przedostać się wreszcie do sztabu dywizyjnego. Po drodze jednak, błądząc nieco w ciemności, natrafiliśmy na schludne dworskie obejście, będące jak się pokazało folwarkiem Łopiennikiem, zamieszkiwanym przez starszą panią, która ze snu zbudzona pomimo tak bardzo wczesnej pory zaprosiła nas najuprzejmiej w goscinę.

Przy butelce wina starego, bardzo wdzięcznie przez nas przyjętego, zeszła wnet rozmowa na polityczne zapatrywania, rozdzielające wówczas tak żywo polskie społeczeństwo, a nasza gospodyni okazała się entuzjastyczną zwolenniczką "zjednoczenia" całej Polski chociażby nawet i pod berłem Romanowych, czemu oponowałem gorącą, kończąc jednak dyskusję tem, że przyszłość dopiero pokazac nam może naprawdę która z tych różnych orientacji będzie dla Polski lepszą i bardziej zbawienną.

Przespaliśmy się tam potem doskonale przez dwie godziny dzielące nas jeszcze od switu, a wspominać będę zawsze z wdzięcznością to tak bardzo gościnne przyjęcie, użyżone nam jako rodakom, mimo nieżyczliwego usposobienia dla armji, do ktorej należeliśmy chwilowo z konieczności.

Około godziny 7 rano (dnia 5 wrzesnia) dojechałem wreszcie w okolice Ludwinowa i odnalazłem scisły sztab dywizji rozłożony na polance przy drodze. Dywizjoner sciskał mnie serdecznie, wyrażał gorącą wdzięczność a zarazem przepowiadał mi odrazu krzyż Maryi Teresy za samodzielne to przedsięwzięcie, tak ryzykowne i śmiałe, wykonane wbrew wyraźnym zakazom przełożonych, a uwieńczone pełnym powodzeniem.

Raporty 20 pułku przyniosły nam nowe szczegóły świadczące jak dużym było osiągnięte zwycięstwo. Według zeznan jencow, ktorych przyprowadzono około tysiąca, straty rosyjskie były bardzo dotkliwe. W ogniu nocnym rozleciały się kompletnie trzy ich pułki przygotowane pod Borowem do porannego ataku, który miał zaskoczyć nas zupełnie, zgnieść madziarow nie przedstawiających zbyt wielkiej siły odpornej, i przy pomocy artylerji zasypującej cały front masowym ogniem, zmieścić XII dywizję do sromotnego odwrotu. Tym przygotowaniem do ataku należało zapewne zawdzięczać, że doskonała rosyjska artylerja po swym popołudniowym napadzie znajdowała się w nocy w trakcie przegrupowania i dlatego w czasie całej tej akcji nie odzywała się prawie wcale. Była ona zresztą również skrępowana obawą, zupełnie zresztą słuszną, by w ciemności nieraz swym ogniem własnej piechoty, pod czas gdy nasza artylerja ostrzeliwała z zupełną pewnością miejsca oznaczone już z gory, i to stosownie do nakazanego czasu względnie programu, wiedząc dokładnie gdzie własne oddziały podowczas znajdować się winne. Również i w dalszych swych skutkach okazała się jeszcze ta cała kontrakcja nadzwyczaj pożyteczną i doniosłą, gdyż utrwaliła na kilka dni chwiejący się mocno front całej I armji, a zarazem umożliwiła później-

sze spokojne rozpoczęcie odwrotu, który bez tego byłby na lewym skrzydle obsadzonym przez nieodporną grupę Kummera, stał się wprost katastroficznym. Przespawszy się dobrze w lesie na słońcu chciałem zaraz po objedzie udać się znow na front do mojego obserwatorium, gdy pilny rozkaz dowództwa korpusu wezwał mnie do natychmiastowego przybycia do kwatery korpusnej w Wilkołazie. Przed odjazdem musiałem ponownie wysłuchać gorących zapewnień wdzięczności ze strony generała Kestranka, który jednak był w tej sprawie bardzo nieszczerym, jak się to później okazało. Przypisywał on uratowanie XII dywizji a przede to i uchylenie niebezpieczeństwa pogromu całego frontu I armji, wówczas ostentacyjnie i wyłącznie mojej stanowczej decyzji oraz szybkiej orientacji, a zapewniał, że natychmiast siądzie do napisania raportu proponującego odznaczenie mnie za to krzyżem Maryi Teresy, wiedziałem jednak że biedaczysko nie może przestawiać tych wypadków zgodnie z rzeczywistością ich przebiegiem, gdyż byłoby to przyznaniem się do zupełnej z jego strony utraty panowania nad własnymi nerwami, któreby w danych warunkach spowodowało momentalne pozbawienie go dowództwa i dalsze jeszcze zapewne kary.

Natomiast spodziewałem się przecie, że omijając podkreślenie pierwszych następstw owego rosyjskiego napadu ogniowego i przemilczając dezorganizację własnego sztabu oraz jego sromotną ucieczkę, jako rzeczy zbyt drażliwą, zechce jednak wedle możności zaznaczyć moją inicjatywę w wykonaniu kontrakcji, a temsamem moją udział w niej choć częściowo uznać i opisać.

Pokazało się jednak, że potrafił on przedstawić w tym raporcie siebie jako tego, który dywizję napadniętą ze wszystkich stron energicznymi swymi zarządzeniami z ciężkiej sytuacji wyratował, przyczem zapisał naturalnie i wszystkie moje rozkazy na swój własny rachunek. Nie dziwnego zatem, że długi czas przetrwało w wyższych sferach mniemanie, iż można liczyć pod każdym względem i zawsze na odwagę i dzielność tego niezwykle przytomnego człowieka.

Nagrodzono go też specjalnie za tę akcję i okazane w niej bohaterstwo komandory orderu Leopolda, którą przyjął naturalnie z całą radością.

Mnie przyznano wówczas za moje działania taktyczne pod Annopolem, Beżycami, a wreszcie i Borowem jakiś tam krzyż kawalerski orderu Leopolda, lecz później dowódca korpusu posłyszawszy z boku że uratowanie XII dywizji i ostatni ow sukces I korpusu pod Lublinem wyłącznie moim zarządzeniom i rozkazom przypisać należy, wziął się podczas dłuższego swego zimowego postoju nad Nidą do szperania w aktach i raportach pułków z owego okresu, i jeszcze przed koncem roku prawdę na wierzch wy dobył.

Na skutek jego pisemnego rozkazu musiałem w pierwszych dniach stycznia 1915 r. wystosować moją własny raport o tej sprawie, poparty zeznaniami świadków, a w trzy lata później, pomimo moich konfliktów z Naczelnym Dowództwem austriackim i silnego oporu z jego strony, kapituła orderu Maryi Teresy przyznała mi i to podohno jednogłownie krzyż kawalerski specjalnie za ową akcję samodzielną pod Grondami i Borowem zupełnie sprzeczną z wydanymi rozkazami a uwieczoną tak wybitnym rezultatem.

Przypadek zrzucił, że krzyż nr.51, który otrzymałem dnia 16 sierpnia 1918 r. z rąk młodego cesarza Karola na zamku w Reichenau, był podobno tymegzemplarem, który w r.1809 zdobił piers arcyksięcia Karola podczas bitwy pod Wagram. Łączy więc on poniekąd moją pracę wojskową ze wspomnieniami przepięknej epoki napoleońskiej, o której w rodzinie mojej tyle przechowało się wzniosłych i rzuwanych tradycji, a ponieważ przypuszczam, że kapituła tego orderu będąca już w likwidacji, nie zażąda zwrotu tej oryginalnej odznaki, tuszę że ten biały krzyżyk powiększy kiedys i tak ciekawą już wcale kolekcję orderową naszego Muzeum wojskowego.

..II. OFENZYWA NA LUBLIN W SZTABIE KRAKOWSKIEJ 12-TEJ DYWIZJI

PIECHOTY

Dnia 9 sierpnia wyruszyliśmy z Krakowa pieszym marszem, w długiej kolumnie złożonej z dwóch brygad artylerji polowej oraz jednego ciężkiego dywizjonu. Siadłem na konia przed naszym mieszkaniem na ulicy Basztowej, żegnany serdecznie nie tylko przez żonę i dzieci lecz jeszcze przez wielu przyjaciół a nawet i licznych mieszkańców okolicznych domów. Wzdłuż plant, a potem przez most na Wiśle i Zwierzynieckie przedmieście, wyostałem się wraz z moim ścisłym sztabem z pewną trudnością przez żegnające nas owacyjnie tłumy na szosę wiodącą do Wieliczki, wzfluz której kłusując osiągnąłem dopiero po dobrej godzinie czoło długiego marszowego węża. Siedemnaście baterji w pełnym składzie wraz z pierwszemi formacjami kolumn amunicyjnych, rozciągnięte w przepisowym szyku na tej szosie zapełniły ją bowiem wkrótce prawie całą od Krakowa aż po Wieliczkę, gdzie mieliśmy odbyć popas południowy, aby przeczekać godziny największego skwaru i maszerować dalej chłodniejszą już porą, co robiliśmy również i w dniach następnych.

Dojeżdżając do Wieliczki zauważyłem już z daleka, że całe miasteczko było odświętnie przystrojone flagami, a następnie tłumy ludności witały nas entuzjastycznie na ulicach a szczególnie w rynku, gdzie odbyło się oficjalne przyjęcie przez burmistrza, radę miejską, cechy ze sztendarami, delegacje salin oraz całe niemal obywatelstwo. Na wszystkich budynkach widniały przytem wyłącznie chorągwie o polskich barwach, z wyjątkiem dyrekcji salin która jako gmach urzędowy zmuszoną była wywiesić obok polskiej również i chorągiew państwową. Miasto Wieliczka przygotowało poczęstunek dla wszystkich naszych żołnierzy, oraz śniadanie dla komendy i oficerów na ratuszu, nie mogłem więc odmówić tego niezmiernie serdecznie wyrażonego zaproszenia pomimo pewnej obawy zbyt długiej zwłoki jaka przez to w marszu powstać mogła. Napływającym baterjom kazałem więc stawać wzdłuż ulic miasta a częściowo i na rynku, pozostawiając zaprzęgi i konie wierzchowe wprost przy działach, gdzie im siano podrzucono, podczas, gdy żołnierze zgłaszać się mieli kolejno na ofiarowany im poczęstunek w ra-

-tusz, gdzie w kilku salach zastawione były stoły, powitała mnie wchodzącego wraz z oficerami, muzyka wprawdzie zrazu hymnem państwowym, po którym jednak zagrała natychmiast z zapalem nasza "Jeszcze Polska nie zginęła". W czasie obiadu wygłoszono liczne przemówienia, obwiane szczerym polskim patriotyzmem, wywołujące radość ogólną, a życzeniom i wiwatom nie było końca, tak, że musiałem wreszcie po dwóch godzinach, chcąc, by moja młodzież wyruszyła dalej^Wtrzeźwym jeszcze stanie, kazaś trąbić do wsiadania, pomimo protestu rozentuzjasmowanych Wieliczian. Niesiony na rękach przez tłum dostałem się wreszcie do mego wierzchowca, poczem obsypani kwiatami, wśród ciągłych wiwatów ruszyliśmy przez Niepołomice ku Bochni. Dostaliśmy się na szosę, pragnąc trochę otrzeźwić moich podkomendnych, począłem odrazu kłusować, nakazawszy tylko wyższym oficerom, aby jechali na końcu swych baterji i dopilnowali ładu w całej naszej kolumnie mocno rozochoconej tem serdecznem przyjęciem.-

Zatrzymaliśmy wszyscy we wdzięcznej niezmiernie pamięci piękny żywiołowy objaw entuzjazmu całej ludności wielickiej dla krakowskich oddziałów, świadczący, jak bardzo pragnie polskiego zwycięstwa i wierzy, że przyjść ono musi jako rezultat starcia się naszych zaborców.

Jadąc poprzez Niepołomice, skrawkiem niestety tylko pięknej niepołomickiej puszczy, osiągnęliśmy przed zachodem słońca czołowemi baterjami Bochnie, poczem kazałem kolumnę rozkwaterować umyślnie odrazu wzdłuż szosy, aż po stację Kłaj włącznie. Zyskiwaliśmy przez to możność ruszenia nazajutrz rano odrazu całą kolumną równocześnie, tworząc przytem odpowiednie warunki dla wykonania kilku ćwiczeń marszowo-łącznikowych, które chciałem przy tej sposobności przeprowadzić.

Przyjęty najmilej w Bochni przez kuzynkę^{moją} Zenobję Bogdanowiczową i ciotkę hr. Emilję Łosiową, uraczony doskonałą kolacką i serdecznie podejmowany, wyruszyłem nazajutrz jednak wczesnym rankiem, chłodem jeszcze, z baterjami memi w dalszą drogę. Pomimo dość męczących ćwiczeń, stanęliśmy następnego dnia już o godzinie 10-tej w Brzesku, skąd skierowałem całą 12-tą brygadę do Okocimia i przyległych wiosek, zaś 5-tą brygadę kazałem zakwaterować w samym mie-

-ście oraz pobliskich wsiach, leżących przy szosie, aby zmienić trochę porządek marszowy, a także uzyskać takie ugrupowanie, które przygotowywało już na trzeci dzień marszu ciekawe ćwiczenie taktyczne, które wykonać zamierzałem.

Sztaby nasze stanęły już około 11-tej w pięknej rezydencji br. Götza w Okocimiu, gdzie mimo nieobecności gospodarza otrzymaliśmy doskonały obiad, a przede wszystkim wyborną kąpiel, odświeżającą nas niezmiernie po kurzu i spiekocie. Po południu w czasie wypoczynku, zwiedziliśmy piękny park oraz przede wszystkim wspaniały browar, którego ogromna produkcja stawiała go już wówczas w pierwszym rzędzie krajowego przemysłu i stworzyła podstawę bogactwa jego właściciela, pracowitego gospodarza i dzielnego, ofiarnego zawsze obywatela.

Nazajutrz 11 sierpnia, przeprowadziłem obu brygadami bardzo zajmujące ćwiczenia, zarządzane rozmyślnie w trudnym terenie całkiem już stromych pagórków, położonych na południu od głównej szosy z Brzeska do Tarnowa, poczem rozciągnąłem znów baterje na nocleg po obu stronach szosy, tak, aby mogły pracować w czasie czwartego dnia marszu w odmiennym znowu zupełnie terenie płaskim i pokrytym lasami na północ od naszej linii marszowej. Sam ulokowałem się ze sztabami przy samej szosie, w małym lecz pięknym starym, stylowym zameczku w Dębnie, własności pana Jastrzębskiego, który otaczał go staranną opieką i doprowadził po umiejętnym odnowieniu do starodawnego mniej więcej wyglądu. Do tych wiekowych grubych murów, stylowego ślicznego dziedzińca i starożytnego umeblowania, dostrajał się doskonale sympatyczny staruszek, pozostawiony tu po wyjeździe właścicieli jako pieczołowity klucznik, tak, że całość tworzyła obrazek jakby wyjęty ze średniowiecza. A że spędzałem noc w ponurej baszcie zamkowej, owianej urokiem wieków i księżyc w pełni zaglądał do moich okien w chwili, gdy zasypiałem, przysnili mi się rycerze w stal zakuci, wyjeżdżający z tego zamku, strojnie i gwarno, na wojnę ze wschodnim jakimś barbarzyńcą, podobnie jak i my teraz, spieszący ku obronie granic Małopolski. Piękny ten malowniczy sen przerwał mi jednak ordynans gwałtownym wtargnięciem o najwcześniejszym świcie do mego pokoju po dudniących schodach baszty, a trąbki grające zewsząd zbiórke przypomina

-ły obowiązek wyruszenia na ćwiczenia, które już poprzedniego dnia zarządziłem. Wyjechaliśmy też niebawem jaknajwcześniej dla uniknięcia zapowiadającego się upału, żegnani błogosławieństwem starego zamkowego opiekuna, nie przewidując wówczas, że te prastare dostojne mury będą zmuszone gościć niebawem dzicz kozacką i że poczciwy staruszek przejdzie bardzo ciężkie chwile, nim uratuje ten zameczek od pogromu i rabunku.

Dnia 12 sierpnia, po kilkugodzinnych ćwiczeniach, stanęliśmy znów wcześniej u chwilowego celu naszej podróży, to jest w Tarnowie. Oficer kwaterunkowy dywizji przydzielił nam pomieszczenia w ten sposób, że moja brygada znalazła się odrazu w rejonie swej dywizji, a sztab umieszczono w szkole obok czerwonego kościoła, również w pobliżu sztabu dywizji, zakwaterowanego w hotelu. Pożegnałem tu już następnego dnia 5-tą brygadę artylerji, przybyłą ze mną z Krakowa, gdyż jej baterie zostały również skierowane w rejony kwaterunkowe odnośnych wyższych dowództw, dokąd piechota była już uprzednio przewieziona transportami kolejowymi.

Przez następne cztery dni uzupełnialiśmy na tych wygodnych kwaterach wszelkie braki, skonsolidowywali większe jednostki, porządkowali sztaby oraz wszystkie pomocnicze zakłady i formacje. Najwięcej pracy przysporzyło nam wówczas w artylerji staranne przekucie koni, szczególnie taborowych, wymiana i uzupełnienie zaprzęgów, które pragnąłem doprowadzić do najdoskonalszego porządku jeszcze przed rozpoczęciem wszelkich taktycznych akcji, a wreszcie odpowiednie przesortowanie ludzi, tak, aby wybrać najlepszy element do obsługi dział pierwszej linii. Kazałem również wówczas złączyć w pełną połowę baterię owe cztery działa polowe, przydzielone nam do kolumny amunicyjnej jako zapasne, tak, abym mógł liczyć na nie, w razie koniecznej potrzeby, jako na ósmą baterię dla wsparcia dywizji, tak niestety słabo wyposażonej w artylerję. Dzielny mój drugi oficer ordynansowy por. Moskorz wyprosił sobie powierzenie mu w danym razie tego dowództwa, dozwoliłem mu więc zajmować się już podczas marszów udoskonaleniem oraz należytą organizacją tej jednostki. Odznaczył się on później wybitnie w bardzo trudnym mo-

-mencie walk pod Lublinem, wytrzymując swemi czterema armatami gwałtowny ogień sześciu ośmiodziałowych baterji rosyjskich, przez co umożliwił korzystne rozwinięcie a później i szczęśliwe wycofanie się piechoty.

Przy ciągłym zajęciu i ruchu oraz lustrowaniu każdej baterji z osobna w terenie, minęło mi tych kilka dni w Tarnowie jak jedna chwila. Zapoznałem się też wówczas już bliżej z całym sztabem 12-tej dywizji, który wywierał wcale dodatnie wrażenie, a szczególnie zbliżyłem się do nowego szefa sztabu majora Gerberta, zdolnego i energicznego oficera. Znajdywał on we mnie silnie poparcie dla swych fachowych i przeważnie słusznych zarządzeń, a że nasz poczciwy stary dywizjoner gen. por. Kestranek, bojący się w wszelkiej odpowiedzialności, usuwał się zazwyczaj od ważniejszych rozstrzygnięć i stałem się więc odrazu w owym sztabie tym elementem, który go swoją decyzją dominował. Bardzo porządny i ruchliwy intendent, dzielny lekarz pułkowy Dr. Dąbrowski, oraz szereg dobrych młodszych oficerów czynili sztab tej dywizji zupełnie odpowiednim, chociaż zasadniczo cały jego aparat był zbyt ciężkim i licznym. W ciągu akcji byliśmy też przeważnie zmuszeni dzielić go na dwie części, to jest na sztab ściślejszy, potrzebny do prowadzenia akcji bojowej, i sztab tyłowy, pozostający przy taborze bojowym i kierujący zakładami dywizyjnymi. A trzeba przyznać, że w tej formie i przy należytem rozkazodawstwie funkcjonował bez zarzutu i mógł z łatwością dowodzić nawet znacznie większą jednostką dywizyjną niż owych 12-ście do 15-cie batalionów, któremi dysponowaliśmy wówczas. Dywizja taka bowiem używająca dla służby tyłowej cztery do sześciu tysięcy ludzi, mogła dopiero przy nadnormalnych stanach, to jest przy dwudziestu a nawet i dwudziestu pięciu tysiącach ludzi, wyzyskać prawdziwie swoją szeroko rozbudowaną organizację. To też znajduję, że chcąc zachować konieczną i jaknajwiększą samodzielność operatywną dywizji piechoty, składającej się i dzisiaj jako największa jednostka taktyczna ze wszystkich potrzebnych broni, a zaopatrzonej w pomocnicze służby i zakłady, byłoby praktyczniejsem pozostawić jej taką za sobną organizację tyłów

a zato wyzyskać odpowiednio ten aparat gospodarczy przez zwiększenie ogólnej siły dywizji nawet ponad liczbę pierwszych wojennych stanów rosyjskich, to jest aż do dwudziestu tysięcy ludzi, tak jak to częściowo uskuteczniło już po wojnie światowej, właśnie na skutek nabytego doświadczenia.

Dywizja 12-ta wyruszała na wojnę sfomowana w dwie brygady: 23-cią gem. Lilienhofs składającą się z wadowickiego 56-go pułku pułkown. Bijaka i 100-go pułku cieszyńskiego, pułk. Latinika, oraz 24-tą brygadę dowodzoną przez gen. Zaleskiego, a złożoną z pułków 3-go morawskiego pułk. Testy, 20-tego nowosądeckiego pułk. Puchalskiego i 57-go tarnowskiego pułk. Pösschla. Pułkiem armat polowych dowodził z początku pułk. Veltze, 1-szym dywizjonem mjr. Kaderschafka, 2-gim mjt. Oskar Hoffman, zaś dywizjonem haubic podpułk. Schöffler. Kawalerję dywizyjną, to jest dwa szwadrony ułanów landwery prowadził mjr. Strzelecki.

Przed samym naszym wyjazdem z Tarnowa, gdy nadeszły już były rozkazy dowództwa I-szej armji gen. kaw. Dankla, celem ściślejszej koncentracji nad dolnym Sanem, zgłosił się do mnie w sposób bardzo sympatyczny i skromny, ówczesny sekretarz ambasy, Aleksander hr. Skrzyński, świeżo przybyły z zagranicy, prosząc o przyjęcie go do mego sztabu w charakterze prostego ochotnika. Znałem go jako dobrego jeźdźca i dzielnego sportowca, przytem młodego człowieka obdarzonego dużemi zdolnościami i zimną krwią, nadawał mi się więc bardzo na zastępcę oficera ordynansowego, jakiego właśnie potrzebowałem, gdyż przydzielony do mego sztabu mobilizacyjnym rozkazom drugi oficer ordynansowy, jakiś wiedeńczyk, nie zgłosił się wcale do służby, a zastępował go tylko chwilowo jeden z oficerów linjowych, potrzebny na swem właściwym stanowisku. Po porozumieniu z dowódcą kadry zapasowej 2-go pułku ułanów w Tarnowie i za zgodą dowódcy dywizji, kazałem więc przyjmując hr. Skrzyńskiego natychmiast w stan ochotników kawalerji i przebranego tymczasem w mundur prostego ułana, zabrałem zaraz na jutro ze sobą na razie jako ordynansowego podoficera mego sztabu. Pełniąc służbę nieraz bardzo trudną i niebezpieczną w spo

sób znakomity, zdobył on niebawem duży medal walecznych oraz wczesny awans na podporucznika i zyskał wiele woskowego wyrobienia i wiadomości. Dla mnie był on w czasie całej służby przy miom boku nie tylko najbardziej pożytecznym pomocnikiem lecz i prawdziwie oddanym osobistym przyjacielem, dzielącym wszelkie trudy i niebezpieczeństwa z zupełnym zaparciem się siebie, oraz wielką brawurą i siłą charakteru, tak że zachowałem z tych czasów dla niego na zawsze szczerą wdzięczność i uznanie.

W czasie kilkudniowego pobytu w Tarnowie oraz podczas marszów prowadzących do koncentracji I. armji nad dolnym Sanem, gdzie 12-ta dywizja przydzielono miejsce nad skrajnym lewym skrzydle przy samej Wiśle, zastanawialiśmy z dowódcą i szefem sztabu nad szansami i celowością zamierzonej akcji, której kierunek mogliśmy z otrzymywanych zarządzeń zresztą jedynie zgadywać, względnie kombinować. Żadne wyższe dowództwo nie było bowiem zasadniczo informowanym ani o celach ani nawet w przybliżeniu o kierunku ogólnej akcji, tak że twierdziłem już wówczas, iż nawet naczelne dowództwo samo nie bardzo jeszcze wie co z nami robić będzie, a późniejsze wypadki okazały, że nie odbiegałem w tem mojem twierdzeniu daleko od rzeczywistości.

Wymarsz nasz z Tarnowa i rozwinięcie I. armji nad dolnym Sanem wskazywały na to, że będzie ona tworzyła na razie, wraz z IV armją skośny front wzdłuż Sanu i dalej mniej więcej w kierunku na Sambor, zakrywający środkową Małopolskę, przy wyzyskaniu silnej twierdzy przemyskiej, a to w owej przekątnej od Wisły aż po Karpaty. Nie było też wykluczonem, że opuszczając Małopolskę wschodnią, chronioną narazie już tylko przez wzmocniony korpus lwowski i przez liczniejszą kawalerję, armja austrijska ograniczy się do czysto defenzywnego oczekiwania rosyjskiego natarcia na ten front, starając się w międzyczasie, jak tego zawsze tak gorąco pragnął gen. Conrad, zlikwidować zupełnie zatarg z Serbją przez kompletne rozbięcie tego państwa za pomocą znacznej przewagi liczebnej, jaką dawało skierowanych tam już uprzednio ośm korpusów zgrupowanych w trzech armjach. Na skutek jednak wiadomości o bardzo zaawansowanej koncentracji rosyjskiej, zagrażającej wtargnięciem czterech armji, zbierających się półkolem od Wisły

poprzez górny Bug i Zbrucz do koncentrycznego natarcia na Małopolskę, odciągnięto z konieczności z południa zaangażowaną już tam częściowo drugą armję nad górny Dniestr i wzmocniono również znacznie osłonę Małopolski wschodniej. W ten sposób zamierzano zebrać poważniejsze już siły do bardziej energicznego głębszego natarcia, które też niekławem zarządzono.

Włochy i Rumunja pozostawały nadal biernymi widzami rozgrywającego się konfliktu, a wszystko przemawiało za tem, że podstawy tej nie zmieniają. Potwierdził mi to również odrazu hr. Skrzyński, doskonale w sprawach dyplomatycznych zorientowany. Fakt ten powodował jednak ogromną zmianę w układzie sił państw centralnych. Tembardziej zdawało się więc uzasadnionem, że nie może już być braniem w rachubę szukanie szybkiego rozstrzygnięcia w walce z Serbią, doskonale zresztą do oporu tego przygotowaną i że wszystkie siły austrijackie winny być użyte odrazu przeciw Rosji. Wartość wojskowa tej ostatniej zresztą, zbyt przecenioną przez sztabowców austrijackich była daleko mniejszą, niż wówczas ogólnie kalkulowano. Pamiętam, że w kilka dni później, bawiąc u hr. Zdzisławów Tarnowskich w Dzikowie, dyskutowaliśmy żywo na ten temat, a ja wobec podkreślenia przez większość obecnych tej owej kolosalnej i niewyczerpanej potęgi rosyjskiej twierdziłem stanowczo, że o ile armje austriacko-węgierskie będą należycie prowadzonymi, to mają one wszelką szansę pokonania wojskowo Rosji. Utrzymuję również i dziś jeszcze, że gdyby nie błędy Naczelnego Dowództwa oraz wyższych sztabów austriackich a również lekkomyślność taktyczna oraz bezmyślna fanfaronada kilku dzielniejszych zresztą dowódców niechęcych doceniać siły ognia tak maszynowego jak szczególnie armatniego, i lekceważących rozmyślnie doświadczenia wojny mandzurskiej, to armja habsburskiej monarchji w tej formie i organizacji jaką wówczas posiadała, mogła była odrazu zadać cały szereg poważnych klęsk na som rosyjskim, mało ruchliwym i gorzej jeszcze od niej dowodzonym.

Po dwóch większych marszach w kolumnie dywizyjnej osiągnęła 12-ta dywizja poprzez Radomyśl okolice Kielca, gdzie z powodu imienin cesarskich wyznaczono nam cały dzień spoczynku.

Poza odbyciem oficjalnych uroczystości spędziliśmy tam dwa bardzo miłe wieczory w gościnnym domu pani Oborskiej, zakończono nawet ochoczymi tańcami, które rozmarzyły niejednego z naszej młodzieży, a mnie zostawiły wspomnienie raczej wesołych i beztroskich manewrów, niż wojennego marszu wiodącego ku nadzwyczaj ciężkim bojom. Trzeba przyznać nie tylko niemal cały ówczesny korpus oficcerski armii austro-węgierskiej był owładnięty szczerym wojennym entuzjazmem, lecz widać było dużo dziarkości oraz animuszu także i między prostymi żołnierzami, którzy śpiewali i grali wesoło podczas marszów i chętnie tańczyli na wszystkich postojach, idąc na tę wojnę ochoczo z zapałem.

Dnia 19 sierpnia nocowaliśmy wraz ze sztabem w Chorzelowie, serdecznie goszczeni przez rodzinę Jana hr. Tarnowskiego, a dalszy ruch dywizji zaprowadził nas poprzez Tarnobrzeg do Dzikowa, gdzie korzystając znowu z miłej gościny hr. Zdzisławów Tarnowskich, spędziliśmy arcywygodnie całe dwie noce poprzedzające rozpoczęcie właściwej akcji wojennej.

Ostatnie te marsze wymagały już jednak pewnych taktycznych zarządzeń ze względu na duże zalesienie okolicy i na bliskość granicy tak w kierunku Wisły jak i Sanu. Wysunęliśmy więc przednie strażki ku Wiśle do Baranowa i przez lasy dzikowskie aż nad San, skierowano przezornie piechotę przez zakryte polne drogi, jednakże artylerja oraz tabory maszerujące z konieczności szosą, nie napotkały przecież aż do samego Tarnobrzega na żadne przeszkody. Nie utoczyły nam tego marszu ani spodziewane aeroplany nieprzyjacielskie, ani powitania nam ogniem armatnim z drugiej strony Wisły od Sandomierza, a chociaż twierdzono ogólnie, że patrole kozackie kręcą się po tamtej stronie Wisły, to mimo pilnego wypatrywania nie mogliśmy tam dojrzeć żadnego ruchu wojskowego. Jak nas bowiem w Tarnobrzegu poinformowano, a co także dalsze wiadomości potwierdziły, był Sandomierz wówczas już przez Rosjan pospiesznie ewakuowanym, jak zresztą wszystkie miejscowości zachodniego brzegu Wisły. Opróżniając całą tę część Polski i zostawiając w niej jedynie kilka luźnych grup kawaleryjskich, gromadzili bowiem Rosjanie, jak mi się później

pokazało w owej pierwszej fazie wojny bardzo ostrożnie armje swoje centrum za Wisłą a nawet częściowo aż poza linią średniego Bugu. Mobilizacja rosyjska, przygotowywana jak to już wspomnieliśmy niezmiernie wcześnie, bo już od czasu sarajewskiego zamachu, była wprowadzanie podówczas prawie na ukończeniu, lecz zato transport ich sił głównych, mimo iż rozpoczęty częściowo nawet przed austriackim wypowiedzeniem wojny nie był jeszcze doprowadził do uzyskania pogotowia wojennego.

W Dzikowie deszły nas wiadomości, że austro-węgierska dywizja 3-cia kawalerji, młodszego generała Brudermanna, operująca przed frontem I. armji, natknęła się już była na oddziały rosyjskie wysunięte ku Tanwi. Nie przyznano się jednak, że właśnie w dniu 18 sierpnia większy oddział piechoty wspierający tę dywizję rzucony w kierunku na Gościeradów i prowadzony nieopatrzenie, zamiast zdobyć projektowane na dzień imienin cesarskich pierwsze zwycięstwo, poniósł był bardzo poważne straty skutkiem wariackiego frontalnego nacierania pod ogniem karabinów maszynowych jednego zresztą tylko pułku rosyjskich huzarów. Starcie to dozwoliło skonstatować już przynajmniej osłonowe grupy rosyjskie, a zarazem stało się jasnym, że spodziewane tu większe siły ich, które wedle mniemania Naczelnego Dowództwa austro-węgierskiego mogły już także być w pełnej gotowości do natarcia, gromadzą się dopiero nieco głębiej, pomiędzy Wisłą a Wieprzem. Naznaczono więc dnie 21-go i 22-go sierpnia dla przekroczenia Sanu celem osiągnięcia wschodniej krawędzi doliny Tanwi, a równocześnie zawiadomiono, że niebawem zostanie zarządzone ogólne już natarcie I-ej armji w kierunku na Lublin, zaś IV-ej armji na Chełm. Ostatnie godziny pobytu w tak szczerze dla nas gościnnym pałacu dzi-kowskim zajęło nam rzucenie mostu pontonowego przy samym niemal ujściu Sanu, poniżej wsi Trzawy, przygotowane już zresztą uprzednio, oraz wydanie specjalnych zarządzeń dotyczących się odpowiedniego zgrupowania całej dywizji w tymże kierunku.

Przekręciliśmy z brzaskiem 22 sierpnia most pontonowy i przebywszy natychmiast w skwarny dzień niezmiernie ciężkie i przy-
-kre piachy, ciągnące się tam od doliny Tanwi aż po samą prawie Wisłę, nocowała w dniu tym cała 12-ta dywizja już w taktycznym ugrupowaniu we wioskach, położonych nad samą granicą rosyjskiego zaboru, ze sztabem ulokowanym w nędznej miejscowości Pniowie, a rezerwą dywizyjną za lewym skrzydłem w pobliżu Antoniowa. Wszystkie tabory ściągnięte zostały ku Wiśle, gdzie twardsze drogi i mniej piaszczysty grunt umożliwiały łatwiejsze posuwanie się naprzód, pomimo tego nasze auta osobowe przebyły tę przestrzeń z tak wielkim wysiłkiem, za wyjątkiem jedynie lekkiego Forda, że postanowiliśmy odesłać je do Krakowa, jako zupełnie w danych warunkach bezużyteczne. Przeprowadziliśmy je też niebawem przez most pontonowy do Zawichostu, zajętego już w międzyczasie przez grupę austriacką gen. Kummera i cała ta różnorodna kolumna samochodowa, prowadzona przez Ludwika Żeleńskiego na stukonnym Mercedesie, a zamykana przez Zygmunta Łączyńskiego na małym Steyerze przezwanym przez nas "bączkiem" pomimo niebezpieczeństwa spotkania się z kozakami kręcącymi się ciągle w tych stronach, przedostała się jednak szczęśliwie lewym biegiem Wisły do Szczucina a stamtąd dalej do Krakowa. Przy dywizji pozostał tylko ów jeden Ford, przezornie zabrany przezemnie z Krakowa, który też usprawiedliwił zaufanie jakie w nim pokładałem, gdyż odbył bez zarzutu całą niezmiernie uciążliwą kampanię lubelską, a chociaż grzązł też nieraz w piasku to jednak wobec małej jego wagi mogła go zawsze obsługa sama zeń wyciągnąć. Oddał on nam dzięki temu nieocenione usługi w służbie łącznikowej, bardzo niekiedy utrudnionej.

Przy sposobności przeprowadzania automobili przez Wisłę do Zawichostu, nawiązałem poraz pierwszy osobisty kontakt z gen. Tertain, dowódcą jednej z kolumn, owej tak nieszczęsnej lewobrzeżnej grupy gen. Kummera. Ze swych pięćdziesięciu baonów zupełnie luźnych i źle wyposażonych rezerwowych formacji, wytworzyła ta grupa wówczas aż trzy dywizje, które nie nadawały się zupełnie do akcji

manewrowej, a otrzymały jednak właśnie zadanie aktywnego współdziałania z I.szą armją wzdłuż Wisły.

Dnia 23 sierpnia nad ranem padł pierwszy strzał armatni ze strony 12 dywizji, a oddał go osobiście dowódca 2-giej baterji polowej, dzielny por. Büttinghaus, rozpraszając nim szwadron kozaków, którzy jadąc do Annopola spuszczali się poprzez strony brzeg w dolinę ku granicy, widoczni przez to jak na dłoni, mimo dość znacznej odległości.

Wkrótce potem przekroczyły kolumny 12-tej dywizji, przy dźwiękach wszystkich orkiestr pułkowych, linię kordonu dzielącego polską ziemię między dwa zabory, znaczoną na tem pustkowiu licznymi słupami granicznymi, na których widniały rosyjskie dwugłowe orły. Stały mi żywo w pamięci moje dziecinne lata i marzenia o wkroczeniu kiedyś z mszczącym orężem na tę ukochaną ziemię, którą rodzicom moim przed laty rząd Aleksandra III niegodziwie i brutalnie opuścić kazał. Uczułem wtenczas taką radość i dumę, trochę może dziecinną, że ujrawszy panoszącego się na grupym słupie dębowym na skraju lasu czarnego dwugłowego orła, symbol nienawistny carskiej Rosji, niemal odruchowo dobyłem pistoletu i z konia wypaliłem parukrotnie w pierś tego drapieżnika.

Znalazłszy odpowiednie wzniesienie na zachód od wioski Wymysłowa-około 202 - zsiadliśmy wraz z całym moim sztabem z koni, a ja ustaliłem odrazu mój punkt obserwacyjny. Równocześnie kolumny piechoty, zadysponowane w głąb lasu, kierując się na północ ku widocznemu dobrze w wysokiemu brzegowi wyżyny lubelskiej, przekraczały gęsto zalesioną nizinę rozciągającą się u stóp naszych. Przygotowywaliśmy się do akcji na wszelki wypadek, gdyż wywiad 3-ciej dywizji kawalerji, wysuniętej przed kilkana dniami przed front I-szej armji, dał był dotąd tylko ogólną wiadomość o rosyjskich oddziałach napotkanych na tym brzegu, a dopiero teraz pod osłoną nadciągającej właśnie piechoty, zamierzała ta kawalerja ryzykować przekroczenie zasłony leśnej, przed którą wskutek swej lekkomyślności poniosła była kilka dni temu tak ciężką porażkę.

Natomiast raporty moich artyleryjskich obserwatorów, wysuniętych wraz z piechotą na północny brzeg lasu, mówiły już o obsadzonych i częściowo odrutowanych rowach strzeleckich, rozciągniętych wzdłuż gościńca prowadzącego z Gościeradowa do Annapola, umieszczonych nieco na północ od niego, idących właśnie samym brzegiem wyżyny. Przygotowywaliśmy się zatem właśnie do otwarcia ognia armatniego, gdy ogromne obłoki kurzawy od strony wsi Mniszek, oznajmiły nam zbliżanie się licznej jazdy austriackiej. Piękne pułki 3-ciej dywizji kawalerji przedefilowały też niebawem u stóp naszych gościńcem poprzez wieś ku północy w stronę Gościeradowa, jadąc wyciągniętym lecz równym kłusem z przednią strażą wysuniętą zaledwie o kilometr przed główną kolumną. Zdało się iż chcą tym pośpiechem powetować swą dziwną dotychczasową bezczynność, lecz za to parli jakby bezwiednie całą swą masą wprost na wzmocnione rosyjskie stanowiska.

Wiadomem mi było z dyspozycji korpuśnej, że zadaniem owej dywizji kawalerji miała być w dniu tym osłona naszej lewej flanki połączona z przesunięciem się w stronę Annapola, ponieważ pozostawienie jazdy przed naszym frontem stawało się już obecnie całkiem zbędnym. Spodziewaliśmy się jednak, że ruch ten odbył się już wcześniej, wzdłuż granicy i południowego brzegu lasu, a jeżeli następuje obecnie dopiero, to winien być wykonany poza frontem piechoty, a w żadnym razie pomiędzy nim a skonstatowaną już pozycją rosyjską.

Widząc więc, że cała ta wspaniała kolumna zamiast skrócić sobie odrazu drogę przez las ku zachodowi i wgłębioną nieco niziną przejść niespostrzeżenie i bez strat na zewnętrzne lewe skrzydło, kieruje się najzupełniej niepotrzebnie w pewny ogień nieprzyjacielskiej piechoty, kazałem stojącemu przy mnie ordynansowemu oficerowi, por. Biesiadeckiemu, dosiąść czempredzej konia zaraportować dowódcy dywizji o skonstatowanych już przez nas rosyjskich pozycjach i skłonić go temsamem do obrania zakrytej drogi przez las, którą wskazałem mu jeszcze sam ręką w terenie, dla uniknięcia możliwej omyłki.

Oficer mój, mimo, iż ruszył odrazu galopem, nie zdążył już wyprzedzić na czas tej ostro kłusującej kolumny i depędził do wódzce gen. Brudermanna, jadącego na czele przedniej straży, dopiero w chwili, gdy cała jego dywizja skręcała na trakt wiodący do Annopola, w odległości jakich tylko 700 kroków od linii rosyjskich i została już zasypaną silnym ogniem karabinów maszynowych. Zastał on przy tem generała zajętego nie kierowaniem swej kolumny wprowadzonej tak nieopatrznie w niebezpieczną sytuację, lecz uspakajaniem jakiegoś żołnierskiego konia, zdenerwowanego odgłosem strzałów i gestym poświstem kul. Gdy por. Biesiadcki chciał zdać swój pilny raport, nogi jego konia wplątały się w druty telegraficzne zestrzelane górującym ogniem rosyjskim. Wtenczas gen. Brudermann, zsiadłszy najspokojniej ze swego konia, pomógł mu uwolnić się najprzód z tych drutów, a dopiero potem pozwolił sobie złożyć nareszcie służbowy meldunek. Lecz i wtenczas jeszcze, zamiast wyprowadzić swą kolumnę z piekielnego ognia i skryć ją w terenie, co było wciąż jeszcze łatwym do wykonania gen. Brudermann pozostał w danej sytuacji najzupełniej niepotrzebnie, jak gdyby wiedziony szalem ze swą dywizją, jednak na gościńcu i jak na paradzie równym kłusem w marszowej kolumnie, defilował dalej heroicznie z całą jazdą w obranym raz przez siebie tak niekorzystnym kierunku. Jedynie zdziwieniu i osłupieniu rosyjskich żołnierzy, zaskoczonych tak niebywałym widokiem, należy przypisać, że ich pospiesznie oddawany masowy ogień przenosił przeważnie jeźdźców, kłusujących spokojnie dalej, dzięki czemu dywizja kawalerji poniosła minimalne stosunkowo straty w zabitych i rannych, ograniczone przeważnie tylko do lekkich kontuzji i zadraśnień tak ludzi jak i koni.

Brawurowa ta defilada dała nam prawdziwie niezrównany widok, przeszkodziła natomiast zarazem w otwarciu ognia, a nawet w rozpoczęciu zarządzonego już poprzednio ostrzeliwania się moich pojedynczych baterji. Jedynie piechota wyzyskała ten czas dla całkiem niespostrzeżonego zbliżenia się od północnego skra-

-ju lasu ku gościńcowi i rosyjskim okopom, zajęтым zupełnie ostrzeliwaniem jazdy.

Baterjom moim przeznaczyłem wprawdzie odrazu odpiwiednie odcinki frontu rosyjskiego skonstałowanego naprzeciwko nas. a udało mi się jednakże nakłonić dowódcę dywizji, by z ogólnym atakiem poczekał aż do chwili, gdy wysłana uprzednio lewa kolumna przekroczy Annopol i będzie mogła współdziałać flankująco na prawe skrzydło oszańcowanego przed nami w terenie przeciwnika, a to dlatego, że frontalnym naszym ogniem artyleryjskim nie mogliśmy mu zadać poważnych strat, dopóki chronił się on tak wygodnie w swoich okopach, położonych na stokach bardzo przetrzebionego lasu i dokładnie widocznych. Przydzieliwszy do owej lewej kolumny dywizji mego dzielnego majora Hoffmana, liczyłem również i na duży efekt jego flankującego ognia armatniego, to też chciałem koniecznie czekać na to poparcie. Tymczasowo innym baterjom zezwoliłem jedynie na wypośrodkowanie za pomocą pojedynczych strzałów dystansów, dzielących je od przydzielonych im odcinków i kazałem czekać na mój rozkaz dla otwarcia ogólnego ognia, który w razie ukazania się rosyjskiej artylerji pragnąłem odrazu na nią skoncentrować. Sytuacja 12 dp. o tym czasie: patrz szkic 1/1:7500/.

Obserwując następowanie tej lewej flankującej kolumny, które wydawało się nam zdala nazbyt powolnem, oczekiwaliśmy zatem wraz z całym sztabem w wielkiem napięciu nerwów owej chwili, w której będzie można nareszcie nakazać ogólny atak piechoty, przygotowanej już zupełnie i wyczekującej dość niespokojnie w terenie i wsparcie jej akcji jednoczesnym a wydatnym ogniem działawym - patrz szkic 1/.

Słońce przechodziło już zwolna na zachodnią stronę widnokregu i skwar stawał się mniejszym, a nie mogliśmy jeszcze wypatrzeć owej kolumny mającej debuszować od Annopola. Dopiero między godziną trzecią a czwartą popołudniu, gdy po zjedzeniu wziętych do kieszeni bułek ze szynką i popiciu ich herbatą z termoforu, stojąc na wzgórzu na południe od wsi Wymysłowa, obserwowałem bacznie stronę Annopola, dał się zauważyć około lasu, położonego

dość daleko na wschód od miasteczka koło folwarku Stary, jakiś większy ruch przerywający dotychczasowe tak denerwujące wyciekiwanie.

Przez moje doskonałe szkła rozpoznałem tam zaraz zaprzęgi artyleryjskie wysuwające się szybko z lasu, a niebawem i moi dowódcy grup rzucili się do swoich aparatów i zaczęli prosić o pozwolenie otwarcia ognia na tę artylerję, jak mniemali rosyjską, ukazującą się tam nareszcie. Gorączkowe rozkazy sztabu dywizji domagały się również natychmiastowego otwarcia ognia na te tak dobrze widoczne cele, lecz ja nie chciałem zdradzać zbyt wczesnie pogotowia mej artylerji, przekonany zresztą, że jeżeli baterje rosyjskie pokazują się tak otwarcie, to ustaliwszy się na pozycjach w żadnym razie wymknąć nam się już nie zdołają. Nakazałem więc na razie dwóm grupom dywizyjnym przygotować się do otwarcia na nie ognia, lecz zastrzegłem sobie jeszcze ostateczne nakazanie jego rozpoczęcia, gdyż miałem pewne wątpliwości co do istoty tego celu, który mieliśmy właśnie przed sobą. Obserwując bowiem dalej, doliczyłem się jedynie 12 zaprzęgów w dwóch grupach bateryjnych, podczas gdy Rosjanie powinni byli ukazać się w grupach po 16 zaprzęgów, gdyż baterje ich liczyły każda po osiem dział, a nie po sześć, jak austriackie. Nalegającemu więc na mnie szefowi sztabu dywizji oraz denerwującemu się już nawet memu dzielnemu pomocnikowi podpułk. Schöffelowi odpowiedziałem, nie odejmując lornetki od oczu, że nie uważam za wykluczone, iż obserwowaną przez nas artylerję może być właśnie dywizjon naszego ryzykanta Hoffmana wjeżdżający formalnie na tyły rosyjskie i że dlatego czekać będę jeszcze z otwarciem ognia, jeszcze w każdym razie chwil kilka.

Po paru minutach mieliśmy już potwierdzenie tego mojego przypuszczenia. Ujrzeliśmy wyraźnie tam pod lasiem, szereg świecących się w słońcu dwunastu luf armatnich, odwracających się równocześnie ku nam, a w parę sekund potem błysk dwunastu wystrzałów i ukazanie się tyłuż czerwono zabarwionych obłoczków w samym środku rosyjskich pozycji, co nie pozostawiło nam już żadnych wątpliwości, że istotnie major Hoffman znajduje się

ze swemi dwoma baterjami przydzielonemi, do lewej kolumny, już nie na flance, ale wprost na tyłach rosyjskich okopów. Długie oczekiwanie było więc sowicie wynagrodzonym i w jednej chwili zapomnieliśmy każdy o swym poprzednim zniecierpliwieniu. Niebawem zagrały też wszystkie nasze armaty, zasypując przeciwległe rowy strzelców rosyjskich gradem pocisków, a gęste linje krakowskiej piechoty, porwane zapalnikami, rzuciły się odrazu z impetem do rozstrzygającego natarcia. Widok jaki przedstawiał ten atak był prawdziwie wspaniałym, wydał się nim może bardziej jeszcze imponującym, po długich godzinach oczekiwania a także i w podnieceniu tego dla nas wszystkich pamiętnego dnia pierwszej bitwy w tej gigantycznej wojnie.

Zapał bojowy ogarnął wszystkich. Tak sztab dywizji, jak i podwładni mi dowódcy a nawet obserwatorowie chcieli natychmiast posunąć się naprzód, musiałem ich jednak powstrzymać jeszcze czas jakiś na naszym korzystnym punkcie obserwacyjnym, dokąd wszystkie linje telefoniczne były załączone a organa pomocnicze znały już kierunek i drogę. W chwili gdy atakująca piechota zbliżała się już do okopów, trzeba było powstrzymać chwilowo ogień armatni, a potem przełożyć go na dalszy dystans, aby nie narazić jej na tak bardzo demoralizujące, chociaż -by tylko przypadkowe strzały własnej artylerji. Zarządziłem więc tymczasem posunięcie się naprzód schodami baterijnymi w czasie którego oznajmiły nam już głośne okrzyki o zwycięskim wtargnięciu krakowskiej piechoty w rosyjskie okopy.

Wydawszy więc memu zastępcy podżuk. Schöffferowi rozkaz obserwowania ze swą grupą haubic całego frontu i wspomaganie piechoty w razie potrzeby lub możliwego kontrataku nieprzyjaciela, zleciłem telefonicznie drugiej grupie trzech baterji polowych, stojącej bliżej Annopola, posunięcie wszystkich swych dział na tamtejsze wzgórza, aby mogły lepiej wspierać dalszą akcję, a ewentualnie wziąć i czynny udział w pościgu. Sam udałem się również natychmiast na wyznaczone dla tych polówek miejsce w pobliżu wsi Opoka Duża, a wyprzedzając je wraz ze ścisłym sztabem stanąłem niebawem pierwszy na szczycie owych

wzgórz na wschód od Annapola, odznaczających się zdaleka jedynym widocznym w tej okolicy wiatrakiem. Pomimo zachowania należytej ostrożności i odpowiedniego ukrycia mych koni, zosta-
-łem tam odrazu przywitany ostrymi szrapnelami rosyjskimi, pierwszymi z kaimi wówczas się spotkałem, a z których cztery pękło wprawdzie dość wysoko, ale za to bardzo dokładnie nad głową moją i mego adjutanta. Dotychczas nie były się jeszcze odezwały żadne rosyjskie armaty, byłem też niemało zdziwionym skąd tak prędko mogły one odkryć miejsce, w którym się znejdowałem. Jednocześnie zaraz w następnej chwili zauważyłem pod osobno stojącym drzewem wyraźnie zarysowującym się na północnym stoku wzgórza, zwartą grupkę oficerów austriackich, a opodal w krzakach całą masę ludzi oraz koni kawaleryjskich, którym posłali rosjanie też zaraz nową porcję szrapneli, lepiej tym razem do nich skierowaną. Zagadka była zatem wyjaśniona. Oni to ścignęli pociski w tę stronę, zajmując najzupełniej niepotrzebnie właśnie ten teren, który był dla moich obserwatorów jedynie nadającym się i koniecznym. Huknąłem więc na nich tonem mocno podniesionym, aby się czempędzej stamtąd wynosili, lecz na odgłos mych słów, niezupełnie grzecznych, powstał z pod drzewa chudy, elegancki generał, w którym poznałem odrazu gen. Brudermanna, rabgą znacznie starszego odemnie, będącego właśnie dowódcą tej dywizji kawalerji, która nam rano takie urządziła widowisko. Podszedłszy ku niemu prosiłem go zatem o wybaczenie ostrego tonu mej przemowy tłumacząc, iż wziąłem jego sztab za potrol jazdy, który narażając siebie niepotrzebnie zabiera nam właśnie ów jedyny dla nas odpowiedni punkt obserwacyjny. Zaczny gen. Brudermann nie wziął mi jakoś za złe tej pomyłki, gdyż był prawdziwym gentlemanem w każdym calu, więc choć stanął typ oficera wyłącznie kawalerzysty, taktycznie niestety zbyt mało wyszkolonego, błąd swój wyczuł odrazu i chciał go zaraz naprawić. Poskarżył mi się następnie, że wyższe dowództwa już od tygodnia pędzą jego dywizję, jak gdyby ona była jakimś małym podjazdem, że kazano mu się przerzucać od lewego

do prawego skrzydła, a teraz znów od prawego ku lewemu, tak, że otrzymawszy ze znacznym spóźnieniem rozkaz przejścia w rejon Annopola musiał w końcu, nie chcąc przecinać naszych kolumn marszowych, przejechać przed naszym frontem a temsamem i pod ogniem karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Dodał zarazem, że zmęczona jego dywizja potrzebuje już koniecznie jakiegoś nareszcie wypoczynku, szczególnie ze względu na znaczną liczbę lekkorannych ludzi i koni.

Nie mogłem powstrzymać się od zapytania, czy mój oficer ordynensowy złożył mi swój raport i czy rozmyślnie nie skorzystał on z przesłanej w ten sposób przezemnie propozycji przeprowadzenia korzystniejszego swej dywizji zakrytą całkiem drogą leśną. Generał odparł mi na to, z pewnym jednak zakłopotaniem że dostawszy się raz w ogień na tym gościńcu, nie mógł już ze względu na dyscyplinę zboczyć z terenu, gdyż wyglądałoby to na chęć uniknięcia strat, do czego nie chciał żadną miarą przyzwyczajać swych żołnierzy już od samego początku, i że szczęściem mimo wszystko straty nie okazały się w końcu tak licznymi jak z początku przypuszczano. Obiecał mi najchętniej usunąć się natychmiast z zajmowanego dotychczas wzgórza, prosząc przytem o radę, gdzie mógłby, stosownie do sytuacji, umieścić swą dywizję dla zapewnienia jej tak koniecznego wypoczynku. Uradowany, że pozbędę się tej masy jeźdźców, taktycznie narazie zupełnie bezużytecznej a zamykającej tylko dostęp dla nadciągających już baterji, wskazałem mu okolice na północ od Annopola w kierunku na Józefów, jako leżącą na flance 12 dyw. piechoty, która rozciągnęła się była właśnie po sam Annopol i radziłem by zjechawszy ze wzgórz zajętych przez nas już całkowicie, przeprowadził tam jazdę swą dołem i drogą zakrytą a wolną jeszcze oraz nikomu narazie niepotrzebną. Miałem jednak jeszcze pewne trudności z nadzwyczaj zdenerwowanym szefem strażu tej dywizji jazdy ppułk. Dragonim, który chciał odmarsz ten rozpocząć od wsiadania na koń całej tej masy na wzgórzu samym i ustąpił dopiero po kategorycznym mojem żądaniu, by konie zaprowadzono aż na dół ścieżką zakrytą krzakami, a potem dopiero

dozwolono żołnierzom wsiedać na nie. Później doniesiono mi jednak jeszcze, że cała ta jazda, zamiast zekrywać lewą flankę przez zajęcie okolicy, którą wskazałem, rozłożyła się na łąkach między Wisłą a Annopolem, tamując wszelkie ruchy dywizyjnych taborów i zakładów, a prócz tego na skutek zdenerwowania po przebytych silnych wstrząsach i licznych stratach dnia tego, co chwila nocnymi strzałami alarmowała i niepokoiła sąsiadów. Pozbyliśmy się ich na dobre dopiero następnego dnia na podstawie kategorycznego rozkazu dywizyjnego, zmuszającego upartego szefa sztabu tej kawalerji do odmaszerowania wprost pod Józefów.

Miałem w wydarzeniach tego dnia dobitny obraz marbowanie tak świetnego materiału, jaki stanowiły bezsprzecznie ówczesne pułki austriackiej kawalerji, już od samego początku, nawet przez tak szlachetnych i dzielnych dowódców, do jakich należał stamowczo młodszy generał Bruderman z powodu, iż nie znalazł on ani potrzebnej pomocy w pracy operatywnej, ani koniecznego taktycznego wsparcia w swym szefie sztabu, zwarjowanym i bezpodstawnie zarozumiałym podpułkowniku Dragonim. Tak osobiście dzielny generał byłby przy współpracy rozsądnego i dzielnego szefa sztabu oddał niechylnie armji nieocenione usługi, zaraz w akcji dnia tego mógł odrazu zamiast niszczyć swe siły bojowe w brawurowej a zbytecznej defiladzie pod ogniem rosyjskim, zachować je za pomocą normalnego marszu w całości, aby po zajęciu przez piechotę 12-tej dywizji rosyjskich okopów, rzucić swe pułki w pościgu oraz z flanki na cofające się już kolumny wroga i spowodować przez to z łatwością ich klęskę.

Tymczasem Rosjanie, zaskoczeni tak niespodziewanie z flanki i od tyłu ostrym ogniem działowym dzielnego majora Hoffmana, któremu udało się przypadkiem pierwszymi odrazu salwami zestrzelać i rozbić ich wyższe ształy, opuścili bez wielkiego oporu swe doskonale rozbudowane rowy strzeleckie, pozostawiając nam z górą półtora tysiąca jeńców. Przytem tak artylerja ich jak i wszystkie tabory uciekające w popłochu ugrzęzły w piachach i bagnistych

przejęciach rzeczki Wyźnicy, tkwiły w nich aż do następnego ranka więc byłyby się stały wraz z resztą oddziałów łatwym łupem austro-węgierskiej kawalerji, gdyby ta była dnia tego jeszcze zdolną do jakiegokolwiek użycia.

Zdążyliśmy oddać za ledwie jeszcze kilka strzałów na znikającą szybko w lasach linię tyraljerów rosyjskich, lecz za to otrzymaliśmy nawzajem, jakby na pożegnanie, w pobliżu wiatraka widocznego z daleka, dwa pojedyncze, ciężkie jakieś granaty. Po wydaniu przez dywizję zarządzeń wstrzymujących bezładny pościg na zdobytych rowach strzeleckich miałem czas zaspokoić moją ciekawość i zwiedzić chociaż pobieżnie teren tej pierwszej w mem życiu a przytem zwycięskiej potyczki. Kazałem sobie podać świeżego konia - kupioną właśnie w Dzikowie folblutkę "Minerwę" i przejechałem najpierw wzdłuż gościńca, obok którego odbywało się przed chwilą starcie. Trupów oczywiście jeszcze nie pochowano, mogłem więc skonstatować, że z szeregów austriackich znajdowało się ich tam bardzo niewiele, a stosunkowo nieznaczna była również i ilość rannych, których odwożono właśnie traktem do Annapola. Przejeżdżając potem wzdłuż zdobytych okopów, wkopanych głęboko w piaszczysty teren i wyzyskujących doskonale jego naturalną pagórkowatość, byłem również zdumiony stosunkowo bardzo małą ilością strat rosyjskich. Tylko w jednym miejscu, pośród dużej wyrwy piaskowej, leżało blisko siebie kilkanaście trupów oficerskich, a przy nich wierzchowe konie, zabite tam widocznie wraz z nimi przez pierwsze niespodziewane salwy majora Hoffmanna. Jeńcy których wypytywałem, opowiadali mi, że sztaby obu brygad dywizji rosyjskich zostały właśnie w chwili wydawania rozkazów zaskoczone od tyłu tymi pociskami i wyginęły prawie w całości. Skutkiem więc braku zarządzeń w czasie walki zapanowała kompletna dezorientacja, która przemieniła się w panikę, gdy ukazały się wkrótce, podeszłe już blisko, linie atakującej piechoty, prącej z ogromnym impetem i rzucającej się w ogień wedle ich określenia, niegorzej od istotnych "djabłów". Zauważyłem przytem, że większa część jeńców odpowiadała nadzwyczaj chętnie po polsku i dowiedziałem się, że byli to ludzie pochodzący z okolic Kielc i Radomia, pozdrawiałem ich więc już potem w przejeździe

wyłącznie po polsku, a oni uformowani do marszu w kolumny, odpowiadali mi radośnie, charakterystycznym w wojsku rosyjskim zbiorowym sposobem powitania.

Miłą była dla mnie w czasie tego objazdu radość i wdzięczność z jaką odnosiły się zwycięzkie oddziały piechoty do mnie i mojej artylerji, za tak wydatną pomoc udzieloną im w czasie tej walki. Nie można więc było wówczas przewidywać, że w ciągu najbliższych już dni będzie ta pomoc tak szkodliwie zbagatelizowaną i to nawet przez dowódców tych samych oddziałów, którym pod Annopolem umożliwiła ona tak łatwe, bo niemal bezkrwawe zwycięstwo. Wróciwszy dopiero o zmroku do Annopola, zastałem wprawdzie cały sztab dywizji w radosnym nastroju, jednak po pierwszych objawach entuzjazmu wywołanego własnym zwycięstwem, wyczułem pewien żal co do zbyt przeważającego w niem udziału artylerji, i co ciekawsze jeszcze, jakby pewną obawę, że wobec "małych strat" atakującej piechoty i niezbyt wielkich również strat wroga, piękne to zwycięstwo będzie zapewne "u góry" mocno zlekceważonem. Dowiedzieliśmy się później dopiero, że niemal równocześnie gdyśmy byli zajęci tą walką pod Annopolem, na wschód od nas rozgrywała się poważniejsza bitwa całej reszty I. korpusu w okolicy na południu od Kraśnika. Przebieg jej był też nadzwyczaj ciekawym, gdyż 23 sierpnia w pierwszym dniu walki 46 dyw. obrony krajowej, atakująca frontalnie z wielkim zamachem, lecz bez należytego przygotowania i poparcia artylerji, poniosła była tak ciężkie straty, że znajdujący się właśnie wówczas przy niej dowódca korpusu, ulegając wrażeniu klęski, którą widział z tak bliska, uważał całą akcję, za zupełnie daremną i zamierzał nawet nakazać już odwrót ogólny. Powstrzymał go od tego jedynie młody oficer jego sztabu kpt. Frank, tłumacząc, że dopóki nie nadejdą raporta od 12 dyw. walczącej pod Annopolem i od 5 dyw. marszerującej na Liśnik Duży w rejon pomiędzy Gościeradowem a Kraśnikiem, powzięcie tak stanowczej decyzji nie jest jeszcze niczem uzasadnione, tembardziej, że nie uprawnia do tego i zachowanie się nieprzyjaciela, wyczekującego dalszych wypadków

całkiem biernie w swych okopach. Uzyskawszy nareszcie na skutek ostrego przeciwstawienia się lamentującemu szefowi sztabu od zupełnie w tej chwili zdeprymowanego dowódcy korpusu, przynajmniej pewne opóźnienie w wydaniu tak niefortunnego rozkazu odwrotu, podjął się kpt. Frank odszukania osobiście 5 dyw. w ich mniemaniu zabłąkanej i przyprowadzenia jej corychleń na pomoc. Otrzymałszy pisemny rozkaz dla tejże dyw. nakazujący natychmiastowe przyście z pomocą już pobitej 46 dyw., a to przez najspieszniejsze wycofanie się ku południowemu wschodowi, pojechał dzielny ten oficer konno, już o zmroku, samotrzeć na poszukiwanie owej "zabłąkanej" 5-tej dywizji. Po dłuższem i trudnem szukaniu, wśród ciemnej nocy i w nieznanym terenie, znalazł on ją dopiero nad ranem w bwoaku w Budkach niedaleko Liśnika, a zatem już na flance, a nawet prawie na tyłach oddziałów rosyjskich, pozostających wciąż jeszcze biernie w swych okopach na wysokości Węglina. Osądzając należycie całokształt sytuacji dał on po objaśnieniu ogólnego położenia, na własną odpowiedzialność tej dywizji zamiast przysłanego na piśmie rozkazu cofnięcia się bez walki ku południowi, całkiem przeciwne ustne polecenie, natychmiastowego energicznego natarcia na tyły rosyjskie. Zarządzeniem tem spowodował dopiero owe poważniejsze zwycięstwo pod Kraśnikiem. Wrócił bowiem do dowództwa korpusu jeszcze na czas by je uprzedzić o tem, że dywizja 5-ta znajduje się na flance i tyłach rosyjskich i właśnie w tej chwili tam atak swój rozwija, a przez to zmusił sztab korpusu, zwątpiały już zupełnie i zastraszone wznowionym od rana pod Kraśnikiem ogniem armatnim, do pchnięcia poturbowanej poprzedniego dnia 46 dywizji na poczynającego się już cofać nieprzyjaciela. Pełne zwycięstwo osiągnięte dnia tego i duże straty, jakie poniósł przeciwnik, były więc faktycznie zasługą energicznej i zuchwałej może nawet, lecz faktycznie uzasadnionej samoistnej decyzji tego utalentowanego młodego oficera. Nie otrzymał on krzyża Marji Teresy, na który wówczas rzetelnie zasłużył, dlatego jedynie, że zbyt wielu wyższych dowódców byłoby musiało przy tej sposobności przyznać się do zupełnego zwątpienia, a nawet karygodnej małoduszności.

Nastrój zdeprymowania jaki opanował był 23-go wieczorem dowódców 1-go korpusu odbił się również szkodliwie i na dal-
-szym sukcesie jaki mogło osiągnąć jeszcze zwycięstwo pod Anno-
połem, gdyż pierwsze alarmujące wieści o porażce oraz ciężkich
stratach 46-tej dywizji, połączone z zapowiedzią grożącego z
tej racji ogólnego odwrotu, wstrzymały 12 dyw. od energicznego
i natychmiastowego pościgu na całym froncie.

Natomiast jest niewątpliwem, że krótki jej raport wieczorny o
odniesionem dnia 23 sierpnia zwycięstwie przyczynił się znów
niemało, wraz z energiczną interwencją kpt. Franka, do tego, iż
zdenerwowany dowódca korpusu przetrwał jeszcze tę niebezpie-
-czną noc z 23 na 24-ty bez wydania rozkazu odwrotu, który mógł
spowodować nieobliczalne wprost skutki. Bo cofnięcie się I. kor-
-pusu byłoby odrazu wywołało zatrzymanie się na całym froncie
armii austro-węgierskich, rzuconych przez granicę z takim
rozmachem a więc i spowodowało natychmiastowe zupełne załama-
nie się całej ówczesnej ofenzywnej akcji.

Zasługi poszczególnych dowódców ujawnione dnia tego, zostały
później przez najwyższe władze w ten sposób nagrodzone, że do-
wódca I. korpusu, który właściwie bitwę tę pierwszego dnia prze-
-grał i nie był nic temu winien, że nie zakończyła się ona praw-
wdziwą klęską, otrzymał wielką wstęgę Żelaznej korony, gen. Scotti
naprawdę zasłużony śmiałym ruchem i energicznym natarciem swej
5-tej dywizji, wysoko cenioną drugą klasę Leopolda, mój dywizjo-
ner za prawdziwie piękny sukces pod Annopolem już tylko drugą
klasę Żelaznej korony, zaś kpt. Frank, który los bitwy pod Kraśni-
-kiem właśnie rozstrzygnął jedynie trzecią klasę tegoż- orderu
zaś mjr. Oskar Hoffman na razie tylko zwykły wojskowy Krzyż Za-
-sługi. Późniejsza moja interwencja celem uzyskania dla obu
tych ostatnich najpiękniejszego wojskowego odznaczenia, krzyża
Marji Teresy, na który w pełni zasłużyli, nie odniosła dotych-
czas skutku, możliwem jest jednak, co wnioskuje z przesłanych mi
w ostatnich czasach dodatkowych zapytań, że mjr. Hoffman, dzi-
siał pułkownik rezerwy, może jeszcze dodatkowo wysoką tę na-
grode otrzymać zdoła.

Po owej nocy, w której pod świeżem wrażeniem pierwszej bitwy i pierwszych również poniesionych choć nielicznych ale zawsze przykrych strat, mało kto spał prawdziwie. a którą przerywało zresztą przepytywanie przyprowadzanych wciąż jeńców. słysząc odrena silny ogień armatni od strony Kraśnika. wysunęliśmy przedewszystkiem przednie strażę pod Księżomierz. grupując się do marszu tak w kierunku poprzednim. to jest ku północy jak i w kierunku północno-wschodnim. celem ewentualnego niesienia pomocy naszym sąsiadom. Jedną kże przesadnie ostrożny dowódca dywizji, mimo nalegań z mej strony, nie chciał posunąć się dalej bez rozkazu. Dopiero koło południa nadeszły wiadomości o cofnięciu się Rosjan przed I. korpusem na Kraśnik a przytem otrzymaliśmy i krótkie zlecenie energicznego pościgu dalej ku północy. Nie tracąc czasu na żadne przegrupowywania, wydano więc tylko pospiesznie obiad i ruszono zaraz w skwarny dzień piaszczystemi drogami, kierując się ku dwom najbliższym przejściom przez błotnistą rzeczkę Wyżnicę pod wsiami Boiskami i Dzierzkowicami. Przednia straż idąca przez Księżomierz, tworzyła przytem słabszą prawą kolumnę, a reszta dywizji, idąca przez Grabówkę, silniejszą lewą. Przekroczywszy dolinę Wyżnicy, w której natknęliśmy się na widoczne ślady panicznej rosyjskiej ucieczki, zatrzymano dywizję na nocleg, gdyż skutkiem ciężkich warunków marszu pora była już bardzo spóźniona. Sztab stanął w skromnym dworku szlacheckim w Grabówce, którego właściciele dwoje staruszków, przyjęli nas z tak widocznem przerażeniem, że spytałem ich odrazu o tegoż przyczynę. Usłyszawszy moje nazwisko i upewnieni, że jestem Polakiem, przyznali mi się, że boją się kozaków, którzy wprawdzie przed nami uciekli, ale wrócą z pewnością i na nich się mścić będą, gdyż służba doniesie niechybnie, że państwo gościli Austryjaków i że im sprzyjają. Prosił więc by im do każdej rzeczy, której potrzebować będziemy wydawano "nakazy", co uchroni ich od ewentualnego pociągnięcia do surowej odpowiedzialności. Wyjaśniłem więc, z pewnym coprawda trudem tak dowódcy jak i oficerom sztabowym, tę przymusową i właściwie tragiczną sytuację gospodarzy i uzyskałem, że wyrażano

im nadal wszystkie życzenia w formie kategorycznych rozkazów, o ile możliwości nawet na piśmie wydawanych. Przypilnowałem również, by wszystkie przedmioty rekwirowane były natychmiast płacone, lub w razie niemożności przynajmniej najformalniej mwitowane i by odrazu zakazywano surowo wszelkich nadużyć i prześladowań. Miałem bowiem sam sposobność zaraz w czasie tego właśnie marszu nawet przekonać się naocznie, jak się tego rodzaju bezprawia odbywają. Nadjechałem był do wioski Suchej Woli w chwili, gdy gruby podoficer rachunkowy jednego z marszowych batalionów przydzielonych do 12 dyw. wyrywał przemocą wątłej kobiecie otoczonej liczną drobną dziatwą ostatnią jej nędzną krowinę, a zamiast uiścić zapłatę, chciał brutalnem kopnięciem pozbyć się lamentującej właścicielki. Bardzo energiczny sposób, w jaki przerwałem tę oburzającą scenę uratował oczywiście krowę od rekwizycji i całą tę rodzinę od dalszego prześladowania, lecz żałowałem później, że nie kazałem odrazu rozstrzelać owego rabusia dla dania wszystkim odstrasającego przykładu, gdyż tylko bezwzględne tępienie od samego już początku tego rodzaju nadużyć, mogło być uchronić ludność od późniejszych tak licznych i ciężkich prześladowań i grabieży. Smutne te objawy stały się zresztą z biegiem czasu liczniejszymi i z tego powodu że o ile z początku załatwiali zakupy fachowi oficerowie i podoficerowie intendantury, czyniąc to według przepisu za gotówkę później wobec coraz większego braku specjalistów, posługiwały się oddziały nieraz dorywczo zwykłymi podoficerami a nawet i żołnierzami, którzy często nie zasługiwali na zaufanie, a zatrzymując znaczną nieraz gotówkę dla siebie, wydzierałi ludności bez zapłaty ni kwitu wszystko co tylko zabrać się dało. A że twarde życie wojenne u wielkiej części ludzi prostych potęguje drzemiące w człowieku prymitywnym dzikie instynkta, wypadki takie stawały się niestety coraz bardziej ogólnymi. Drugim przykrem zagadnieniem była sprawa grzebania za bitych, gdyż przy kolosalnej ilości późniejszych strat, nie było nieraz można pochować odpowiednio własnych nawet poległych, nie mówiąc już o przeciwnikach.

Raz tylko jeden w czasie całej tej wojny właśnie po tych pierwszych walkach pod Annopolem, widziałem pogrzeb oficera nieprzyjacielskiego z pełnymi honorami wojskowymi, a mianowicie chowano tamże starszego rotmistrza rosyjskiej gwardji barona Medema, który wyprzedziwszy swój szwadron zapędził się był na doskonałym konie za patrolem austriackim aż w same opłatki Annopola i zginął tam z ręki jednego z wachmistrzów ułańskich. Lecz dla pochowania oficerów sztabu rosyjskiego poległych w tamtejszych okopach i wówczas nawet nie stało nam już czasu przed wymarszem z Annopola, późniejsze szybkie działania wojenne nie dozwalały tembardziej na taką zwłokę. Grzebanie zmarłych dokonywała więc przeważnie ludność okoliczna, korzystając przytem z poważnych nawet nieraz łupów przy nich znajduwanych, tak że drugi ten straszny objaw zdziczenia powodowanego wojną, to jest ograbywanie zabitych, a co gorsze jeszcze i zwierzęce nieraz dobijanie rannych, stał się poniekąd odwetem gorszych elementów ludności za poniesione skądinąd straty i krzywdy. Szczególniej podczas operacji bardziej manewrowych, wymagających szybkich ruchów i wytężonych marszów, mnożyły się oba te straszne przjawy, potęgującą srogą bezwzględność wojny, a niektórzy najprzedniejsi nawet dowódcy, przyzwyczajwszy się do nich w czasie marszów, nie potrafili przeciwstawić się tem pladze nawet i na postojach, gdzie uporządkowanie tych spraw było zupełnie niemożliwym. Nieraz gdy broniliśmy później ludność naszą przed rabunkiem lub nadmiernymi świadczeniami, odpowiadano mi naiwnie w prymitywnej logice, że "wojna to nie przelewki" i że jeżeli żołnierz niesie w ofierze swe życie, to "cywil", a szczególnie nieprzyjacielski poddany, winien również odczuć jej ciężar na swem mieniu przynajmniej. Podobne zapatrywanie przyczyniały się oczywiście do takiego rozwielenienia się nadużyć i do takiego patrzenia na nie przez palce, że ludność początkowa życzliwa, musiała stać się z czasem prawdziwie wrogą, nawet względem własnych oddziałów.

Niestety także od samego już nawet początku wojny, wielu oficerów obu stron walczących, pozwalało sobie na branie tak

zwanych "pamiątek" które jak na przykład w Zagórzanach, poczęło się od srebrnego nożyka zabranego przez członka jednego z wysokich austriackich sztabowców a zakończyło zerwaniem ze ścian bardzo cennych gobelinów przez sztab armji Radka Dimitriewa, lub jak w Przeworsku, gdzie elegancki rotmistrz huzarów węgierskich przywłaszczywszy sobie bardzo cenną starą karabele, nie wstydził się upewnić jeszcze później listownie jej prawnego właściciela, że znajduje się ona u niego w największym poszanowaniu jako droga relikwia wojenna, tak dalece uważał on za naturalne swe prawo "zdobywcy".

Narazie zachowywała się jednak 12 dyw. piechoty, może dzięki mojemu naciskowi najzupełniej poprawnie, pilnując skrupulatnie przepisów, a choć ludność Lubelszczyzny podnosiła się naturalnie ze zrozumiałą rezerwą do wkraczających wojsk austro-węgierskich - okazywała jednak wiele życzliwości dla nas oficerów i żołnierzy Polaków, bardzo licznych w tej dywizji, mimo, że miała wszelkie podstawy do obawiania się represji wojsk rosyjskich, skonałoby do ofensywy odwrócić się zdołają i okupowany teren odbiorą.

Dopiero nad wieczorem otrzymaliśmy w Brabówce obszerniejszą relację o wielkiej doniosłości korpuśnego "zwycięstwa" odniesionego na południu od Kraśnika wraz z rozkazem bardzo energicznego pościgu rozbitych już zupełnie Rosjan. Nakazano więc na 25 sierpnia szersze ugrupowanie pościgowe, odrazu w trzech kolumnach, każda po jednej brygadzie piechoty z przydzielonym dywizjonem artylerji, o godzinach wymarszu możliwie wczesnych, a tak obliczonych, aby wszystkie trzy brygady mogły się poruszać na równej wysokości. Z rozmieszczenia noclegowego w jakim znajdowała się dywizja wynikło przytem nie bardzo szczęśliwie, że przydzielona do niej po przekroczeniu Sanu tak zwana 1 brygada marszowa korpusu, słabo skonsolidowana i mniej ruchliwa od obu brygad normalnych, skierowaną została właśnie na lewą /zewnątrzną/ linię marszu, poprzez Boby na Chodel, najsilniejsza zaś prawa grupa, utworzona przez 24 bryg. pod wysoko wówczas cenionym gen. Zaleskim, otrzymała wraz z dywizjonem haubic najlepszą drogę przez Urzędów i Ludwinów na Brze-

54

-chów. Słabszej liczebnie 23 brygadzie, za którą postępować miało dowództwo dywizji, dano w centrum kierunek na Ratoszyn i Brzeziny. Wyczuwając jednak pewne niebezpieczeństwo dla lewej flanki kolumny utworzonej z brygady marszowej, do której najmniej można było mieć zaufania, próbowało dowództwo 12-dyw. nawiązać corychlej kontakt z podporządkowaną mu na najbliższe dni 3 dyw. kawalerji, znajdującą się już od kilkunastu godzin w okolicy Józefowa, by nakazać jej intensywny wywiad na zewnętrznej flance poprzez Opole na Lublin, oraz ścisłe współdziałanie dnia następnego z tą lewą właśnie kolumną w akcji pościgowej. Przeprowadzenie tego zamiaru napotkało jednak nieoczekiwane trudności. Tak na rozkaz armji, podporządkowujący ją dowództwu 12 dyw. piechoty w celu uzupełnienia pościgu, jak i na wskazówki tegoż dowództwa przesłane jednocześnie przez oficera ordynansowego, odpowiedziała dywizja kawalerji jedynie, że związana silnymi oddziałami nieprzyjacielskimi nie może ruszyć się obecnie z Józefowa, tembardziej, że konie są nadzwyczaj przemęczone i wymagają koniecznie kilkudniowego wypoczynku. Alątmowała nas przytem opowiadaniem o silnej akcji Rosjan z zachodniego brzegu Wisły na Józefów, tak, że spowodowała tem nawet znaczne opóźnienie naszego pościgu, który dopiero 26 sierpnia po noclegu sztabu u księdza w Bobach podjęliśmy znowu w całej pełni.

Mieliśmy właśnie ruszyć w drogę 26-go wczesnym rankiem, gdy nam przywieziono odpowiedź 3 dyw. kawalerji, że z Józefowa żadną miarą ruszyć się nie może. Dowódzca 12 dywizji oburzony tak widocznem lekceważeniem doniosłości wydanego rozkazu i wiedząc, że posuwające się lewym brzegiem Wisły oddziały grupy gen. Kumera nie napotykają tam innego oporu prócz dość słabej kawalerji nieprzyjacielskiej postanowił zmusić jednak 3 dyw. jazdy pomimo wszystkiego do bardziej aktywnego współdziałania. Ponieważ z powodu chwilowego rozczłonkowania artylerji byłem nieczynnym narazie, miałem więcej wolnego czasu do dyspozycji, podjąłem się pojechać do 3 dyw. kawalerji i wyrzucić osobiście

nacisk w nakazanym kierunku. Ruszyłem więc natychmiast z kilkoma tylko jeźdźcami w stronę Józefowa, pozostawiając sztab mój przy dywizji. Choć obaj oficerowie ordynansowi chcieli jechać ze mną, wziąłem ze sobą tylko por. Biesiadeckiego i ochotnika Skrzyńskiego, poruczając por. Żeleńskiemu opiekę nad moim oddziałem sztabowym oraz nad naszymi końmi zapasowymi.

Po godzinie żwawego kłusowania, gdy ujrzelśmy przed sobą wyłaniającą się z lasów wstęgę Wisły oraz ogrody i domki Józefowa, zatrzymałem się na chwilę na wzgórku, by przyjrzeć się przez szklę okolicy i zorientować się nieco w terenie. Zwróciły wówczas moją uwagę grupki galopujących jeźdźców, a w kilka chwil później ujrzałem wyraźny błysk kilku luf armatnych zwracanych ku nam. Domyślając się, że jest to konna artylerja austriacka, która poczytując nas za nieprzyjaciół, ma zamiar powitać nas ogniem, puściłem się wraz z moimi towarzyszami galopem przez głęboki parów ku miasteczku, aby zniknąć tym sposobem szczęśliwie z oczu tych zbyt gorliwych wojowników. Po dwóch kilometrach jazdy, pod samym już prawie Józefowem, natknąłem się dopiero na patrol dragonów austriackich, widocznych z daleka w swych hełmach świecących i kolorowych mundurach, a wkrótce potem i na owych artylerzystów, którzy mnie przed chwilą właśnie pociskami swymi poczęstować chcieli. Oni nieco skonfundowani naturalnie wskazali mi kierunek na północny wschód od Józefowa, gdzie miała znajdować się właśnie straż przednia wraz ze sztabem 3 dywizji kawalerji. Kłusując dalej spotkałem niebawem dużą kolumnę jazdy maszerującą ku południu, a mijając ją poznałem wielu dobrych znajomych, przede wszystkim ówczesnego mjr. Żabę, óżniejszego generała Wojsk Polskich, który na moje pytanie, dlaczego kierują się na południe, jakby znajdowali się w odwrocie, objaśnił mnie dopiero, że codziennie muszą jeździć w ten sposób na zmianę dla pojenia koni i to do pójta w Wiśle odległego o kilkanaście kilometrów, przemęczając ten oddział bez żadnego słusznego powodu. Prosiłem zatem brygadiera o natychmiastowe wstrzymanie pochodu tej kolumny oraz wytłumaczenie mi tych dziwacznych zarządzeń. Dowiedziałem się wówczas, że pod wpływem zupełnie

zwarjowanego szefa sztabu pułk. Dragoniego, dawniej tak spokojny i zrównoważony gen. Brudermann poczyną już tracić głowę i z powodu ukazania się jednego tylko szwadronu kozaków po tamtej stronie Wisły, nie przestaje trzymać dywizji od dwóch dni w najbardziej męczącym pogotowiu, każąc jej kręcić się formalnie bez przerwy po najbliższej okolicy samego Józefowa.

Informacje te były rzeczywiście niezmiernie charakterystyczne i tłumaczyły poniekąd niezmiernie przemęczenie tej jazdy, a gdy udało mi się wreszcie odnaleźć, nie bez trudu, stanowisko sztabu tejże dywizji, znajdował się on właśnie wraz z pułkiem przedniej straży w zaroślach nad samym brzegiem rzeczółki, w której wszystkie konie dywizji mogły być bardzo łatwo być pojonymi bez wszelkich marszów na miejscu. Za to przed sztabem tym wznosiło się niedalekie dość znacznie dominujące wzgórze, na którym prócz słabych patroli nie ustawiono żadnego innego ubezpieczenia, tak, że lada oddziałik rosyjski mógł z największą łatwością ostrzelać stamtąd nietylko straż przednią lecz z nią i sztab cały, podczas, gdy artylerja konna pozostawiona zbyt-
nio w tyle i rozwinięta już na pozycjach pod samym Józefowem, nie byłaby w stanie w tym wypadku w żadnej mierze współdziałać.

Zameldowawszy się u gen. Brudermanna zawiadomiłem go odrazu, że mam rozkaz poprowadzenia jego dywizji w poprzednio już nakazanym kierunku. Wywołało to natychmiastowy sprzeciw ze strony niezmiernie podnieconego szefa sztabu starającego się udowodnić mi, że to jest niemożliwe, tak, że zareagować musiałem ostro, oświadczając pułk. Dragoniemu, iż rozmawia z dowódcą i żadnych nieproszonych uwag nie przyjmuję. Odpro-
wadziwszy następnie Brudermanna na bok, powiedziałem mu, że wolałbym nie być zmuszonym do wręczania mu przywiezionego bardzo ostrego roz-
kazu pisemnego 12-tej dywizji i przypuszczam, że i on sam doskonale zrozumie jak koniecznym jest w danej sytuacji pościgowej współdziała-
nie całej dywizji kawalerji, a skoro jego widocznie zdenerwowany szef sztabu przeszkadza mi we wszystkim, to winien odesłać go na-
tychmiast do szpitala lub pozbyć go się w inny energiczny sposób. Po-
prosiłem również, by konie oddziałów zatrzymanych przezemnie w drodze zechciał kazać napoić w rzeczce płynącej u naszych stóp i by wydał zaraz wszelkie zarządzenia dla wyruszenia w możliwie najkrótszym cza-

-sie w kierunku miasteczka Chodla.

Pod tym energicznym naciskiem zostały wszystkie te konieczne zarządzenia niebawem wydane, ale szef sztabu mocno widocznie obrażony ograniczył się tylko do zantowania tychże. Z opowiadań poszczególnych dowódców, którzy zaczęli się tymczasem zgłaszać do sztabu okazało się jeszcze wyraźniej, iż ów ppułk. Dragoni potrafił tak zasugestjonować dzielnego lecz taktycznie słabego gen. Brudermana rzekomen wielkiem niebezpieczeństwem grożącym z tamtej strony Wisły, że dywizja trzymana ciągle pod siodłem musiała przebywać po czterdzieści kilometrów dziennie kręcąc się właściwie całą swoją masą na jednym prawie miejscu, zamiast żeby mogła, po należytem zabezpieczeniu się za pomocą małych oddziałów, przynajmniej wypocząć tu po zmęczeniu spowodowanym kilkudniowym poprzednim wywiadem przed frontem armji. Pomimo jednak rzeczywistego zmęczenia ludzi i koni, gdy dowiedziane się odemnie o dotychczas odniesionych już zwycięstwach i zrozumiano, że to o pościg chodzi obecnie, wszyscy niżsi dowódcy oświadczyli, że pojedą ochotnie chociażby ostatnim tchem koni, celem wyzyskania takiej sytuacji.

Wyruszyliśmy jednak dopiero około 10-tej, wlokąc się przytem prawie wyłącznie krokiem, mami mych nalegań i dopiero, gdy około godziny 1-szej, w czasie krótkiego postoju, dało się wyraźnie słyszeć huk dział w kierunku marszu 12. dywizji, zdołaliśmy nareszcie wymusić kilka kilometrów kłusowania, przyczem przekonałem się, że cała dywizja porusza się zupełnie żwawo, tak, że można przecież liczyć było jeszcze na jej dostateczną sprawność bojową.

Zbliżaliśmy się do Chodla i mijali właśnie Godów, gdy mój oficer ordynansowy por. Żeleński, pozostawiony uprzednio przy sztabie, przywiózł mi wiadomość o ogólnej sytuacji, z której wynikało, że Rosjanie stawiają ponowny opór na pozycjach w okolicy Skrzyńca i na wzgórzach na północ od Borzechowa po obu stronach lubelskiego gościńca i że 12 dywizja zamierza nacierać energicznie w swem obecnym ugrupowaniu, licząc na to, iż cała kawalerja poprzez Chodel współdziałać z nią będzie na flankę nieprzyjacielskiego ugrupowania.

Podczas, gdy długa kolumna jazdy pozostawała w dalszym ruchu ku północy, wyjechałem więc z gen. Brudermannem na pobliskie wzniesienie, z którego widać było cały teren jak na dłoni. Obserwowaliśmy stamtąd dokładnie liczne obłoczki pochodzące od rosyjskich szrapneli pękających nad wzgórzami na wschód od naszego stanowiska, a więc nad miejscem gdzie znajdować się musiały prawdopodobnie w tej chwili austriackie kolumny piechoty, a błyski pojedyncze i kierunek pękania różowo zabarwionych obłoczków austriackiej artylerji, wskazywały znów wyraźnie na wzgórze zajęte przez rosyjskie okopy i stojącą za nimi liczną ich artylerję. Sytuacja wydała mi się tak jasną, szczególnie wobec widocznego już przekraczania niziny rzeczki Chodela przez oddziały lewej kolumny 12-tej dywizji, że bez wahania wskazałem gen. Brudermannowi, zgodnie z otrzymanym rozkazem, na kierunek poprzez Chodel ku dobrze przed nami ku północy widocznym wyniosłym pogórkom Wronowa. Radziłem mu, by skorzystał ze sposobności rzucenia stamtąd swych pułków na flankę a może i na tyły rosyjskie, by zestrzelał ich pozycje na wskos swoją artylerję i dążył nawet do zdobycia armat rosyjskich a potem i do odcięcia wszystkich ich sił przez energiczną akcję ku Bełczycom.

Nie można było wymarzyć sobie lepszej sposobności dla wielkiego sukcesu kawalerji, to też gen. Brudermann przyjąwszy z radością moje rady i wskazówki pogalopował żywo na czoło swej kolumny, podczas gdy ja uważając moją misję przy nim za korzystnie zakończoną, pośpieszyłem na pole walki 12-dywizji, by wziąć udział w akcji na właściwym mi miejscu. Dla pewności jednak i celem uniknięcia wszelkich pomyłek, kazałem jeszcze por. Żeleńskiemu odprzewodzić dywizję kawalerji, aż poza miasteczko Chodel, licząc jednocześnie i na to, że w ten sposób będę przezeń lepiej poinformowanym, kiedy grupa ta zdoła rozpocząć swe działanie na flankę i tyły przeciwnika.

Szukając dowództwa najbliższej nas lewej kolumny skierowałem się tymczasem z towarzyszącymi jeźdźcami na sąsiednie wzgórze, skąd dostrzegało się linje austriackie znajdujące się w ruchu ku

północnemu wschodowi. Lecz dostawszy się niebawem w ogień rosyjskiej artylerji, zsiadłem z konia i posyłając wszystkich innych w ukrycie do wsi Baranczówki, podszedłem pieszo z samym tylko por. Biesiadeckim ku własnym obserwatorom artyleryjskim, rozmieszczającym się właśnie na skraju lasu pokrywającego cały wierzch leżącego przed nami pogórka. Widać było stambąd linje szarobieskich mundurów, odznaczających piechotę linjową austrijacką nacierającą dzielnie, lecz w zbyt gęstym szyku, mimo silnego ognia artylerji oraz karabinów maszynowych rosyjskich, całkiem jakgdyby na manewrach, nie licząc się wcale z tem, że nawet bardzo mało celny ogień musi wyrządzić ogromne szkody w tak silnie zwartych zbyt gęstych szeregach. -

Na lewo od nas, po drugiej stronie niziny rzeczki Chodla nawysokości wsi Borówa, główne siły lewej kolumny dywizyjnej, to jest brygady marszowej ubranej w stare siemne mundury, dochodziły właśnie do brzegu znajdującego się tam lasu, gdy Rosjanie skierowali na nie silny armatni ogień zaporowy. Precyzyjnie padające granaty wyrzucały tam jakby wysokie fontanny czarnych dymów i liczne obłoki pękających serjami szrapneli przykrywały bezustannie brzeg lasu i szeroką dobrze z mego stanowiska widoczną linję leśną, wstrzymując w ten sposób tę mało jeszcze sprawną rezerwową piechotę w jej dalszem posuwaniu się. A chociaż austrijacką artylerja wysunięta w dolinie rzeczki Chodla aż poza Borów, odpowiadała wytrwale, to jednak masowy ogień przeciwnika, nie słębl bynajmniej, gdyż nie można było w żaden sposób odkryć ni dosięgnąć skutecznie owej doskonale ukrytej artylerji rosyjskiej.

Odziały owej brygady rezerwowej, dowodzone przez pułk, Bańkowski-go, choć podprowadzone nawet kilkakrotnie osobiście przez wyższych oficerów, nie zdołały też przebyć tej imponującej a nieznannej im dotąd ogniowej przeszkody i nawet pod naciskiem tego piekielnego ognia, poczęły się cofać z coraz dotkliwszemi stratami w kierunku miasteczka Chodla. Nieznaczna tylko ich część, w sile jednego lub dwu mniej więcej bataljonów, zdołała utrzymać się jakoś

na lepiej zakrytem miejscu w samym lesie, z czego skorzystała wysunięta poza Borów bateria por. Moskarza zaimprovizowana z czterech dział rezerwowych, aby przesunąć się corychlej aż na wschodni skraj ostrzeliwanego lasu i stamtąd na odległość zaledwie półtora kilometra rozpocząć niebawem nadzwyczaj skuteczny ogień na zaskoczoną tem najzupełniej rosyjską artylerję.

Niespodziewane i nadzwyczaj śmiałe ukazanie się austriackich oddziałów na samej flance i tak blisko rosyjskich armat wywołało tam widoczne zamieszanie. Cała prawie ich artylerja skierowała swój ogień na tych śmiałków, zaprzestając zupełnie dalszego ostrzeliwania rezerwowej brygady, która dzięki temu mogła zebrać się w okolicy Chodle i jako tako uporządkować. Natomiast owe cztery armatki austriackie zostały zasypane przez conajmniej 48 armat przeciwnika gradem pocisków, lecz zręczny por. Moskarz potrafił tak rozstawić nieregularnie swe armaty w większych odstępach wśród maskujących je dobrze krzaków, że zdołał wytrzymać ten ogień przez całą godzinę prawie, - bez poniesienia poważniejszych szkód, zadając zato rosyjskiej artylerji bardzo ciężkie straty. Dopiero gdy bataljon austriackiej piechoty rozwinięty z nim razem na skraj lasu począł ustępować, pod naporem ognia armatniego i kontrataku przeciwnika, przez co bateria pozostawała już tam bez żadnej osłony, kazał jej dzielny dowódzca wycofywać działa jedno po drugim galopem po leśnej drożynie, by się na ich utratę nie narażać. Pozostając zaś przy ostatnim dziale, którego obsługa po większej części leżała już ranna, sam je z jednym ze swych najtęższych ogniomistrzów zaprzędował i wywiózł, retując je w ten sposób w ostatnim niemal momencie. Przytem został w chwili wsiadania na konia raniony w plecy kilkoma kulkami szrapnelowemi i ledwie, że się przy pomocy dzielnego swego ogniomistrza z tych opałów wydostać zdołał.

Gdyby wtedy w chwili ogólnego napięcia, gdy cała uwaga Rosjan skierowana była na brzeg lasu zajętego przez bohaterską baterję, przynajmniej część austriackiej artylerji ukazała się była na wzgórzach położonych trochę bardziej ku północy, lub na drodze z Wronowa do Bełżyc, to jest na tyłach rosyjskich, efekt tej akcji byłby musiał stać się wprost rozstrzygającym. Nie ulega bowiem

wątpliwości, że Rosjanie parci z frontu a zaatakowani z prawej swej flanki, nie byliby zdołali wytrzymać tego zagrożenia, a ich odwrót w ogniu armatnim byłby spowodował tam dla nich niemal pełną katastrofę.

Tymczasem jednak 3 dywizja kawalerji, przeprowadzona przez rzeczkę Cjodel przez por. Żeleńskiego, osiągnąwszy dopiero około godziny piątej po południu okolice na północ od Adelina, tak długo wypo- czywała w lasku i zaroślach, nibyto obserwując na wszystkie stro- ny gorącą walkę odgrywającą się na prawo tuż koło niej, aż wre- -szcie cała akcja coraz bardziej zamierać poczęła. Natknąwszy się zaś nieco później na dwa szwadrony rosyjskie z kilkoma karabi- nami maszynowymi, które przeciwnik zaalarmowany ukazaniem się si- -lnej kawalerji na swej flance wysunął był pospiesznie do Wrono- wa, a które zdołały napaść ogniem sztab gen. Brudermanna, jadący znów jak zawsze nieostrożnie na samym czele przedniej straży, wyko- nała owa dywizja kawalerji uprzednio nadzwyczaj przemęczona, gdyż tylko wolnym krokiem naprzód posuwać się mogąca, tak szybko swój odwrót porą nocną poza cały austriacki front, że aż do Moniaków i Chruślanki przeszło 25 kilometrów odrazu przebyć potrafiła. W ten sposób nieszczęsna ta dywizja jazdy nie tylko, że nie ode- grała dnia tego tej niezmiernie wdzięcznej roli, która jej się sama narzucała, lecz przemęczyła znów swych ludzi i swe konie nie- potrzebną reiteradą aż na własne głębokie tyły, gdzie jeszcze na domiar złego, przejeżdżając o zmroku w największym pośpiechu przez Cjodel, wywołała ogromne zamieszanie wśród żołnierzy bry- -gady rezerwowej, przemęczonych i zdenerwowanych przebytą właśnie ciężką akcją bojową. Spowodowało to panikę i formalne walki uli- czne, zakończone niestety częściowem spalaniem i zrabowaniem tej niewinnej miejsciny. W dalszym ciągu, zjawiwszy się w nocy w okoli- cach na wschód od Urzędowa, wniosła jeszcze nieszczęsna ta jazda niebezpieczny popłoch w tabory 5-tej i 12-tej dywizji, które tele- fonowały do nas, że są zagrożone przez masy^o kozaków. Nieudolne a nawet wręcz karygodne prowadzenie tej dywizji jazdy wyrządziło zatem tak poważne szkody, że dowódzca 12 dywizji piechoty powinien był bezwzględnie oddać cały sztab tej jednostki pod sąd wojenny.

Nie uczynił tego dlatego tylko, że pod wrażeniem własnych nie-
 część popełnionych przez siebie i błędów czując się zdeprymowany
 niepowodzeniem ogólnym swej grupy, nie chciał on takim zarządze-
 niem zwać niejako całej winy na gen. Brudermanna, dzielnego ofi-
 cera a jedynie nienadającego się do dowodzenia bojowego taką wy-
 soką jednostką. W kilka dni później rozstaliśmy się z wielką ulgą
 z tą kawalerją skierowaną ostatecznie na lewy brzeg Wisły, gdzie
 wraz z nieco lepiej prowadzoną 7-mą dyw. gen. Kordy już czas
 dłuższy pozostała. Tymczasem frontalne natarcie owych trzech operu-
 jących samodzielnie kolumn pościgowych 12-tej dywizji na dobrze
 przygotowane i należycie obsadzone pozycje rosyjskie nie doprowa-
 dziło 26-go sierpnia do żadnego korzystnego rezultatu. Przeciwnie
 obie doskonałe jej linjowe brygady, rzucone w bój bez należytego
 przygotowania tegoż przez przynależną artylerję, wprowadzając odra-
 zu zbyt gęste linie piechoty w ogień gwałtowny rosyjskich armat
 i karabinów maszynowych załamały się niebawem pod wpływem hore-
 dalnych strat sięgających do pięćdziesięciu procent efektywnych
 stanów. Akcja zaś flankowa brygady rezerwowej dzielnego zresztą
 płk. Bańkowskiego, choć dobrze pomyślana i z najlepszymi chęćmi
 wykonana, z powodu gorszej jakości żołnierza utknęła już przy
 znacznie mniejszych stratach w gwałtownym ogniu zaporowym ro-
 syjskim, wobec czego przy zupełnym braku poparcia ze strony dy-
 wizji jazdy ani bohaterские wysiłki jednego jej bataljonu ani na-
 wet swej heroicznej baterji por. Moskarza, nie mogły zmienić ogól-
 nego niekorzystnego wyniku. Cała 12 dywizja łakcważąc po ła-
 twem zwycięstwie pod Annapolem tak ogień nieprzyjaciela jak i
 niezbędną pomoc własnej artylerji, otrzymała w tych walkach nad
 Chodlem dotkliwą naukę i skrwawiła się tak mocno, że musiano doko-
 nać wielkich wysiłków, by jej oddziały częściowo zupełnie zdemo-
 ralizowane, utrzymać wogóle na zajętych stanowiskach.

Wielkie usługi oddała wówczas dywizji cała jej działna artylerja,
 nieliczna wprawdzie i niedostateczna, lecz zato zdecydowana nie
 ustąpić i poświęcić się dla ratowania tak mocno nadszarpanej pie-
 choty. Tego samego jeszcze dnia nad wieczorem odwiedziłem baterje
 prowadzącego znów jak najdzielniej majora Hoffmanna, który wytrwał

na wschód od Borowa w owych daleko wysuniętych pozycjach, pomimo, iż własna piechota cofając się na Chodel pozbawiła go była wszelkiej osłony. Zatrzymał on przed swym frontem tym sposobem wszelkie dalsze następowania Rosjan. Otrzymaliśmy tam jeszcze wprowadzić wraz z dow. 23 brygady gen. Lilienhofem kilkanaście pożegnalnych szrapneli rosyjskich, skierowanych na nas podczas zwiedzania najbardziej eksponowanych pozycji za gorzelnią i pałacykiem w Fryszercie na zachód od Borowa, które kazałem potem opuścić, uważając je zbyt ryzykowne, lecz wygląd dzielnych kanonierów uwijających się spokojnie w blaskach szrapneli rosyjskich pękających dziwnie cicho a świecących zarazem silnie przy zapadającym już zmroku i postawa tych żołnierzy pełnych zapału oraz świadomych swego obowiązku, wywarł na nas wszystkich prawdziwie pokrzepiające wrażenie. Wracając wieczorem przez Borów wstąpiłem na stację opatrunkową artylerji, aby dowiedzieć się o rannych, których na szczęście było jeszcze stosunkowo niezbyt wielu. Por. Moskarz opatrzony już prowizorycznie leżąc na chłopskim wozie, który miał go przewieźć do szpitala, mimo silnego bólu opowiadał mi jeszcze z zapałem z dumą o tem, jak obsługa jego czterech armatek strzelała bezustannie ze spokojem i najwyższą precyzją, chociaż wciąż była rażoną ogniem kilkadziesiąt dział rosyjskich i jak dopiero zasypiana kulami gęsto nacierającej piechoty ustąpiła wreszcie, uprowadzając jednak szczęśliwie wszystkie swoje armaty. Ubolewał on tylko ogromnie nad niepojawieniem się w tym czasie austriackiej kawalerji, która tak ogromną rolę odegrać mogła. Dzielny ten oficer otrzymał na mój wniosek wkrótce krzyż wojskowy, lecz zasłużył właściwie na wyższe daleko odznaczenie za swe samodzielne i nadzwyczaj ryzykowne wystąpienie, którem uratował resztę brygady rezerwowej i stworzył warunki do wielkiego zwycięstwa kawalerji, udaremnionego jedynie przez zgubny wpływ niefortunnego płk. Dragoniego na swego dowódcę. Stwierdzić jednak należy, że wszyscy nieomal wyżsi dowódcy jazdy w wojsku austro-węgierskiem, z małemi jedynie wyjątkami, do których zaliczyć muszę przede wszystkim gen. Zieglera, dowódcę 2 dywizji kawalerji, a może jeszcze częściowo generałów Korde i Berndta,

nie byli zupełnie przygotowanymi do tego trudnego rodzaju dowodzenia i choć okazywali odwagę, nieraz nawet przesadną, oraz doskonałe wiadomości techniczno-hippiczne, żadnego nie posiadali wyobrażenia o nowożytnym taktycznym prowadzeniu i odpowiednim użyciu swej broni. Przytem również i szkolenie jazdy było zbyt zacofanem, uzbrojenie i wyposażenie w bronie pomocnicze niewystarczającym, a nawet i umundurowanie, zdaleka bardzo widoczne, zupełnie nieodpowiedniem dla wszelkiej akcji bojowej. Więc też w rezultacie, ta pod względem doboru ludzi i koni pierwszorzędna jazda, która powinna była szczególnie w okresie początkowym wojny ruchomej odegrać wybitną rolę, zawiodła w zupełności, choć niejednokrotnie okoliczności dawały jej nawet szanse dużych powodzeń. Pewną kompensatę tworzyło jedynie to, że również i ogromne masy rosyjskiej kawalerji nie potrafiły na skutek złego dowodzenia osiągnąć, z małemi bardzo wyjątkami, większych sukcesów ani w Galicji ani temniej na froncie przeciwniemieckim i to pomimo swego gruntowniejszego przygotowania wojennego, szczególnie w służbie polowej, mimo całkiem odpiwiedniego umundurowania i lepszego wyposażenia technicznego a nawet wysokiej swej sprawności bojowej i tak bardzo przeważającej liczebności. To też jedyny realny sukces dwóch dywizji rosyjskiej kawalerji gen. Kesslera pod Jarosławicami i Olejowem, przeciwko jednej tylko części dywizji kawalerji gen. Zaremby, nacierającej dzielnie lecz również bardzo nieudolnie prowadzonej wyrównanym znów został dnia 22/8 pod Turynką i Kamionką strumikową kompletnem zniszczeniem całej rosyjskiej dywizji kawalerji przez równo liczebnie lecz lepeiej prowadzone siły gen. Zieglera, poczem jazda rosyjska unikała już dalszych spotkań na tym froncie.

Nastrój dowództwa 12 dywizji piechoty, do którego dotarłem dopiero najejutrz, gdyż nocowało ono zdala od pola walki aż w Ludwinowie nie był oczywiście różowym. Rosjanie odparli byli w zupełności wszystkie ataki i to przeważnie za pomocą działania tylko artylerji i karabinów maszynowych oraz zatrzymali wszystkie swe obronne pozycje. Więc chociaż siedzieli narazie zupełnie biernie w swoich rowach i nie przeszkadzali wycofaniu się austrijackich oddziałów

na lepiej zakryte wzgórza, nie mogło być mowy przez czas jakiś o ponawianiu akcji zaczepnej, gdyż straty nacierających pułków, aczkolwiek trochę przesadzone pod pierwszym wrażeniem, były jednak tak poważne, że tylko silne okopanie się wszystkich oddziałów tej samej jeszcze nocy i odpowiednie ugrupowanie całej artylerji mogło zapewnić utrzymanie się przynajmniej w już osiągniętym terenie. Odnośne zarządzenia należało przytem wydać jaknajspieszniej, aby nie były spóźnionemi. Zaraz więc po moim przyjeździe do Ratoszyna wywarłem nacisk, by uskuteczniło to natychmiast, poczem spędziliśmy resztą wieczoru w bardzo smętnem usposobieniu, przy mglistem oświetleniu kilku przygodnych świeczek posilając się ofiarowaną nam przez dzierżawcę majątku gościnnie herbatą i skromną przekąską, nim się sztab cały nie przeniósł na noc do bardziej osłoniętego Ludwinowa. Oczywiście, że rozmowa toczyła się szczególnie na temat niepowodzeń dnia tego, przyczem większość oficerów, przypisywała całą winę lekkomyślnie wydanemu rozkazowi dowództwa korpusu, polecającemu ścigać energicznie pobitego nieprzyjaciela. Było w tem istotnie nieco prawdy, gdyż właśnie skutkiem tego rozkazu utworzono owe trzy samodzielne kolumny brygadowe i rzucono je w natarciu zbyt gwałtownie na nieprzyjaciela który nie uciekał bynajmniej, lecz cofnął się ku swym okopom i był już odpowiednio w nich przygotowanym do obrony. A ponieważ nie dozwolono piechocie odczekać należytego działania przydzielonej do niej artylerji, dostała się ona niebawem w morderczy ogień armatni i maszynowy, który ją musiał z konieczności zdesiatkować. Jednakowoż jak stwierdziłem już tam w Racoszynie odrazu bezwarunkowo głównego powodu zak ciężkich strat szukać należało przede wszystkim w przyzwyczajeniach wyniesionych z ćwiczeń czasu pokojowego, opartych częściowo na zacofanych przepisach austriackich regulaminów taktycznych. Przyzwyczajono się bowiem formować zbyt gęste linje tyralierskie, napierano podciągniętymi nadto blisko i masowo występującemi rezerwami, nie wykazywano dostatecznie terenu, a szczególnie nie pozostawiano dość czasu ani na rozwinięcie własnego ognia karabinowego ani na

współdziałanie towarzyszącej artylerji. Piechota austriacka w pierwszej fazie wojny bezsprzecznie bardzo dzielna, szła do ataku jak w roku 1866-tych z wielką brawurą, lecz jakgdyby^W jakimś zaślepieniu, pchała się w gestych formacjach w morderczy ogień przeciwnika, przeważnie dobrze ukrytego w rowach strzeleckich i dlatego nieliczne swe sukcesy ołkawała krwią bardzo obficie zbytecznie przelewana.

Wszystko to było wynikiem zupełnie świadomego zlekceważenia sobie doświadczeń wojny rosyjsko-japońskiej, przez zrozumiwały i biurokratyczny sztab generalny austriacki, który przeciwstawiał się ze specjalnem jakby uprzedzeniem dobrze uzasadnionym i rozsądnym przestrogom własnego obserwatora tej wojny, płk. Gsicsenicza, którego sprawozdanie i uwagi nawet niejednokrotnie wyśmiewano.

Trzeba jednak podnieść, że nawet kierownicze sfery wojskowe francuskie trwały w początkach tej wojny również jeszcze w zasadzie bezwzględnej ofenzywy, słusznej zresztą jako teoria strategiczna, lecz niebezpiecznej w stereotypowem przenoszeniu jej na każdorazową taktyczną sytuację.

Szalone pierwsze straty armji francuskich, jak również zresztą i niemieckich, były więc wynikiem błędnie stosowanej teorii podobnie jak owe krwawe a tak zbyteczne ofiary austriackich pułków liniowych. Skutki jednakże tych karygodnych błędów taktycznych okazały się fatalniejszymi dla armji austro-węgierskiej, słabszej organizacyjnie i liczebnie od niemieckiej i francuskiej, bo pochłonęły zaraz na początku większą część najlepszego kadrowego materiału a w tem szczególnie duży procent zawodowych oficerów, podcinając przez to odrazu dalszą sprawność i wartość taktyczną oddziałów. Zasadnicze te wady przygotowania bojowego przez sztab generalny austriacki potęgowała jeszcze nieudolność większej części sztabów dywizyjnych, rezygnujących zwykle z dowodzenia w terenie, a posługujących się w swem biurokrytyzmie prawie wyłącznie drugimi pisemnymi rozkazami operacyjnymi oraz wygodnem ale zawodzącem bardzo często rozkazodawstwem telefonicznem.

Natomiast wyszkolenie taktyczne Rosjan opierało się na ich własnych gorzkich doświadczeniach z wojny mandżurskiej i liczyło się znacznie więcej z wydatnią siłą nowoczesnego ognia, a przytem

zgodnie z biernym usposobieniem ich żołnierzy, uwzględniało w wysokim stopniu wartość ochronną terenu, którą podnoszono umiejętnie doskonałym stosowaniem umocnień polowych. Dlatego zaakcentowała się odrazu bardzo znaczna defenzywna odporność wojsk rosyjskich wobec frontalnych masowych uderzeń austriackich a natomiast zupełnie niemal bierność ich taktycznych dowództw oraz ociężałość i brak elastyczności samych oddziałów, posiadających zbyt mało i niedostatecznie wykształconych oficerów. Umożliwiało to łatwe powodzenie przeciwko nim nawet najbardziej ryzykownym flankowym natarciom, któremi wojsko niemieckie było też rzeczywiście Rosjan tak dotkliwie w każdym niemal spotkaniu. I faktycznie podczas gdy wszystkie prawie starcia na froncie austro-rosyjskim nawet w wypadkach realnych sukcesów austriackich, jak na przykład pod Kraśnikiem i Komarowem, zaznaczały się bardzo licznymi i ciężkimi stratami zwycięzców, to jednocześnie na froncie niemiecko-rosyjskim odnosił właśnie Hindenburg swe pierwsze całkowite zwycięstwa, okalał i niszczył zupełnie całą armję Samsonowa pod Szczytnem oraz wypierał i rozbił wkrótce potem również armję Rennenkampfa, nie ponosząc przy tem w swych strategicznie i taktycznie, doskonale prowadzonych korpusach bynajmniej jakichś strat przekraczających normalną miarę.

Podczas dyskusji naszej w Ratoszynie mogłem wskazać prócz tego już i na walki własnej dywizji jako najoczywistsze potwierdzenie słuszności tych zapatrywań.

Pod Annopolem odniesiono łatwo i prawie bez strat zwycięstwo nad swoma dobrze w terenie zakopanemi i umocnionemi brygadami strzeleckimi dla tego tylko, że udało mi się powstrzymać piechotę od masowego frontalnego natarcia, zanim nie wykonano obejścia z lewej/zachodniej/ flenki i nie ukończono należycie artyleryjskiego przygotowania dla wsparcia tego głównego ataku. Zato w fatalnym dniu 26-go w czasie tego rzekomego "pościgu", gdy dowódcy brygad otrzymali trochę za dużo samodzielności a wszelką akcję artylerji jakgdyby umyślnie zlekceważyli, nie czekając na jej rozwinięcie, - przyczem nie zadano sobie nawet trudu dokładnego zrekonoskowa-

nia rosyjskich pozycji, - to nieszczęsna piechota poszła swym zwykłym trybem do bohaterskiego ataku w zbyt zwartych i zagęstych szeregach, na skutek czego pozostawiła też niespełna w godzinie nieomal połowę swych dzielnych żołnierzy na krwawym pobojuwisku. I gdyby nie ofiarnie wytrwanie artylerji, zakrywającej z największym poświęceniem cofanie się rozbitych oddziałów, byłaby cała 12 dywizja musiała zapewne rozpocząć już tego dnia wieczorem ogólny swój odwrót.

W nocy jednakże pomimo uprzedzeń i niechęci, okopały się nareszcie przynajmniej jej przednie oddziały na pogórkach zamykających od południa dolinę rzeczki Chodla naprzeciwko wzgórz obsadzonych silnie przez Rosjan. Artylerja pozostała na razie w odcinkach brygad, zgrupowana pojedynczemi dywizjonami, tak jak to wypadło z marszu, ja zaś przed świtem jeszcze wyruszyłem ze swym sztabem z noclegu w Radlinie na linję tych naszych przednich stanowisk. Obserwując całą okolicę z małego lasku położonego na dominującym pogórku koło wsi Gondy, stwierdziliśmy, że brygada gen. Zaleskiego, chociaż najbardziej dnia poprzedniego zmaltretowana, może jednak na przewyższającym pozycje rosyjskie wzgórz między Kępą a Borzechowem stworzyć przy wyzyskaniu przeszkody rzeczki Chodla i po jakim takim rozbudowaniu swych zasłon dość silnie ugniotanie, by zamknąć zupełnie główną komunikację z bełżyc przez Borzechów do Urzędowa. Dołączając zaś do niej jeszcze jeden pułk 23 brygady gen. Lilienhofa, zajmujący lasek na południe od folwarku Borowa, z którego krańca obserwowaliśmy właśnie cały teren, uzyskiwano również i należyte zakrycie całej artylerji i dość obszerną przestrzeń, by zapewnić swobodę ruchów dla całości. Drugi pułk tej 23-ciej brygady, najsilniejszy jeszcze podówczas, 20-ty pułk krakowski, będący pod dowództwem pułk. Puchalskiego, pozostał odrazu w odwodzie, podczas gdy brygada marszowa, obsadziwszy wzgórze na południe od Chodla, mogła przesunąć swój odwód nawet trochę dalej, aż do Godowa.

Ustaliliśmy też zaraz punkta obserwacyjne i ich połączenia ze sztabem a potem zaproponowałem nieco odpowiedniejsze przegrupowanie artylerji i jej dowództw, tak, że cały odcinek był już zorganizowany

ogólnym rozkazem dywizyjnym, zanim doszły do nas w południe 27-go sierpnia dalsze zarządzenia korpusne.

Z zarządzeń tych przekonałiśmy się niebawem, że i u naszych sąsiadów został tak zwany "pościg" zatrzymanym przez jakoby świeżo nadeszłe z Lublina znaczne rosyjskie odwody armii gen. Ewerta, a dowiedzieli zarazem, że wszystkie dywizje I. korpusu mają się okopać wzdłuż rzeczki Chodla oraz w przedłużeniu tej linii na wschód po przez Sobieszczany aż do dolnej Bystrzycy. Rozkaz ten przydzielał 12 dywizji odcinek od Chodla w poprzek gościńca aż po Borzechów włącznie i polecał wydzielać rezerwy i przygotowywać się do ponownego natarcia z chwilą gdy nadejdą przez Wisłę poniżej Zawichostu przywołane z zachodu bataliony grupy gen. Kummera, którą w tej dyspozycji, niby dla niepoznaki, ochrzczono dość dziwnym mianem sławnej później "Uzelkute". Tymczasem mieliśmy "wiązać" energicznie Rosjan przed naszym frontem, nie dopuszczając do ich przegrupowania, a zarazem uzupełniać straty poniesione w ludziach, materiale i amunicji, by odzyskać corychle jaknajlepsze pogotowie operacyjne. 3-cią dywizję kawalerii niepotrzebną już za frontem, skierowywał ten rozkaz na razie w okolice Opola z przeznaczeniem przeczucenia ewentualnego na lewy /zachodni/ brzeg Wisły, a to z chwilą gdy grupa gen. Kummera zdoła zluzować ją nad dolnym biegiem rzeczki Chodla.

Dyspozycja ta odpowiadała w zupełności wydanym już poprzednio przez dywizję rozkazom, nie mieliśmy przeto 27 sierpnia ani w dniach następnych żadnych zmian do przeprowadzenia. Natomiast przeciwnik wzmocniony widocznie ciężką artylerią, rozpoczął już około południa ostrzeliwać gwałtownie nasze rowy strzeleckie, szczególnie po obu stronach gościńca z Bełżyc do Urzędowa, gdzie niedostatecznie jeszcze okopana brygada gen. Zaleskiego poczęła usilnie domagać się pomocy. Wszelkie jednak powstrzymanie tego ognia za pomocą naszej polowej artylerji było w gruncie rzeczy iluzorycznym, gdyż nie posiadaliśmy należytej obserwacji, ani samolotów mogących ogniem tym kierować, przedewszystkiem zaś nie mieliśmy możliwości osiągnięcia austriackimi polówkami, niosącymi na najwyżej ośm tysięcy metrów i haubicami niedonoszącymi nawet siedmiu tysięcy, owych ukrytych daleko-

-nośnych armat rosyjskich, które ustawione w okolicy ra południe od Bełżyc, raziły nas zupełnie bezkarnie z odległości conajmniej dziwięciu kilometrów swymi 6-cio całowemi pociskami.

Nie chcąc jednakże pozostawiać naszej tak silnie ostrzeliwanej piechoty bez widocznej pomocy, zaproponowałem otwarcie ognia precyzyjnego na dobrze widoczne rosyjskie okopy. Przy wykonywaniu tego zastosowałem system, który okazał się tak wówczas jak i później bardzo skutecznym, a mianowicie kazałem ostrzeliwać okopy i rowy strzeleckie tylko dziewięciocentymetrowemi granatami haubic polowych i to ogniem dość wolnym ale przezyjnie i systematycznie rozłożonym, podczas gdy odpowiednio ustawione baterje polowe miały za zadanie zasypywać te rowy krótkimi napadami skośnego ognia nisko pękających szrapneli jedynie w chwilach, gdy wybuchy ciężkich granatów powodowały w ostrzeliwanych okopach pewien ruch lub czasowe wycofywanie się z nich przeciwnika.

Mając jednak bardzo niewiele amunicji musiałem przeprowadzać to ostrzeliwanie niezmiernie oszczędnie, mniej więcej w stosunku jednego strzału naszego na dziesięć rosyjskich, skutkiem czego nie dawało ono naturalnie zbyt wielkiego efektu moralnego.

Żato efekt praktyczny tych przezyjnych strzałów był zupełnie po-kaźnym i umożliwił istotnie własnej piechocie dalsze wytrwanie w ogniu huraganowym nieprzyjaciela.

Ustaliwszy moje obserwatorjum niedaleko stanowiska dowódcy haubic ppłk. Schóffera, mogłem regulować to ostrzeliwanie prawie automatycznie, gdyż granaty jego dwóch baterji oznaczały zarazem i strefę działania obu grup armat polowych wyczekującej odpowiedniej chwili dla swych ogniowych napadów. Oprócz tego byłem też połączony z najbliższą baterją polową, oznaczoną w mym rozkazie jako "dyrekcyjna", tak, że mogłem każdej chwili spowodować koncentrację ognia wszystkich dział całej dywizji przez bardzo proste wskazanie im miejsca i kierunku za pomocą wysoko pękających bateryjnych lub półbateryjnych salw tejże dyrekcyjnej baterji. Tego pierwszego dnia naszej walki pozycyjnej, gdy zwiększony ruch dał się zaobserwować we wiosce Skrzyńcu a potem

znów w okolicach wsi Egersdorfu, rzucone tam "dyrekcyjna" salwa wystarczyła też zupełnie, by po paru już minutach kilkadziesiąt pocisków wylatujących ze wszystkich stron dywizyjnego odcinka, zasypało wskazany cel potokiem ognia i żelaza. Chociaż więc stosując ciągle wielką oszczędność amunicji zaprowadziłem i przy podobnym ostrzeliwaniu ograniczenie ognia takiego do najwyżej trzech pocisków na działo, to jednak przy szybkim strzelaniu dawało to skutek wcale okazały.-

Tegoż 27 sierpnia zauważyliśmy po południu wysoko w obłokach świecący długi przedmiot w kształcie cygara, szybujący dość żwawo od wschodu ku zachodowi. Był to Zeppelin niemiecki, wracający wówczas ze swego drugiego już lotu podobno bardzo doniosłego pod względem strategicznym. Przed wieczorem ukazał się znów nad nami pierwszy rosyjski samolot typu Fahrmana, który jednak zawrócił wkrótce ku północy, mimo, iż ogień karabinowy, którym ostrzeliwaliśmy go w pośpiechu, okazał się zupełnie bezskutecznym.

Austryjskich samolotów nie widzieliśmy jednakże wcale w czasie całej tej akcji pod Lublinem, gdyż były one wówczas wyłącznie zajęte wywiadem w kierunku najsilniej grożącego niebezpieczeństwa, to jest ku wschodniej i północno wschodniej granicy Małopolski.

W pewnej chwili gdy rosyjski ogień huraganowy przerwał nam wszelkie połączenie telefoniczne z prawostronną brygadą gen. Zaleskiego a od wsi Borowa dochodzić nas począł grzechot karabinów ręcznych i maszynowych, dowódca dywizji, który od pewnego czasu znajdował się na moim punkcie obserwacyjnym zaczął się mocno denerwować i zażądał odemnie dostarczenia mu dwóch oficerów, którzyby raz jeszcze ustnie powtórzyli dowódczom brygad rozkaz bezwzględnego wytrwania na zajętych pozycjach a zarazem i ciągłego dalszego wzmocnienia swych schronów i okopów. Miałem około siebie jedynie ppor. Stanisława Żeleńskiego i ochotnika Aleksandra Skrzyńskiego, ich więc obu musiałem z rozkazami tymi powysyłać.

Na prawo całe wzgórze zajmowane przez brygadę gen. Zaleskiego

wraz z okopaniem w ziemię stanowiskiem jego sztabu, zakrywały tumany kurzu i dymu, a błyski i grzmoty uderzających tam co chwila ciężkich pocisków rosyjskich oraz fontanny ich wybuchów tworzyły koło nich jakoby nieprzbytą śmiercionośną ścianę. Na lewo chwilowy grzechot karabinów maszynowych zdawał się już przy cichać, a rzadkie padające tam pociski nie wywierały bynajmniej wrażenia poważniejszej walki lub większego niebezpieczeństwa. Podałem więc obu odjeżdżającym oficerom węzełki do pociągnięcia nie chcąc z własnej decyzji wskazywać gorszego kierunku jedne mu lub drugiemu z tych miłych, bliskich mi i dzielnych towarzyszy. Węzełek, a zatem niebezpieczniejszą znacznie jak się zdawało drogę, wyciągnął Skrzyński, tak że gdy ruszył on wkrótce z kopyta i znikł nam z oczu w obłokach talanej ogniowej kurza wy, mimowoli odnieśliśmy wszyscy wrażenie, że wątpliwem jest, czy zdoła on dotrzeć żywy do dowództwa brygady, a tembardziej do nas powrócić. Przeciwnie co do ppor. Żeleńskiego, jadącego na lewo w prawie już zupełnie spokojną stronę, nikomu z nas nawet nie przyszło do głowy, by to miał być ostatni galop w jego życiu. Zdaje się jednak, że on sam miał jakieś dziwne przeczucie, gdyż jak później skonstatowałem, powiedział on memu staremu ordynansowi Michałowi, który mu konia podawał, jeszcze kilka słów jakby pożegnania, i wyraził przypuszczenie, że już żywym nie powróci.

Po kilku minutach uirzeliśmy raptem wszyscy poprzez wybuchy i dymy rosyjskich granatów Skrzyńskiego stojącego spokojnie na koniu pod samem wzgórzem, trochę za ledwie przechylonego, by lepiej porozumieć się z dowódcą brygady, wyglądającym ze swego schronu. Wrócił niebawem zdrów i cały, galopując z największym spokojem jakby na polowaniu, wśród pękających wciąż jeszcze pocisków i tylko tak on jak i koń jego byli mocno piaskiem i pyłem obsypani. Doniósł też nam, że brygada mimo tak silnego ognia nie poniosła dotąd zbyt ciężkich strat, gdyż większość pocisków przenosiła na szczęście ich okopy. Tymczasem z lewej strony strzelanina ustała była zupełnie, a że droga do wzgórz koło Borowa była znacznie dalsza, nie niepokoiłem się

jeszcze faktem, że por. Żeleński zaraz nie powraca. Dopiero gdy nie było go aż do zmierzchu, a zapytywania o niego przez nowo już założony telefon lewostronna brygada odpowiedziała, że ppor. Żeleński rozkaz przywiózł i przed kilkoma już godzinami odjechał z powrotem, zaczęliśmy z niepokojem za nim poszukiwać, lecz ani nasze gęste patrole, ani wysłane wreszcie aż do brzegów rzeczki Chodla poszukiwawcze oddziały nie zdołały znaleźć żadnego po nim śladu. Dopiero po kilku dniach, gdy żołnierze nasi zajęli wieś Grondy, dowiedzieli się oni od jej mieszkańców, że ppor. Żeleński, a musiał to być on z pewnością, sądząc z opisu jeźdźca oraz konia, wracając przez tę wieś już wieczorem, został z nienacka napadniętym przez patrol kozacki i uprowadzonym po krótkiej walce, w której go ciężko ranić miano. A po roku dopiero, po definitywnym zajęciu Lublina doszła nas smutna wiadomość, że jako ciężko rannego wieziono go przez Lublin, że prosił kogoś z przypadkowo spotkanych znajomych o powiadomienie rodziny, lecz już niestety w czasie dalszego transportu na stacji w Żukowie życie zakończył. Dzielny oficer, nadzwyczaj miły towarzysz i kolega a gorący patriota pracujący od lat kilku w konnym sokole krakowskim, którego był duszą oraz najgorliwszym instruktorem, zgłosił się był natychmiast po wybuchu wojny, pomimo dobiegającej już czterdziestki, na ochotnika do mego sztabu. Wskreszenie Ojczyzny, w które tak gorąco wierzył, nie było mu danem niestety dożyć. Padł zskłóty i zestrzelany przez Kozaków, ubiwszy kilku z nich przedtem z pistoletu, broniąc się zaciekle, a krwią swoją zrosił właśnie tę ziemię lubelską z którą od lat młodych rodzinne i serdeczne łączyły go węzły. Cześć i wierna pamięć należy się też tej prawdziwie patriotycznej a dzielnej żołnierskiej postaci.

Dla 12 dywizji piechoty rozpoczął się teraz kilkudniowy okres walk pozycyjnych, których później mieliśmy wszyscy doświadczyć jeszcze tak wiele. Narazie dawały nam one pewne korzystne wytchnienie, a dość wyraźny spokój u przeciwnika można było wyzyskać dla uporządkowania wszystkich oddziałów i uzupełnienia

64

strat przez wcielenie pierwszych marszowych kompanji i bataljonów. Piechocie nie brakło jeszcze wcale amunicji, której zużywano zresztą bardzo mało wobec szalonych frontalnych ataków wykonywanych na bagnety, lecz zato artylerja liczyła już po ściągnięciu amunicji ze wszystkich kolumn dywizyjnych i korpośnych nie więcej jak 100 do 120 strzałów na jedno dzieło i faktycznie zadanych prawie ostrzeliwań ryzykować nie mogła, zachowując swe pociski na wypadek bezwzględnej konieczności. Natomiast Rosjanie dowozili wódocznie z Lublina z największą łatwością amunicję armatnią, tak, że marnowali lekkomyślnie znaczne jej bardzo ilości. Nieraz wywoływaliśmy umyślnie taką zwykłe całkiem nieszkodliwą ich strzelaninę za pomocą jakichkolwiek fikcyjnych posunięć, aby przyczynić się do wyczerpania ich zapasów amunicyjnych i wyrównania w ten sposób choć trochę naszego pod tym względem ubóstwa. Kanonierzy nasi zabawiali się też nieraz wystawianiem fałszywych placówek obserwacyjnych a nawet pozycji działowych i cieszyli się niezmiernie, gdy Rosjanie skierowywali do tych celów zmyślonych na darmo swe pociski.

Trzeba jednak przyznać, że dalekonośna artylerja rosyjska strzelała bardzo nieraz precyzyjnie, czego o mały włos nie doświadczyłem na własnej skórze. Gdy wracałem bowiem konno stępa do mej kwatery w Ratoszynie przeleciał ciężki granat tuż prawie nad moją głową, i wybuchł zaraz za koniem towarzyszącego mi Skrzyńskiego, który jakimś szczęśliwym przypadkiem odesłany przezemnie w tej właśnie chwili ku domowi, ruszył był galopem odrazu z miejsca, dzięki czemu nie został rozszarpany w kawałki, lecz jedynie wraz z koniem silnie zasypany cienkim piaskiem. Zsiadłem umyślnie aby podnieść z brzegu głębokiej jamy wybuchowej gorące jeszcze stalowe strzepy tego przeznaczonego nam pocisku, rozdarte w kształcie długich węzowatych nożów malajskich, które byłyby nas pocięły w kawałki, gdyby nie teren pulchny i lekko piaszczysty, w jakim tego rodzaju ciężkie pociski, wybuchając na zbyt znacznej głębokości zazwyczaj żadnej nie czyniły szkody. Z powodu tej precyzji strzałów rosyjskich i wielkiej czujności

ich artylerji, podejrzewano ciągle, że ogniem tym kierują obserwatorzy nieprzyjacielscy ukryci we wioskach już zajętych przez wojska austrijackie połączeni podziemnym telefonem ze swymi baterjami. Nie dawałem oczywiście żadnej wiary tym podejrzaniom, bo gdyby istotnie mieli Rosjanie tak zręcznie zorganizowany system obserwacyjny, to niszczyliby za jego pomocą przede wszystkim miejsca postoju sztabów i ustalone pozycje artyleryjskie a nie marnowali amunicji na ostrzeliwanie przypadkowe tyłowego terenu i rozmaitych fikcyjnych celów, czem nie wyrządzali prawie żadnej szkody a sprawiali nawet raczej zadowolenie z bezskuteczności tego ognia. Niestety jednak plotki te znalazły tyle posłuchu w wojsku austrijackim, że doprowadziły później do istotnych pogromów każdej niemal prywatnej instalacji telefonicznej czy oświetleniowej, oraz do rozmaitych innych represji. Co do mnie mam wrażenie, że Rosjanie, czując się odrazu taktycznie słabszymi od Austriaków, jakby ze strachu wyzyskiwali swą chwilową przewagę amunicyjną, by niepokoić przeciwnika i od natarcia powstrzymać, za co zresztą ciężko odpokutowali późniejszym brakiem amunicji w chwilach najbardziej decydujących.

Swczesna ich przewaga artyleryjska irytowała mnie, jednak więc nie chcąc być jej biernym widzem i pragnąc uzyskać działa niosące chociaż trochę dalej od polowych, zaproponowałem, by przysłało nam z Krakowa ruchome baterje tej twierdzy, tak zwane wypadowe, mogące ze swych bronzowych dwunastucentymetrowych starych armat Uchatiusa strzelać do 12 kilometrów zupełnie precyzyjnie a nawet sięgać z długich piętnastek i ponad tę długość. Dowództwo I. korpusu podchwyciło skwapliwie tę myśl i wydało natychmiast rozkaz wysłania na front kilka takich baterji z obfitą amunicją, tak, że można było liczyć na ich nadejście w ciągu najbliższego tygodnia. Lecz tymczasem milczeliśmy z musu, odpowiadając tylko w wyjątkowych wypadkach na ogień Rosjan, którzy posyłali nam nermalnie po paręset pocisków dziennie, a często przekraczali i parę tysięcy strzałów na dobę.-

65

Wiadomości podawane nam przez dowództwo I. armji podkreślały w owym czasie korzystne rozwijanie się akcji IV armji austriackiej po przez Zamość, zato milczały uparczywie o losach najbardziej na okrażenie narażonej 3-ciej armji tak zwanej lwowskiej dowodzonej przez starszego gen. Brudermana.

Obiecywano nam ciągle przybycie rezerwowej armji gen. Kummerowej słynnej "Uzelknute", lecz opóźniało się ono ciągle, tak, że nie byliśmy dość pewni zakrycia lewej zewnętrznej flanki usku tecznionego wyłącznie przez 3 dywizję kawalerji w kierunku Opola. Postanowiono zatem wysunąć w tę stronę całą jazdę dywizyjną, zbędną już zupełnie od chwili walki w okopach. Interesując się specjalnie tą akcją tak doniosłą dla całości, chciałem przy tej sposobności zorientować się w terenie co do charakteru niziny ciągnącej się wzdłuż dolnego biegu rzeczki Chodla i za zgodą dowódcy dywizji wyruszyłem dnia 30 sierpnia z tym oddziałem kawalerji w stronę Opola.

Ze wzgórza na południu od tego miasteczka, 191 karty generalnej, co którego dotarliśmy po jakich trzech godzinach wolnej jazdy, widziałem doskonale przez moje ostre szkło cały lewy brzeg Wisły od samego prawie Kazimierza, wraz z uściem rzeczki Kropianki, zarysowującym się bardzo wyraźnie w okolicy Solca. Wprawem okiem artylerzysty odkryłem tam niebawem błyski sześciu czy ośmiu armat ustawionych na wzgórzu nad samą wsią i strzelających w stronę południową. Kilka większych grup jeźdźców oraz tumany kurzu podnoszące się na gościńcu prowadzącym od Solca ku północy, do znajdującego się tamże dużego lasu, kazały przypuszczać, że musi to być część rosyjskiej jazdy gen. Nowikowa, o której pojawieniu się po tamtej stronie rzeki wiedzieliśmy już oddawna. Bateria strzelała bardzo gęsto, a śledząc za kierunkiem w którym padały jej szrapnele, rozpoznałem, że zasypują one salwami białych obłoczków jakieś długie czarne linie tyralierskie, cofające się za każdą serją pocisków szybkim biegiem ku południowi wzdłuż Wisły. Nie było mi trudnem odgadnąć, że są to biedne bataljony landsturmowe i etapowe owej słynnej grupy gen. Kumme

-ra, które w moich oczach artylerja rosyjska przepędzała nadzwyczaj łatwo i skutecznie samym tylko ogniem armatnim. Po każdej rosyjskiej salwie zrywali się oni, zresztą dość regularnie, przebywali biegiem jakich dwieście do trzysta kroków ku tyłowi i kładli się ponownie na ziemię, wypoczywając zapewne aż do następnej salwy, po której powtarzał się znowu ten sam proceder. Dopiero nad brzegiem rzeczki Kamiennej, gdy szrapnele rosyjskie widocznie dalej już sięgać nie mogły, zatrzymały się wreszcie te linje tyralierskie i poczęły się okopywać, a ja przerwawszy mą tak ciekawą obserwację zawróciłem ku Opolu. Później opowiadali nam jeńcy że Rosjanie przezwali byli tych niezbyt dzielnych i źle zorganizowanych żołnierzy armji gen. Kummera "szpakami", ponieważ nosili bardzo ciemne stare mundury z granatowego przedwojennego sukna, a przytem po każdym wystrzale, według ich określenia, "rozlatywali się podobnie jak szpaki".

I ta to właśnie grupa najgorszych austriackich wojsk miała wkraczając do lewobrzeżnej części Królestwa, opuszczonej zresztą przeważnie przez Rosjan, wzbudzić zaufanie do potęgi austro-węgierskiej i wywołać entuzjastyczne powstanie ludności polskiej a wreszcie stworzyć jeszcze dla niego i jakieś ewentualne kadry wojskowe. Oczywiście, że nędznym swym wyglądem i tchórzliwym zachowaniem się zdwoiły te oddziały jedynie nieufność i lekceważenie dla monarchji habsburskiej, a przytem zraziły jeszcze do reszty ludność przez bezwzględne rekwizycje, do których były zmuszone już z racji swego gorszego wyposażenia etapowego i taborowego. Manifest zaś, który miał im pomóc w tem zadaniu, zredagowany w górnolotnym stylu i obiecujący Polakom niby to bardzo wiele, tak był mdły i w rzeczy samej konkretnie nic nie mówiący, że nie zadowolili naturalnie nikogo w Królestwie ani w Małopolsce, nie mówiąc już o jakiegokolwiek możliwości wywołania przezeń zbrojnego odruchu.

Fantastyczne plany tego rodzaju błakające się coprawda w umysłach nielicznych tylko jednostek oddziału wywiadowczego austriackiego sztabu generalnego, powstały były jednak głównie pod wpływem

zapewnień polskich polityków lewicowych, którzy prawdopodobnie w zrewolucjon^{zo}owanie Królestwa sami nie wierzyli, ale uważali je za pożyteczny chwilowo dla siebie bluff polityczny. Tak samo jednak i austriackie czynniki wojskowe nie liczyły się ani przez chwilę z tem, aby miano kiedykolwiek dotrzymywać obietnic dawanych przez nich w zamian owym polskim politykom. Jak dalece jednak miarodajne czynniki tę kwestję bagatelizowały, dowodzi fakt, że przeznaczono do takiego przedsięwzięcia zupełnie trzeciorzędą pod każdym względem grupę gen. Kummera, a przez cały czas jej pobytu na terenie Kongresówki nie narzekano zresztą bynajmniej na bardzo wstrzemięzliwe stanowisko, jakie ludność wobec niej zajmowała. Dopiero później starano się winę niepowodzeń własnych uzasadnić nieudaniem się tego powstania "polskiego" na którym rzekomo poważne opierano rachuby. Również i sztab tej grupy z którym miałem bliższą styczność w czasie, gdy przydzielona do 12 dywizji ciągną swą tendencją do ucieczki wielokrotnie, psuła wszelkie ofenzywne zamiary, nie skarżył się jeszcze wówczas na nieżyczliwość lub niełajność ludności i owego powstania wcale się na serio nie spodziewał a nawet twierdził, że mogłoby ono bardzo utrudnić etapowe urządzenia i wywołać chaos, który byłby później niełatwym do opanowania.

Co do gen. Conrada przyznaje on sam w swych pamiętnikach, że od pierwszych dni sierpnia 1914 roku był przeciwnikiem wszelkiego angażowania się Austrii w sprawę polską, że żadnych zapewnień ani obietnic nie czynił i czynić nie chciał, że do formowania legionów i wywołania przez nie powstania odnosił się jaknajscyptyczniej, a tylko pod naciskiem sfer politycznych zgodził się być na fakt wówczas zresztą już dokonany, wtargnięcia legionowej kadrówki do Królestwa i werbowania tam przez nią ochotników. Na zarządcę tych okupowanych obszarów przygotowywał on sobie natomiast już zawczasu bardzo bliskiego swego znajomego gen. Colarda, znanego z bezwzględnej austriackiej służbistości, a pragnąc kraj ten ująć w jaknajsilniejszą wojskową administrację, zgodził się jedynie z trudem i bardzo niechętnie na dodanie

temuż wielkorządcy wojskowemu, cywilnego doradcy Polaka, upatrzonego w osobie byłego namiestnika Bobrzyńskiego.

Zapatrywania te gen. Conrada charakteryzuje może najlepiej jego własne sprawozdanie z narady u Ministra Spraw Zagranicznych odbytej w tej sprawie jeszcze w dniu 12 sierpnia, a więc przed wyjazdem austriackiego naczelnego Dowództwa do Przemyśla. Na pytanie jakie zająć stanowisko wobec Polski a również i Ukrainy, odpowiada szef sztabu krótko "zaczekajcie z tem aż Polskę zdobędziemy". W dalszym ciągu skarży się, że w chwili tak doniosłej dla egzystencji całej monarchji ma się już zaczynać przetarg o polskie obszary i zwraca uwagę, że "jemu sprawa podziału zajętych obszarów polskich jest zupełnie obojętną, lecz powinna być przecież przedewszystkiem ułożoną z Niemcami, a wykonaną może być wówczas dopiero, gdy się stamtąd wyrzuci Moskali, którzy tam przecież siedzą jeszcze". Nie chce wdawać się w żadne uznawanie polskich praw do samodzielności państwowej, żadnych obietnic dawać nie pozwala, a w sprawie tworzenia polskich legionów oświadcza, że w takim razie należy, myśląc logicznie, tworzyć również i ukraińskie. W kilka dni później, w czasie podróży do Przemyśla, rozmawiając w swym wagonie z następcą tronu, późniejszym cesarzem Karolem, nie może na jego pytanie, co należy zrobić z Polską, gen. Conrad nic innego sprecyzować, jak, że Polska jest istotnie bardzo bogatym i zdolnym krajem do rozwoju... i że należy przedewszystkiem dążyć do tego aby, "oddzielić Słowian wschodnich od ich zachodnich europejskich współbraci i w ten sposób utrzymać tych ostatnich łatwiej w obrębie swych wpływów" czyli, że nie należy oczywiście odbudowywać Polski, ale podzielić ją ponownie już tylko pomiędzy Niemcy i Austrię, aby wyzyskać dla siebie należycie przyrodzone bogactwa tej ziemi.

W każdym więc jego powiedzeniu brzmi nuta szczerej niechęci a dążenia odśrodkowe Polaków budzą z natury rzeczy u tego zaciekłego centralisty i fanatycznego austriackiego patrioty taki sam opór, jak dążenia Węgrów do dalszego rozwinięcia separatyzmu, o których również zwykł był wyrażać się jaknajostrzej i przeciwstawiać się im z całą bezwzględnością.

Mimo jednak tak wyraźnie negatywnego stanowiska względem sprawy polskiej, po nieudanych próbach ofenzywnej akcji, wierzyć zaczyna gen. Conrad - czy też tylko udaje dla pokrycia wszelkich własnych błędów organizacyjnych i taktycznych, wiarę w ów bajkę zmyśloną przez memoriał płk. Götlichera, szefa sztabu gen. Kummera, iż akcja tej grupy nie mogła się powieść, gdyż "polska pomoc zawiodła". Będąc w połowie września w dowództwie I. armji na kwaterze w Okocimie u br. Gótza miałem właśnie w ręku ten memoriał pełen perfidji i fałszu, w którym płk. Götlicher, jako jeden z głównych winowajców niepowodzeń grupy gen. Kummera, zwała je w zupełności na Polaków, pomawiając ich wprost o "zradę". W początkowych zaraz zdaniach czytałem tam bowiem mniej więcej dosłownie: "Wbrew wszelkim solennym zapewnieniom i naszym uzasadnionym oczekiwaniom, ludność polska na obszarze dawnego Królestwa, odnosiła się do wojsk austro-węgierskich nie tylko bez wszelkiego obiecywanego entuzjazmu, lecz przeciwnie wręcz niechętnie i wrogo, starając się o powiadomienie nieprzyjaciela o każdym naszym ruchu, oraz zdradzając nas przy każdej sposobności".

Raport ten osiągnął w sferach rządowych i wojskowych austriackich pożądany przez inicjatorów skutek, a także i u ludności niemieckiej wywołał ogólną podejrzliwość w stosunku do Polaków, a nawet do polskich oddziałów w austriackim wojsku, które mimo okazywanej przez nie, zawsze wysokiej bardzo wartości bojowej i lojalnego spełnienia obowiązku, stałe za "niepewne" poczytywano. Przytem wrogie nam sfery wojskowe sztucznie łączyły często naprawdę zdradliwe i podstępne zachowanie się części ludności ruskiej w Małopolsce z urojonemi zradami jakoby polskimi, aby wytworzyć w ten sposób szkodliwą dla Polaków legendę. Wrogie zaś od początku stanowisko gen. Conrada wobec legionów polskich odbiło się krzywdząco na ich organizacji i przetrwało cały czas ich istnienia. Pod jego to głównie wpływem traktowano nieledwie na równi z polskimi legionami sztuczne zawiązki formacji ochotniczych ukraińskich, które tworzone w przewidywaniu ich ewentualnego użycia na terenie ziem ruskich, gdyby akcja

wojenna w tym kierunku rozwinąć się miała, przyczem kontrolę nad oboma powierzono temu samemu referentowi w Naczelnym Dowództwie płk. Hranilowiczowi, jednemu z najbardziej zaufanych ludzi sfer biurokratyczno-sztabowych wiedeńskich. A chociaż legjony polskie w dalszym przebiegu wojny światowej zostały przez wysiłek samego naszego społeczeństwa, pomimo niebywałych trudności, rozbudowane aż do trzech brygad, a swem poświęceniem i mężstwem zdobyły później nawet u tak im niechętnego gen. Conrada pochlebne wojskowe uznanie, nie potrafiły one jednak zmienić jego nieżyczliwego wobec sprawy polskiej stanowiska. Pozostał on do końca wrogiem wszelkiej polityki narodowościowej w odniesieniu do wewnętrznego ustroju Monarchji, nie widział jakiegokolwiek uwzględnienia politycznych potrzeb ludności z powodu komplikacji wojskowych, jakie z tego wyniknąć mogły, a jako doktryner czysto niemiecko-austryjackiego centralizmu, przyczynił się może bezwiednie do zupełnego wypaczenia linii polityki austro-węgierskiej wobec Polski i do coraz bezwzględniejszego postępowania Naczelnej Komendy w odniesieniu do wszystkich ludów Monarchji.

Z grupą gen. Kummera nawiązałem kontakt tego samego dnia 30 sierpnia jeszcze przed wieczorem na wysokości Opoła, ale dowódca jej czołowej dywizji, generał Czapp, mój starszy kolega ze szkół wojskowych, wykształcony sztabowiec i rozsądny człowiek uprzedził mnie odrazu, że od tej masy źle wyposażonych i wojskowo mało wartościowych bataljonów pospolitego ruszenia, nie należy spodziewać się jakiegokolwiek realnej pomocy. Objąsniałem go, że dowództwo 12 dywizji częściowo już poinformowane o marnym składzie tej grupy, oczekuje od tych z górą pięćdziesięciu bataljonów już tylko chwilowego odciążenia w obsadzie pozycji, co pozwoliłoby jej samej przeprowadzić szerszą akcję zaczepną. Zorientowałem po bieżnie generała o dotychczasowych walkach, i nieco dokładniej na mapie o sytuacji i rozmieszczeniu obecnem wszystkich oddziałów oraz doradzałem mu specjalnie obsadę dość korzystnie położonych

wzgórz po drugiej stronie rzeczki Chodla, celem zapewnienia jej przeprawy, a ustalwszy jeszcze najlepszy sposób utrzymywania wspólnej łączności, ruszyłem w powrotną drogę, by 12 12 dywizję o tem wszystkim corychlej uwiadomić.

Wstąpiłem jednak po drodze jeszcze umyślnie do dowództwa 101-szej brygady landszturmowej, konsystującej od dwóch dni w Opolu, aby przekonać się naocznie o skutkach zajść, jakie tam miały miejsce w czasie paniki wywołanej cofnięciem się 3 dywizji kawalerji w dniu 26 sierpnia. Były one rzeczywiście fałalne, rynek spalony, sklepy zrabowane, mieszkania biednej ludności również częściowo rozgromione, kilku mieszczan powieszonych za rzekomą zdradę, a proboszcz miejscowy posadzony przez władze wojskowe o dawanie Rosjanom sygnałów optycznych z wieży kościelnej. To ostatnie twierdzenie, zupełnie fantastyczne, zdołałem przypadkowo szczęśliwie obalić, gdyż przyglądając się bacznie owej wieży kościelnej w chwili gdy słońce zachodziło, zauważyłem, że promienie załamujące się w małych szklanych okienkach powodowały silne i często zmieniające się odblaski, które naturalnie za sygnały poczytywać mogła jedynie chora ze strachu wyobraźnia, pragnąca koniecznie dopatrzeć się zawsze i wszędzie zdrady a to głównie dla usprawiedliwienia swego własnego niedołęstwa lub nawet tchórzostwa. Wypowiedziałem też dobitnie to zapatrywanie w sztabie brygady i odjechać mogłem przynajmniej z tem przeświadczeniem, że nieszczęśliwego proboszcza dalej o zdradę podejrzewać nie będą.

Po złożeniu mego sprawozdania w dowództwie dywizji zaproponowałem odrazu, aby po wcieleniu do pułków linjowych kompanji marszowych, które właśnie wydzielono rozwiązując całą 1-szą brygadę marszową - wzmocnione w ten sposób a ogółem i tak bardziej bitne brygady linjowe zgrupować na odcinku flankowym między Chodlem a Opolem, pozostawić zaś za to znacznie mniej wartościowym bataljonom armji gen. Kummera dobrze już rozbudowane rowy strzeleckie dotychczasowego frontu, licząc na to, że za drutami i w akcji defenzywnej można przecież będzie je jakoś zużytkować. Lecz odnośna moja propozycja została bezwzględnie odrzuconą.

przez dowództwo armji, zapewne dlatego, że wyższe władze przepisa-
-ły już użycie grupy Kummera na lewym skrzydle, zaś każdej ini-
cjatywy własnej obawiano się już wówczas tam nawet jak ognia. Do-
wódzca I. armji poczciwy gen. Dankl, chociaż prawdziwy gentleman
był bowiem przedewszystkiem małostkowym i pedantycznym biuro-
kratą i w zupełnej swej apatji unikał stale wzięcia na siebie
jakiegokolwiek odpowiedzialności. Dobrał sobie do pomocy jako sze-
fa sztabu zacnego lecz również biernego gen. Kochanowskiego, pocho-
-dzeniem raczej Bukowińczyka niż Polaka, oficera wojskowo mało
znaczącego, nie mógł nigdy zdecydować się na samodzielne wykona-
nie jakiejś dyspozycji wyższej i trzymał się wyłącznie dosłownego
brzmienia tych przysłanych mu z góry rozkazów. A choć przyznaję,
że w danym wypadku krzyżowanie się taborów naszych z grupą Kumme-
ra odbywające się poza frontem, mogło wywołać na przeciąg kilku
godzin pewne komplikacje, to jednakże znacznie większe przyszło
chyba przewycięzać trudności, w kilka dni potem, gdy skutkiem
tego musiano wesprzeć załamujące się centrum I. armji jedną z nie-
-mieckich dywizji gen. Woyrscha i przeciągać ją wraz z całym jej
toborem poza frontem aż trzech dywizji austrijackich.

Na razie uzyskaliśmy dla 12 dywizji jedynie przydzielenie do
jej rejonu jednej brygady z grupy Kummera, złożonej przeważnie z
Węgrów pod dowództwem gen. Sieglera, dzielnego i sympatycznego sta-
-rego wojaka, któremu kazano obsadzić zachodnią część dywizyjnego
odcinka. Będąc najlepiej zorientowanym w sztabie dywizji co do de-
talów całego frontu, który niemal codziennie przejeżdżałem i ob-
chodziłem, poczuwałem się do koleżeńskigo obowiązku ułatwienia
nowo przybyłemu brygadjerowi jego czynności i pomagałem mu ocho-
czo w ich wykonaniu. Pozyskałem przez to odrazu jego zaufanie,
i sam również powziąłem dużą sympatję do tego starszego już
człowi eka, trwającego w dzień jak i w nocy niezmiennie naswym
posterunku w lasku niedaleko Grondów, pośród dwóch bataljonów
swoich starych landszturmistów, wydzielonych do odwodu. A ponieważ
wyskok zajętego przez niego lasku nadawał się równocześnie naj-
lepiej jako mój własny posterunek bojowy, gdyż pokrywał najwyższy

69

punkt całego pagórka naprzeciw Grondów i Borowa, przbywałem często z nim razem i oprócz przyjemności kontaktu z tym starym doświadczonym wojskowym, miałem sposobność bezpośredniego obserwowania podwładnych mu oficerów, a szczególnie żołnierzy. Utrwalałem przez to moje przekonanie, że ten rodzaj wojska złożonego ze starszych roczników, nie nadaje się choćby nawet pod najlepszymi dowódcami do żadnej akcji zaczepnej i co najwyżej może się okazać jako tako pożytecznym w dobrze rozbudowanych i drutami kolczastymi otoczonych rowach strzeleckich.

Mimo, iż nakazana z góry akcja zaczepna musiała w tem niekorzystnym ugrupowaniu doprowadzić do zupełnie pewnego fiaska, przygotowywano się jednakże do niej poważnie i próbowano zwiększyć, o ile się dało, odwód dywizyjny przez wycofanie z frontu jaknajwiększej liczby lepszych oddziałów. Porozumiewszy się z sąsiadem, przynależnym do grupy Kummera, gen. dyw. Czappem, odaliśmy mu do obsady jeszcze odcinek pod miasteczkiem Chodlem, gdyż spokój panujący wówczas przed całym tym frontem zdawał się pozwalać na to bez żadnego ryzyka. Lewą grupę baterji polowych mjr. Hoffmanna pozostawiłem jednak za tymże odcinkiem koło wsi Godów, tak aby w razie potrzeby wspierać tam armatami tak widocznie niepewnego sąsiada, oraz aby móc ostrzeliwać stamtąd skośnym ogniem całą dolinę rzeczki Chodla aż po Skrzydłów, a również opanowywać korzystnie z flanki ewentualne drogi rosyjskiego zbliżania się od strony Osiny i Trzcina. Przewrotność ta okazała się konieczną a nawet w przyszłości wprost zbawienną, gdyż biedne landszturmowe "szpaki" z tej setnej brygady gen. Michalcića zaraz następnego dnia po objęciu nowych pozycji, to jest już 1 września, urządziły sobie w nocy fałszywy alarm a po nim gwałtowną strzelaninę, poczem drapnęły poprostu z pod Chodla, tak, że połapała je dopiero i szczęśliwie zawróciła nasza kawalerja dywizyjna pozostawiona w Godowie ku osłonie mych armat. Po owem fatalnem doświadczeniu musieliśmy zagrozić tym oddziałom, że jeśli opuszczą ponownie niepotrzebnie swoje tak bezpieczne okopy, to własna artylerja skieruje na nich bez pardonu ogień, co też tak poskutkowało, że

rozbudowawszy sobie potem lepiej swe rowy i schrony, ponosili skutkiem tego mniej ofiar i stali się wkońcu nawet dosyć pewną obsadą.

Prócz tego pozostawiła 12 dywizja przed nimi bardzo dzielny batalion strzelecki podpułkownika Biffa w wysuniętej pozycji dominującej całą okolicę na wzgórzu pod Adelinem, czem zyskała ostatecznie pewność, iż odcinek ten pozostanie dobrze zabezpieczonym.

Natomiast dalsze linje grupy Kammera, rozciągające się popad Opole i aż blisko ku Wiśle, dawały się nam co chwila jaknajprzykrzej w znaki. Rosjanie, którzy operowali tam tylko jazdą wspartą zaledwie kilku bataljonami piechoty, siedzieli bowiem zupełnie cicho dopóki znajdowała się w tej okolicy 3-cia dywizja austrijackiej kawalerji i ograniczali się przeważnie tylko do ochrony trasy kolejowej z Dęblińska do Lublina, którą ta 3 dywizja usiłowała nawet przerwać kilkakrotnie, chociaż bez rzeczywistego rezultatu. Z chwilą jednak, gdy rosyjskie podjazdy skonstatowały, że na miejsce imponującej kawalerji linjowej podeszły pod Opole te ciemno ubrane "dziady" landszturmowe, rozpoczęło się odrazu jakby na dowód lekceważenia, natarczywe działanie kozaków i dragonów rosyjskich. Co chwila więc napływać poczęły do nas od tych rycerzy zatrważające wiadomości o "silnych natarciach" i "akcjach poważnych sił rosyjskich" na Opole i okolicę, podczas, gdy w rzeczywistości, jak się sam kiedyś naocznie przekonać mogłem, powtarzało się tam jedynie to samo widowisko, które kilka dni przedtem między Solcem a rzeką Kamienną oglądałem zdaleka.

Rosyjska kawalerja niepokoiła ich bowiem przedewszystkiem swymi rozszuconymi szwadronami, ostrzeliwującemi ich niedostatecznie rozbudowane rowy strzeleckie z różnych lasków i ukryć, a nawet aż z drugiego brzegu rzeczki Chodla, w pewnych zaś odstępach czasu nakrywała znów te rowy kilkoma salwami armatniami, po których za każdym razem znaczna część owych bohaterów uciekała, w panicznym strachu nawet z zakrytych swych rowów, ścigana naturalnie tembardziej rosyjskimi pociskami. Pod wieczór, gdy ogień

armatni przycichał, wracali wprawdzie ci biedni landszturmiści do swych rowów dla otrzymania strawy, jednak wszystko to przyniosło niepotrzebne straty, ośmieślało coraz bardziej rosyjskich kawalerzystów, a własnych sąsiadów napełniało obawą, że prześwietna ta grupa wojsk Kummera, ucieknie któregoś dnia w zupełności, pozostawiając flankę i tyły 12 dywizji bez jakiegokolwiek osłony. I rzeczywiście, gdy w pierwszych dniach września taki napad ogniowy wypędził był znowu prawie całą obsadę z rowów strzeleckich z pod Opoła przygotowane do tego szwadrony rosyjskie wpadły na umieszczoną na wzgórzach artylerję i gdyby nie heroiczny opór dywizjonu armat szybkostrzelnych, byłaby cała artylerja grupy Kummera wpadła w ręce atakujących.

Wówczas zdecydowano się przyspieszyć ściąganie na prawy brzeg Wisły oddziałów niemieckiej obrony krakowej gen. Woyerschla, przyczem 12 dywizja wydelegowała znowu mnie do tego, abym niemieckich dowódców zorientował i ułatwił im zapoznanie się z pozycjami austrijackimi i z przeciwległą sytuacją rosyjską.

Podążałem 3-go września popołudniu z rzeczywistą niechęcią na to pierwsze w tej kampanji spotkanie z Niemcami. Kipiała we mnie bowiem nie tylko nienawiść Polaka do Prusaków, lecz pozatem jeszcze i osobista irytacja oraz upokorzenie, że muszę odgrywać wobec tych ludzi o których wyższości organizacyjnej i wysokich walorach bojowych byłem dobrze poinformowany, rolę przedstawiciela wojska prezentującego się w danej chwili i miejscu, tak specjalnie marnie a nawet wręcz opłakanie.

Pamiętam dobrze, że rozmyślnie w sposób najbardziej sztywny i ceremonialny przywitałem się z grupą ich sztabu, którą spotkałem około godziny 18-tej w małej wiosce Puszno Godowskie, przy gościńcu prowadzącym z Opoła do Urzędowa. Ponieważ Niemcy chcieli zorientować swych artylerzystów w terenie jeszcze przed zachodem słońca, więc postanowiłem poprowadzić sam ich oficerów artyleryjskiej landwehry, niezbyt zresztą imponująco wyglądających starszych wiekiem ludzi, podczas gdy przybyłemu ze mną z ramienia dow. korpusu kapitanowi Frankowi kazałem grupie

ich sztabowców wytłumaczyć w budynku szkolnym za pomocą map i szkiców detalja austrijackich pozycji.

Ruszyłem konno zwawym tempem,któremu ci starsi panowie niebardzo nadażyć mogli,więc wyostałem się wkrótce sam na wzgórze koło wsi Komaszycy,skąd można było dobrze objąć wzrokiem większą część bojowego odcinka.Zauważywszy jednak ruch na wzgórzach po stronie przeciwnej,zawróciłem ku podążającym za mną wolniej Niemców i zaproponowałem,aby zsiadli z koni, gdyż śledzący wszystko pilnie obserwatorzy rosyjscy mogą łatwo skierować na nich ogień swych armat.Nie mieli oni jednak na to ochoty,gdy zsiadanie i ponowne wsiadanie na konie było dla nich zapewne z powodu ich otyłości zbyt uciążliwym,woleli zatem podzielić się tylko na grupki i podjechać w ten sposób nawet jeszcze bliżej ku dolinie.Muszę za to przyznać,że gdy Rosjanie posłali im odrazu na powitanie kilka nieźle wycelowanych szrapneli,nie zdenerwowało ich to wcale,bo jechali dalej stępa wraz ze swymi ludźmi i rozmieścili się zaraz zupełnie odpowiednio oraz całkiem spokojnie w najbliższym terenie.Potem mimo dalszych strzałów, poczęli obserwować z największą flegmą ogień rosyjski,ustalać kierunek jego pocisków oraz szukać gorących jeszcze zapalników tych szrapneli,tak,że musiałem przyznać sobie w duchu,iż są oni w każdym razie tęgimi i fachowymi ludźmi,pomimo swego nieszczęólnego wyglądu.A gdyśmy się pod wieczór,po zupełnie zadawalającym omówieniu spraw służbowych,mieli już pożegnać, a ja nieco już lepiej dla nich usposobiony zaproponowałem im skromny posiłek w mojej artylerzyckiej grupie,znajdującej się w pobliżu pod Godowem,spodobało mi się jeszcze więcej swem oświadczeniem,że mając spotkanie się ze swymi oddziałami pod Wrzelowcem,muszą wracać tam natychmiast,aby na czas wszystko zadysponować i wyprowadzić baterje swoje jeszcze przed wschodem słońca niepostrzeżenie na wybrane właśnie dla nich pozycje.

I rzeczywiście dzielni ci oficerowie ustawili już przed

brzaskiem armaty swe tak doskonale nad samym brzegiem rzeczki Ciodla, że mimo, iż były one starego typu i o bardzo ograniczonej doniosłości, zdołali w ciągu jednego dnia przepędzić baterie rosyjskie poza sferę swej nośności, zakrywając je odrazu bardzo intensywnym napadem ogniowym, gdy tylko się zrana odezwały. Zaimponowali też odrazu nie tylko nieprzyjacielowi, rozzuchwalonemu poprzedniemi łatwymi powodzeniami, lecz i sąsiadom a dwa ich bataljony wystarczyły zupełnie, by ustalić silnie na wzgórzach pod Opolem front owych chwiejących się ciągle kilkunastu bataljonów austriackich landszturmistów i odeprzeć z ciężkimi stratami oddziały rosyjskie, podsuwające się nieopatrznie, jak dotychczas poprzez rzeczkę Chodel ku południowemu jej brzegowi. A byli oni przecież także ^{tylko} landswehrą przeważnie poznańską i śląską, lecz porządnie zorganizowaną w pułki i brygady, prowadzoną przez oficerów znających swe obowiązki tworzyli zatem mimo trochę starszego wyglądu, prawdziwie wyćwiczone i dzielne wojsko, a nie improwizowaną zbieraninę, jak grupa Kummera, której musieli na naszym froncie spieszyć ^{właśnie} z pomocą.

Niestety wyższe zarządzenia skierowały niebawem cały korpus tej niemieckiej landwehry gen. Woyrscha dalej ku wschodowi, poprzez Urzędów ku Bychawie, za wyjątkiem owych dwóch bataljonów pozostawionych pod Opolem. Z tego przesunięcia można było odrazu wywnioskować, że poważna bitwa tocząca się już od pewnego czasu w obrębie IV armji gen. Auffenberga oraz na prawym skrzydle stykającej się z nią na górnym Wieprzu I. armji, nie okazuje jednak tak korzystnego przebiegu jak nas o tem w ciągu ostatnich dni niezmiennie zapewniano. Byliśmy temi zarządzeniami tembardziej strapieni, że spodziewaliśmy się właśnie teraz owej od dawna wyczekiwanej chwili, w której można by zebrać całą 12 dywizję i 5 dywizję oraz uderzyć niemi wraz z dzielnymi bataljonami niemieckimi korpusu Woyrscha nareszcie na prawe /zachodnie/ skrzydło armji gen. Ewerta, aby rozbiwszy przeciwnika napierać potem z całą energią na Lublin i zapoczątkować przez to zwinięcie całego rosyjskiego frontu od strony Wisły.

Tymczasem nakazana nam obecnie defenzywa wykluczała wszelką taką akcję a skazywała znów na prawdopodobne fiasko niefortunne frontalne użycie dobrego niemieckiego żołnierza.

Brak energicznej inicjatywy ze strony dowództwa I. armji i zupełna nieumiejętność wyzyskania tej pięknej sposobności ze strony austriackiego naczelnego Dowództwa spowodowały nakazanie owym doskonałym niemieckim bataljonom bezcelowych spacerów po najgorszych drogach poza naszym frontem, zamiast użycia ich odrazu na skrajnym lewym skrzydle i wywarcia tem niechybnie silnego wstrząśnienia całego rosyjskiego ugrupowania między Wisłą a Wieprzem. W połączeniu z dużymi sukcesami odnoszonymi wówczas przez IV armję na wschód oraz przez Hindenburga pod Szczytnem, musiała bowiem akcja taka doprowadzić do realnego a może nawet decydującego ogólnego zwycięstwa.

Dzisiaj na podstawie dat obu stron walczących, można stwierdzić, że ta nasza intuicyjna ocena ówczesnej sytuacji na froncie była rzeczywiście trafną, mimo, iż nikomu z nas nie dawano od samego początku jakby rozmyślnie ani z dowództwa armji, ani temniej z naczelnego Dowództwa wręcz żadnych, tak przecież koniecznych wiadomości o ogólnem położeniu. Było to bezwzględnie błędem i okazało się wielce szkodliwym, gdyż sztaby takich wyższych jednostek jak korpusy i dywizje, ograniczone do zdawania sobie sprawy z własnego tylko odcinka, a nieinformowane z góry o tem nawet co się u najbliższych ich sąsiadów dzieć będzie, zdane na łaskę losu oraz własnych informacji i domysłów, wyrobiły w sobie z konieczności obojętność a nawet zasadniczą bierność wobec całokształtu sytuacji. Bierność ta potęgowała się jeszcze znacznie przez to, że kazano im odczekiwać codziennie przede wszystkim wyższych rozkazów, a te mieszały się wówczas, - a z czasem coraz bardziej, - we wszystkie detalia wykonawcze, jakie zasadniczo należało pozostawić wyłącznie frontowym dowódcom.

W obecnym wypadku wnioskowaliśmy z tych rozkazów, że mimo widocznej przewagi jaką zyskała IV armja gen. Auffenberga w

ciężkich walkach trwających wciąż jeszcze między górnym Wie-
-przem a Huczwią i Bugiem, nazwanych później bitwą pod Komaro-
wem, zupełna bierność całej I. armji po jej początkowych sukce-
sach pod Annopolem i Kraśnikiem, spowodowana niefortun-
nym natknięciem się na wzmocnione fortyfikacyjnie pozycje rosyjskie
stała się powodem ogólnej przegranej. Armja ta bowiem, wiążąc
swemi pełnymi dziewięcioma dywizjami tylko cztery do pięciu
dywizji przeciwnika, dozwoliła gen. Ewertowi przeciwstawić ca-
łą resztę swych sił IV armji austryjackiej i doczekać się w ten
sposób nadejścia spieszących mu z pomocą od Kowla i z nad Bugu
kolumn V armji gen. Plehwego. A chociaż gen. Auffenberg zdołał
wyprzeć w końcu jeszcze i armję Plehwego przy pomocy zadyspo-
nowanej z południa grupy arcyksięcia Józefa Ferdynanda toskań-
skiego będącej częścią III armji austryjackiej, akcja ta nie
mogła już doprowadzić do istotnego rozbicia przeciwnika i osią-
-gnęła jedynie częściowe poturbowanie pięciu jego korpusów.
Dlatego po cofnięciu się III armji lwowskiej gen. Brudermanna,
stopniałej do siedmiu już tylko dywizji, a wypartej z Mało-
polski Wschodniej i z pod Lwowa ogromną przewagą dwóch sil-
nych armji rosyjskich Iwanowa i Ruzskiego, wszystkie owoce po-
przednich zwycięstw austryjackich, zdawały się już przekreślo-
nemi.

W początkach września nie miało dowództwo 12 dywizji jednak
żadnych o tem wszystkim informacji, a tylko wzmianka o po-
ważnych zmaganiach "mogących zadecydować o losie całej kampa-
nii" jak się wyraziło Naczelne Dowództwo, wskazywała na wielką
doniosłość chwili. Wyczekiwaliśmy zatem lada chwila wzmożenia
również i akcji wszystkich innych sił a przede wszystkim
użycia dzielnego korpusu gen. Woyscha do energicznego flan-
kowego natarcia w łączności z większą częścią tego korpusu
przez Opole. Skierowanie tegoż dalej na wschód było więc wo-
bec tych nadziei wielkim dla nas zawodem, gdyż z pomocą tak
mało wartościowych oddziałów jakimi byli lanszturmiści gen.

Kummera, nie można było myśleć o jakimkolwiek poważniejszym przedsięwzięciu na flankę rosyjską.

Dowództwo I. armji, nauczone smutnem doświadczeniem, nie łudziło się też wcale pod tym względem, lecz zawiniło tembardziej ciężko tem, że nie siliło się ono nawet w swej niebywalej bierności na wytłumaczenie Naczelnemu Dowództwu niesłuszności i niebezpieczeństwa wydanych zarządzeń, ale ograniczyło się do niewolniczego i biurokratycznego wykonania obronnej koncepcji nakazanej wyższymi rozkazami, które opierały się często na informacjach zawodnych i przedstawiających błędnie istotną sytuację.

W ten sposób zakazano na całym froncie wszelkich zaczepnych poczynań i kazano "wyprostować" linię oporu wyłącznie wzdłuż lewego/południowego/ brzegu rzeczki Chodla, czem spowodowano naturalnie przedewszystkiem obniżenie ogólnego nastroju moralnego. Szczególniej w sławetnej grupie Kummera, zaczęły się znowu powtarzać lokalne "uchodzenia" tak, iż trzeba było znów ponowić energicznie groźbę obrócenia własnych armat przeciw tym bohaterom, jeśli samowolnie porzucą zechcą przydzielone im okopy.

Niemiała przygoda wydarzyła się wówczas jeszcze i Aleksandrowi Skrzyńskiemu, którego posłałem jednego popołudnia do mej artylerji pod Godowem w tym celu, by zorientował się osobiście co do chwilowego stanu stojącej pod Chodelem brygady węgierskiego landszturmu gen. Wihalcica. Gdy do późnego wieczora nie powracał zaniepokojony jego nieobecnością, a mając przytem świeżo w pamięci smutne doświadczenie ze śp. Zeleńskim, poleciłem dowódcy grupy artyleryjskiej pod Godowem, by szukać go kazał natychmiast energicznie. Dzięki temu odnalazł on go w owej brygadzie węgierskiej, gdzie został aresztowanym jako podejrzany o szpiegostwo. Pokazało się, iż gdy zjawił się tam w mundurze prostego ułana u jakiegoś nadmiarę zdenerwowanego dowódcy pułku i udzielił mu wyczerpujących ustnych informacji, stosownie do mego zlecenia, podejrzliwe Madziary zdecydowały, że

tak inteligentny człowiek noszący mundur szeregowca a posiadający wiadomości sztabowego oficera nie może być czem innym jak tylko szpiegiem. Zamknęli go więc do ciemnego lochu, obrabowawszy przedtem doszczętnie z wszystkiego co miał przy sobie i żywili szczerzy zamiar powieszenia nazajutrz tego niebezpiecznego ptaszka, którego tak szczęśliwie udało im się było przychwycić. Dzięki wczesnej mojej interwencji skończyła się ta awantura tylko na stracie zabranej gotówki oraz i na ochwaceniu wartościowego wierzchowca, którego te madziary pozostawili spoconego przez całą noc zimną bez ruchu przywiązanego poprostu do drzewa, na którym miał zawisnąć nazajutrz jego jeździec. Incydent ten przyniósł za to Skrzyńskiemu natchmiastową nominację na starszego wachmistrza, a jednocześnie został też podany do odznaczenia za waleczność okazaną już kilkakrotnie przedtem w chwilach prawdziwego niebezpieczeństwa. Lecz jakżeż łatwo mógł on przepłacić życiem krótkowzroczną i tchórzliwą zaciekłość tych nierozumiejących języka Węgrów, którzy później wieszali tak często całkiem niewinnych ludzi na podstawie najbliższych i przeważnie zupełnie bezsensownych podejrzeń.

Tymczasem wykonano, mimo mego protestu, nakazane imperatywnie przez wyższe dowództwa opróżnienie dominującego wzgórza pod Adelinem, co dało niebawem możność obserwatorom rosyjskim zajęcia tego punktu i uzyskania pełnego i wygodnego wglądu również i na tyły frontowych pozycji austriackich, szczególnie w kierunku na Radlin i Ratoszyn, gdzie mieścił się sztab 12 dywizji oraz główne siły jej odwodów. Przytem od ranka dnia 3-go września konstatowałem tak samo zresztą jak i moi obserwatorzy artyleryjscy, wzmożony ruch u Rosjan i przedewszystkiem powolne lecz konsekwentne wzmocnianie ich grup wysuniętych w okolicach Huty Trzcinieckiej i Borowa, przez bezustanny i poważny napływ pojedynczych ludzi. To też wróciwszy dnia 4-go sierpnia w południe na obiad do strabu dywizji w Ratoszynie, wyraziłem przekonanie, że Rosjanie przygotowują i to zapewne

na najbliższe już chwile, większą akcją zaczepną, której nie umieszczają poprzedzić ostrzeliwaniem sztabu, tak łatwym teraz dla nich dzięki dokładnej obserwacji z owych wzgórz pod Adelinem. Lecz poczciwy dywizjoner gen. Kestranek zaciągnął zaraz tak mnie jak i swego szefa sztabu do budynku szkolnego na oczekujący nas już tam obiad, oświadczając, że po jego zjedzeniu będzie jeszcze dość czasu na dyskusję taktyczną, którą i tak musi pozostać zupełnie jałową, gdyż najsurowszy zakaz wyższych dowództw podejmowania kontrakcji na razie wyklucza jakiegokolwiek aktywne zareagowanie z naszej strony.

Podczas obiadu, podanego w całym gronie sztabu dywizyjnego, łączącego już wówczas około 30 osób, nie mogłem się jednak oprzeć nurtującym mnie ciągle przeczuciom grożącej katastrofy i dlatego prowadziłem nadal po cichu w tej sprawie żywą dyskusję z szefem sztabu majorem Gerbertem, rozumiejącym mnie w gruncie najzupełniej. Nakłoniłem też wreszcie dywizjonera do spieszniejszego zakończenia obiadu oraz przejścia w ściślejszym już gronie na czarną kawę do jego gabinetu służbowego, gdzie mieliśmy pod ręką mapy a przede wszystkim telefon. Podczas gdy zacząłem szkicować generałowi sposób w jaki proponowałbym wystąpić agresywnie celem pokrzyżowania planów przeciwnika, a szef sztabu próbował połączyć się telefonicznie z dowództwem korpusu dla otrzymania pozwolenia na taką konieczną kontrakcję, nastąpiło właśnie to przed czym tak usilnie i bezskutecznie przestrzegałem. Z przeciągłym świstem padających nagle gęsto pocisków armatnich, z hukiem licznych wybuchów i z brzękiem tłuczonych szyb oraz łoskotem odłamywanych dachówek i cegieł lecących z dachu naszej szkoły, łącząc się poczęły odrazu przeraźliwe krzyki odzywające się wprost pod oknami dywizyjnego sztabu, przeplatane głośnem a bezładnym nawoływaniem. Podbiegłem więc do drzwi wchodzących, aby zobaczyć co się właściwie na zewnątrz domu dzieje i przekonałem się, od pierwszego spojrzenia, że sytuacja, która zaistniała była dokładnie taką, jak to od rana przewidywałem.

Gwałtowny rosyjski napad ogniowy, skierowany głównie na sztab dywizyjny w Ratoszynie, sprawił odrazu nieopisany popłoch w zakładach i taborach rozstawianych jaknajwygodniej i nieoczekujących bynajmniej jakiegokolwiek przykrych niespodzianki. Wszystko rzuciło się naraz do bezładnej ucieczki, a zaprzężo na właśnie w owej chwili kolumna sanitarna, uciekająca z dziedzińca radlińskiego dworku wpadła na grobli całkiem przypadkiem na maszerujący w przeciwną stronę tabor którejsz z frontowych jednostek. Krzyki i przekleństwa najeżdżających na siebie wzajemnie woźniców, przerażonych pękającymi tuż obok nich granatami, - chociaż te granaty nie czyniły im nawet żadnej szkody, pękając przeważnie w wodzie stawu, - nie pomogły oczywiście wcale do tego, by zczepione z sobą wozy rozplątać i przez wąski mostek przeprowadzić. Widząc zatem, że z tak błahego zajścia może wyniknąć prawdziwa katastrofa, podbiegłem po grobli ku mostkowi, trzymając w jednej ręce grubą laskę, a w drugiej dobyty na przedce pistolet. Gęstymi razami i groźbą użycia pistoletu zmusiłem wkrótce tych oszalałych ze strachu woźniców do niejakiego spokoju oraz wycofania zaklinowanych już wozów. Nadbiegł też zaraz do mnie i Skrzyński, więc poleciłem zebrać natychmiast naszych ludzi sztabowych porozmieszczanych w budynkach dworskich, kazać osiodłać konie i przeprowadzić je do mnie, sam zaś zdoławszy skierować wreszcie ów tabor pułkowy w lewo a kolumnę sanitarną w prawo poprzez wieś na zakrytą drzewami drogę, wróciłem do szkoły, aby wejść w kontakt z pozostawionym tam przed chwilą sztabem dywizyjnym. Zastałem jednak budynek szkolny zupełnie opustoszały, zastawę stołową porzuconą w nieładzie, podczas gdy okna od strony ogrodu pootwierane lub wybite, świadczyły, że część moich kolegów sztabowych tą drogą szukała zbawiennej ucieczki. Także w kancelarii sztabowej i innych pokojach służbowych świeciły pustki, parę tylko skrzynek z aktami i przyborami leżało na podłodze, a zerwane druty centrali telefonicznej świadczyły o pośpiechu z jakim się i stamtąd usuwano.

Tymczasem zastanowili Rosjanie dotychczasowe gwałtowne ostrze

liwanie szkoły i folwarku Ratoszyna niemal zupełnie, a świst pocisków przelatujących nad moją głową wskazywał mi, że artylerzyści dobrze obserwujący skutek swych strzałów, ślali ogień dalej za uciekającą ku południu grupą sztabowców oraz ich ludzom i koniom, dając mnie przez to możliwość łatwiejszego uporządkowania reszty sztabu i taborów pozostałych jeszcze na folwarku. W czasie tego podprowadził był już Skrzyński nasze konie przez zatłoczoną groblę, a ukrywszy je w zagłębieniu terenu koło kuźni dworskiej, powrócił sam, by stanąć do mojej dyspozycji. Pocziwy stary ordynans Michał był też zaraz pod ręką, a przetrwawszy przy naszym wozie stojącym koło samej szkoły całe najgwałtowniejsze ostrzeliwanie, zakładał teraz do niego moje konie zaprzęgowe. Nakazałem mu, by z rezerwowymi ludźmi dywizyjnego taboru, wyciągniętymi przez Skrzyńskiego a ostrzeliwanych tak silnie przed chwilą stajen, pozabierał przedewszystkiem ze służbowych pokoi akta i skrzynie tam pozostawione, a potem uporządkowawszy należycie ten ściślejszy tabor, ukrył go w najbliższym terenie i oczekiwał dalszych moich rozkazów lub powrotu dowództwa dywizji. Sam zaś wsiadłem na konia, by odszukać dywizyjne odwody, zdecydowany przedewszystkiem na zatrzymanie każdego wstecznego ruchu oddziałów frontowych, który wobec fatalnej ucieczki całego sztabu mógł tak wkrótce rozpocząć się samorzutnie i w tym celu postanowiłem dojechać najpierw do Ratoszyna, gdzie miały stać owe odwody, lecz droga przez wieś była tak dalece zapchana taborami, że zmusiło mnie to do wyjechania wraz z całym moim otoczeniem a więc w kilkanaście koni wprost przez folwark na zorane świeżo pole, pokazując się temsamem rosyjskiej artylerji, która zwróciła też natychmiast swój ogień od nieszczęśliwych uciekinierów na moją dość pokaźną grupę. Ruszyłem jednak odrazu galopem, przyczem jeźdźcom moim kazałem się rozprószyć, co nas rzeczywiście uratowało, gdyż mimo, iż Rosjanie strzelali doskonale skracając szybko dystanse, a liczne ich pociski pruelatywały z szumem i świstem koło naszych głów i wybuchały nawet

gęsto między naszymi końmi, szczęśliwym trafem żaden z nich nikogo wprost nie zaczepił. Po kilku minutach ostrego galopu byliśmy też już poza strefą tego ognia, nałykawszy się tylko dobrze kurzu i dymu a wraz z nami przebył również szczęśliwie tę dość niepewną drogę i dowódzca 23 brygady gen. Lilienhof, którego poniósł koń za nami wbrew jego wli.

To ogniowe powitanie mojej konnej grupy szczęściem zupełnie nieszkodliwe, uratowało przytem, jak się później okazało cały sztab dywizyjny, który mógł wytechnąć i ukryć się za wzgórzami oddzielającymi Radlin od Ludwinowa, podczas gdy Rosjanie ogień swój na mnie zesłali.

Dojechawszy do kościółka w Ratoszynie zastałem tam sztab odwodów dywizyjnych już na koniu, a kolumny 20 pułku oiechoty pułkownika Puchalskiego rozpoczynały nawet marsz odwrotowy w kierunku południowym. Oburzony do żywego, iż dano się i tu do tego stopnia nastraszyć i przepłoszyć samem tylko ostrze liwaniem, chociażby nawet najgwałtowniejszem, a pragnąc odwdzięczyć się Rosjanom za ten ich napad ogniowy z hojnym naddatkiem, zdecydowałem się niemal odruchowo na zastąpienie nieobecnego dowódcy dywizji i wydawać począłem natychmiast odpowiednie rozkazy.

Młodszy rangą pułk. Puchalski podporządkował mi się naturalnie bez najmniejszego oporu i zaraz zawrócił kolumny swego pułku skierowując je, stosownie do mego polecenia, w zagłębienie terenu ciągnące się poza całym frontem dywizyjnym od zachodu ku wschodowi. Trudniejszym było porozumienie się z gen. Lilienhofem, znacznie odemnie starszym tak wiekiem jak i rangą, a przytem w owej chwili bardzo zdenerwowanym, dopiero co przebyłem galopem wśród rosyjskich pocisków. Lecz moja energiczna i zupełnie zdecydowana postawa i krótkie oświadczenie że nie czas teraz na dysputy, gdyż muszę ratować całą dywizję i żądać zatem bezwzględnego od wszystkich posłuchu, zdecydowały go jednak do objęcia przydzielonego mu przezemnie dowództwa lewego odcinka aż po Chodel włącznie, z obowiązkiem

dopilnowania, aby ta część frontu wytrwała bezwzględnie w swych rowach a szczególnie by 100 brygada landszturmu nam zaraz nie uciekła. Z podobnym rozkazem posłałem natychmiast Skrzyńskiego i do drugiego starszego też odemnie gen. Zaleskiego do wioski Kępa, wzywając go, aby ze swą grupą utrzymał przynajmniej bezsprzecznie cały odcinek swojej brygady, a w razie możliwości wsparł mnie choć częścią swych odwodów w kontrakcji, którą zamierzam przeprowadzić z okolic Grond i Borowa. Obiecałem mu, że po wydaniu rozkazów dla tej akcji, dojadę do niego jeszcze osobiście, celem wzajemnego uzgodnienia naszej działalności.

Tymczasem korzystając z krótkiego postoju wypoczynkowego w zagłębieniu terenu na północ od Radlina, wyjaśniłem pułk. Puchalskiemu oraz zgromadzonym przy mnie jego oficerom sztabowym, mój własny plan działania, oparty na odpowiednim użyciu całego 20 pułku krakowskiej piechoty, stanowiącego chwilowo główny odwód 12-tej dywizji. Wy tłumaczyłem im, że systematyczna zbiórka rosyjskich oddziałów odbywająca się już od dwóch dni przed najsłabszą częścią dywizyjnego frontu, to jest przed środkowym odcinkiem obsadzonym przez węgierskich landszturmistów z 101-szej brygady gen. Sieglera, nasuwa uzasadnione przypuszczenie, iż w najbliższym czasie, prawdopodobnie już z braskiem dnia jutrzejszego 5-tego września, nastąpi tamże gwałtowny atak ich piechoty. Wobec tego musi być piechota ta już niewątpliwie po większej części zebrana w dolinie rzeczki Chodla, między Grondami i Borowem, a grupując się należycie do ataku, któryby nas zaskoczył, znajduje się niechybnie tak silnie zmasowaną w owej okolicy, że po krótkim nawet ostrzeliwaniu tylko jej przez artylerję, powinno flankowe natarcie naszej piechoty wydać ogromne rezultaty. Ponieważ w wąskiej dolince Chodla nie było i tak dość miejsca dla rozwinięcia większych sił, a flankowe ataki wykonane choćby nawet słabszymi siłami mogły w tych warunkach mieć jeszcze znaczniejszy rezultat, gdyby się udało przypuścić je z obu stron na to gęste zgrupowanie rosyjskie, nakazałem

-patrz szkic 2 - aby bataljon 20 pułku, podsunięty już poprzednio bardziej ku Chodłowi dla wsparcia niepewnych (homwedów, złączył się ze stojącym pod młynem na zachód od Borowa bataljonem strzelców dzielnego ppułk. Biffa i zaraz po nastaniu ciemności wykonał wspólnie z nim od zachodu pierwszy atak demonstracyjny wzdłuż rzeczki w kierunku na Borów. To natarcie miało być zarazem sygnałem dla specjalnie przezemnie dyrygowanej artylerji polowej do zasypywania całej kotliny między Borowem a Grondami silnym ogniem armatnim. Z jego zaś znowu ustaniem ruszą natychmiast pozostałe trzy bataljony 20 pułku piechoty przygotowane w laskach na wschód od Grondów, również wzdłuż rzeczki, ale znów od wschodu ku północnemu zachodowi, do energicznego ataku na odcinek Grondy - folwark Borów, podczas, gdy strzelcy wraz z II bataljonem 20 pułku piechoty ponowią równocześnie swój atak od zachodu na wieś Borów. Przykazałem jednak, aby po wykonaniu tych natarć i zasypyaniu ogniem wszystkich sił, jakie Rosjanie zdołali nagromadzić dotychczas w dolinie między folwarkiem a wsią Borowem, obie grupy nie zapędzały się nocą w żadne niebezpieczne pościgi, lecz powracały zaraz na swe wyjściowe stanowiska, i to koniecznie przed nastaniem dnia jeszcze, celem uniknięcia niepotrzebnych strat od ognia celnej artylerji rosyjskiej, która mogła dopiero z brzaskiem zorjentować się należycie i ostrzeliwać skutecznie ich.

Uważałem za konieczne wydanie takich aż nazbyt może szczegółowych rozkazów ze względu na to, że przedsięwzięcie było bardzo skomplikowanym, a przytem miało odbyć się w nocnej porze. Rozumowałem, że taka akcja wystarczy zupełnie celem przeszkodzenia Rosjanom w ich agresywnych zamiarach i pokrzyżowania planu ich ofenzywy, do której ściągali od kilku dni poważniejsze swoje rezerwy. Mimo niewielkich sił, które do tego użyć zamierzałem, mogłem osiągnąć rezultat zupełnie zadowalający, gdyż spodziewałem się, iż oddziały rosyjskie, zaskoczone w nocy z dwóch stron a przytem zasypywane pociskami naszej artylerji, stracą łatwo wśród ciemności wszelką orjen-

tację oraz spokój nerwów i dlatego dadzą się łatwo rozbić przez atakujące bataljony 12 dywizji mimo znacznie przeważającej swej liczby. Ponieważ wiedziałem, że przy takich sposobnościach wynikają nieraz pomyłki z racji różnicy zegarków lub nieodpowiednio oznaczonej godziny, umyślnie nie wymieniłem czasu dla rozpoczęcia samej akcji ani jej poszczególnych faz, lecz nakazałem jedynie kolejność ich wykonania. Ustaliwszy że akcję zacznie najprzód od zachodu całkiem pewny i energiczny dowódca bataljonu wadowickich strzelców podpułkownik Biffel, a zaraz po nim otworzy artylerja ogień armatni, którego kontynuowanie lub wstrzymanie miałem każdej chwili sam w rękę, byłem zupełnie pewnym, że po tym ogniu nastąpi dokładnie w odpowiednim momencie atak ogólny ze stron obu, działający już głównie przez kompletne zaskoczenie.

Nakazałem jeszcze wypoczynek i rozdanie dobrej kolacji mającym atakować oddziałom i wydałem pospiesznie wszelkie potrzebne zarządzenia obu grupom artylerji, przeznaczonym do wspierania tej akcji to jest baterjom haubic mającym zarzucić granatami znane nam już miejsca zbiórki rosyjskich bataljonów oraz baterjom polowym majora Hoffmanna, przeznaczonym do tego by od zachodu sięgały skośnym ogniem w dolinę rzeczki aż po folwark Borów włącznie. Po tem wszystkiem udałem się na zagrożony najmocniej środkowy odcinek do zacnego dowódcy madyarskiej brygady gen. Sieglera, aby i jego należycie o całym przedsięwzięciu poinformować, uprzedzając zarazem, że zamierzam ulokować się na czas tej akcji z nastaniem wieczoru tak jak zwykle w jego pobliżu, na wzniesieniu leśnym koło wsi Grondy. Na tem miejscu dominującem okolicę a zapewniającem równocześnie dostateczne zakrycie dla własnej obserwacji, kazałem też odrazu rozmieścić się memu sztabowi wraz z obserwatorami i założyć połączenie telefoniczne do grup bateryjnych. A że przedtem jeszcze rozesłałem w południową stronę poza front kilku podoficerów celem odszukania sztabu dywizji zaginionego od chwili ogniowego napadu na Ratoszyn, nie pozost-

77

-stawało mi więc teraz już nic innego do czynienia jak udać się do gen. Zaleskiego, któremu obiecałem porozumienie osobiste a który dotąd nie dawał jeszcze żadnego znaku życia.

Po drodze spotkałem Skrzyńskiego, który mi zaraz zaraportował o dość nieprzychylnem usposobieniu gen. Zalewskiego dla zamierzonej przezemnie akcji, co mnie zbytnio nie zdziwiło, gdyż wiedziałem, że jest on nerwowym i formalistą, a w stosunku do mnie, jako młodszego rangą może być też i nieco uprzedzonym. Postanowiłem więc przeforsować odrazu rzecz całą, chociaż znaczne uspokojenie, jakie było w międzyczasie nastąpiło na froncie, nie dawało mi już prawa do wystąpienia w sposób tak energiczny jak to uczyniłem poprzednio koło kościoła w Ratoszynie, wprost pod ogniem dział rosyjskich.

Przybywszy do kwatery gen. Zaleskiego w Kępie oświadczyłem mu zaraz wobec jego oficerów oraz Skrzyńskiego, którego umyślnie jako świadka przy sobie zatrzymałem, że po ucieczce sztabu dywizji z folwarku w Ratoszynie zmuszony byłem dla powstrzymania paniki a przez to i ogólnej klęski objąć dowództwo na całym dywizyjnym odcinku i wydać niezwłocznie rozkazy dla koniecznej kontrakcji, a teraz pozostawiam jego decyzji, czy zechce jako starszy przejąć na siebie całą ciężką za to odpowiedzialność i zatwierdzić moje zarządzenia, które nie mogą już w żadnym sposób być odwołanemi, czy też woli pozostawić mnie nadal całą odpowiedzialność za kierownictwo owej akcji i zarządzić w swoim własnym rejonie tylko jakiegokolwiek odpowiednie współdziałanie. Gen. Zaleski odmówił, jak to zresztą z wszelką pewnością przewidywałem, wzięcia odpowiedzialności za zarządzoną już przezemnie kontrakcją, zasłaniając się znany nam wszystkim kategorycznym zakazem wyższych władz wojskowych, co do wszelkich przedsięwzięć agresywnych. Oświadczył jednak, że na swoim odcinku wesprze lojalnie moje działanie przez wydanie odpowiednich zarządzeń a równocześnie będzie starał się ze swej strony powiadomić o wszystkim dowództwo dywizji, nawiązać z niem kontakt i sprowokować jego decyzję.

Ponieważ ze ~~mych~~ strony dywizji spodziewać się mogłem naj-
ostrzejszego ewentualnego sprzeciwu, nie pragnąłem bynaj-
mniej odczekiwać skutków nawiązania tej właśnie łączności i
wypiwszy tylko pospiesznie ale z wielką przyjemnością ofiaro-
waną mi szklanke gorącej herbaty, pożegnałem gen. Zaleskiego
i podążyłem o zapadającym już zmroku do moich obserwatorów
w lasu pod Grondami.

Dotarliśmy już zupełnie po ciemku do obozowiska madziarów,
którzy nas mocno już zgłodniałych uraczyli bardzo gościnnie
gorącym gulaszem i kilku szklaneczkami dobrego grogu, poczem
gawędziwszy trochę z nimi i zostawiwszy u nich nasze konie
wierzchowe, poszliśmy dalej pieszo, świecąc sobie lampką ele-
ktryczną i stanęli o dziwnie wczesnym wieczorem, zupełnie już po
ciemku na stanowisku bojowym mego sztabu. Tam zwinęliśmy
się w płaszcze i położyli jak kto mógł pod drzewami przy te-
lefonie i aparatach obserwacyjnych, aby z pokrzepionymi nieco
siłami stanąć za jakie dwie godziny do roboty. Zdrzemnąłem się
oparty o pień sosny, wśród kompletnej ciszy zalegającej cały
las, lecz niebawem obudził mnie księżyc wschodzący w pełni
nad nami. Myśl, że za chwilę rozpocznie się walka zaicjonowana
tak samodzielnie moją własną decyzją a rozstrzygająca zapewne
o utrzymaniu pozycji całego frontu, napełniała mnie też pe-
wnem wewnętrznym podnieceniem. Odnosiłem wówczas wrażenie
myśliwego, który przygotowawszy odpowiednio obławę na grube-
go zwierza, wyczekuje z bijącym sercem na swem stanowisku
rezultatu tych zabiegów, całkiem nie bacząc na niebezpieczeń-
stwo, lecz niespokojny tylko o to jedynie, by zwierz nie uszedł
mu z matni ! Wspomnienie sromotnego popłochu jakiego byłem
niedawno świadkiem w czasie popołudniowego ostrzeliwania oraz
świadomość szkód moralnych i materialnych wynikłych z tego dla
dywizji, napełniały mnie chęcią odwetu, a kłopotalem się o to
jedynie, czy przeciwnik nie potrafi wyslizgnąć się nam jeszcze
lub wcześniejszem uderzeniem ze swej strony nie zechce po-
psuć mi wszystkich szyków. Dlatego oczekiwałem z niecierpliwo-
ścią haska, to jest ataku strzelców znajdujących się po lewej

stronie od mego stanowiska i starałem się ostrą mą lornetką przeniknąć białawe opary podnoszące się przedemną z doliny rzeczki Chodla, sunące się w silnem oświetleniu pełnego księżyca. Wyszedłem nawet poza lasy kryjący nas, by móc lepiej nasłuchiwać, lecz nie maćilo jeszcze kompletnej i jakby solennej ciszy zawieszanej nad oświetlonym przez księżyc terenem, mającego nastąpić niebawem krwawego spotkania.

Szel est czyichś kroków wyrwał mnie z zadumy i poznałem stojącego już blisko mnie Skrzyńskiego. Miałem się właśnie do niego odezwać, gdy uwagę moją odwrócił jakiś dziwny cień, jakby rogów jelenich ukazujący się od strony lasu, a niebawem wyłaniać się poczęła na południowym zboczu pogórka, a więc od strony austrijackich oddziałów jakaś postać fantastycznie wydłużona w białem świetle księżycowem. Dopiero z bliska rozpoznaliśmy w tym upiorze naszego porucznika Biesiadeckiego, który założywszy gałąź świerkową na swą czapkę ułańską, udekorowany tym symbolem bojowym powracał dzielnie do nas po przejściowem zawieruszeniu się wraz ze strabem dywizji podczas ogniowego napadu na Ratoszyn. Przez niego dowiedzialem się dopiero, że po owem gwałtownem "zerwaniu" wszelkich połączeń tak z frontem jak i z sąsiadami, dowództwo dywizji zdołało wycofać się szczęśliwie do lasu koło Ludwinowa i zamierza pozostać narazie w tamtej okolicy a nie mając żadnych o nas wiadomości zaniepokojone jest mocno tem, co się na froncie stało lub dzieć jeszcze będzie.

Nie chcąc pomimo wszystkiego pozostawiać tych nieszczęsnych sztabowców nadal w niepewności kazałem por. Biesiadeckiemu wracać zaraz do nich znaną mu już drogą i zawiadomić, że cały front dywizji pozostał dotąd nietkniętym, ale wobec tak wyraźnie przygotowującego się rosyjskiego natarcia, musiałem zarządzić odpowiednią kontrakcję, która jest już w toku wykonania i lada chwila rozpocząć się powinna. Prosiłem też, by dowództwo nie kłopotowało się nami i czekało spokojnie do rana, gdyż zaraz po załatwieniu się z nieprzyjacielem, przybędę do nich, by kontakt napowrót nawiązać. Jak się później dowiedziałem, wiadomości te zostały przyjęte przez nich nawet z zadowoleniem, bo wyjaśniały im sytuację mroczną dla nich dotąd zupełnie a zarazem zwalniały od konieczności powzięcia

jakiejkolwiek decyzji, a temsamem od wszelkiej bezpośredniej odpowiedzialności.

Tymczasem na wzgórzach pod Grondami oczekiwaliśmy w coraz większym napięciu rozpoczęcia akcji, a gdy zegarek mój wskazał północną godzinę westchnąłem z głębi serca do Boga, by przedsięwzięciu naszemu dał wynik korzystny i pozwolił zaznaczyć rozpoczynający się dzień 5-trgo września walnem zwycięstwem. Nasłuchując pilnie od lewej strony w kierunku Chodla, usłyszałem też wkrótce łoskot salw karabinowych, przecinający łaptownie nadzwyczajną ciszę leśną. Niebawem wzmagać się tam począł gwałtownie grzechot ręcznej broni i terkotanie karabinów maszynowych, świadcząc niezbitcie o tem, że mężni strzelcy wadowiccy wsparci bataljonem krakowskiej "dwudziestki" rozpoczęli już swą krwawą robotę. By nie pozostawiać ich dłużej bez pomocy wydałem obu grupom artylerji krótki rozkaz otwarcia ognia. Już w kilkanaście minut po północy szum i świst przelatujących nad naszymi głowami pocisków haubic złał się z hukiem armat i grzmotami pękających granatów i szrapneli w jeden piekielny koncert, zagłuszający niemal zupełnie terkot mitraljez i grzechot karabinów. Wkrótce salwy Rosjan ustały zupełnie, natomiast odezwała się ustawiona gdzieś bardzo blisko nas ich pojedyncza bateria mniejszego kalibru złożona, jak to później skonstatowaliśmy z towarzyszących piechocie górskich armatek i poczęła traktować nasz odcinek leśny takim gradem pocisków, że musieliśmy ukryć się chwilowo wszyscy w głębokim rowie na skraju lasu, gdyż spadające gęsto odstrzelane gałęzie czyhiły pobyt pod drzewami niemożliwym. Spostrzegłem wkrótce, że owa bateria, która stała zresztą tak blisko, iż huk jej wystrzałów dochodził nas prawie równocześnie z pękaniem pocisków nad naszymi głowami nie zdoła obniżyć już bardziej płaskiego lotu swoich strzałów, gdyż małe wzniesienie terenu znajdujące się przed nami wystarczało zupełnie aby pochwycić wszystkie pociski, któreby szły nieco niżej, to znaczy wprost na nas. Natomiast pożar wzniecony we wsi Grondy austrijackimi pociskami począł oświecać tak jasno nasz kąt oraz cały brzeg lasu

iż nie można się było wychylać z rowu bezkarnie, tembardziej że ogień karabinów maszynowych rosyjskich rozmieszczonych na strychach najbliższych domów nam tej wsi, nawoływał również swym terkotem do szrokości.

Niebawem usłyszeliśmy silny zgiełk bitwy również i z prawej strony, było więc oczywiste, że czekające widać niecierpliwie główne siły 20 pułku piechoty wyruszyły już także do decydującego natarcia i to może nawet nieco zawczasie. Zarządziłem więc jeszcze tylko oddanie kilku ostatnich salw z haubic polowych na wieś Grondy i na tę okolice z której zdawała się odzywać właśnie owa blisko stojąca bateria rosyjska, poczem obawiając się narażenia atakującej piechoty, następującej widocznie już i od wschodu, kazałem przenieść cały ogień działowy aż na dolinę około Borowa, i zmieniając kilkakrotnie dystanse, zasypywać ją jeszcze ogniem przez minu parę.

Rachuby moje sprawdziły się najdokładniej. Rosjanie byli rzeczywiście gęsto zebrani w stosunkowo wąskiej dolinie Chodla celem wykonania ataku z brzaskiem dnia następnego a niespodziewany napad z dwóch stron i ogień armatni oraz karabinów maszynowych bijący ze wszystkich ~~stron~~ prawie kierunków, spowodował niebywale w nich zamieszanie i wzajemne ostrzeliwanie się ich oddziałów. Ponieśli też rzeczywiście ogromne straty, jak nam później pojmami jeńcy opowiadali, zaś ich karabiny maszynowe poustawiane na strychach domów we wsi Grondy w celu ostrzeliwania nas z góry, spaliły się niemal wszystkie w naszych oczach wraz ze swą obsługą, gdyż gwałtowny ogień karabinowy uniemożliwiał gaszenie pożaru. Przyglądaliśmy się temu przez szkła i musieli bezradnie obserwować rozgrywające się tam istne dantejskie sceny, gdyż chociaż dystans dzielący nas od wsi wynosił zaledwie tysiąc kroków, to jednak wszelki ratunek w tym gradzie kul był wykluczonym. Wkrótce kazałem wstrzymać ogień armatni i poleciłem nadjeżdżającemu właśnie pułk. Puchalskiemu jaknajszystsze zebranie swego pułku a rozentuzjasmowanym Madziarom, którzy stojąc na brzegu swych rowów ciągłymi okrzykami "hurra"

powiększali ogólne zamieszanie, zakazałem równocześnie jakiegokolwiek przekraczanie zasięgów, gdyż chciałem już teraz spokojnie odczekać rezultatów swego krótkiego nocnego napadu, a nie pozwolić nikomu na niebezpieczne awanturowanie się głębiej w rosyjskie ugrupowanie.

Główny cel był już osiągnięty, skoro dokładne ostrzeliwanie i energiczne natarcie wywołały były na całym froncie tak szalony popłoch i zamęt w rosyjskich szeregach zgrupowanych do agresywnego działania, podczas gdy wszelka dalsza nieprzewidziana akcja wykonywana nocną porą, mogła łatwo prowadzić do rozluźnienia także i atakujących oddziałów i do ich rozbicia skutkiem wzajemnego ostrzeliwania się i napadania tak trudnych do uniknięcia w tych warunkach. Ze przewidywania te moje były zupełnie uzasadnione, dowiódł nam wówczas los jednego półbataljonu z 20 pułku piechoty, który uniesiony furworem walki przerwał się łatwo koło Skrzyńca przez zupełnie zaskoczoną tem wszystkim obsadę rosyjskich rowów strzeleckich, lecz rozsypany się następnie w ciemności między ich linjami, powrócił dopiero nad ranem z zupełnie niepotrzebnie poważnymi stratami szczególnie w zaginionych jeńcach.

Gdy wreszcie kompletna cisza zaległa znów tę istotną "dolinę śmierci" rozbrzmiewającą jeszcze przed chwilą tak głośnym zgiełkiem bojowym, kazałem pułk. Puchalskiemu uporządkować swe oddziały i sprowadzić je na kwatery we wschodniej, lepiej zakrytej części wsi Radlina, a sam siadłszy na konia starałem się dostać się wreszcie do sztabu dywizyjnego. Po drodze jednak błądząc nieco w ciemnościach, natrafiliśmy na schludne dworskie obejście, będące, jak się okazało, folwarkiem Łopiennikiem, zamieszkiwanym przez starszą panią, która ze snu zbudzona, pomimo tak bardzo spóźnionej pory zaprosiła nas najuprzejmiej w gości. Przy butelce starego wina bardzo wdzięcznie przez nas przyjętego zeszła nam rozmowa na polityczne zapatrywania, rozdzielające wówczas tak żywo polskie społeczeństwo, a nasza gospodyni okazała się entuzjastyczną zwolenniczką "zjednoczenia" całej Polski, chociażby nawet i pod berłem Romanowych, czemu

oponowałem gorąco, kończąc jednak dyskusję tem, że przyszłość dopiero pokazać nam może naprawdę która z tych różnych orientacji będzie dla Polski lepszą i bardziej zbawienną. Przespaliśmy się tam potem doskonale przez dwie godziny dzielące nas jeszcze od świtu a wspominać będę zawsze z wdzięcznością to tak bardzo gościnne przyjęcie, użyczone nam jako rodakom, mimo niezwykłego usposobienia dla armji, do której należeliśmy chwilowo z konieczności.

Około godziny 7-mej rano 5 września dojechałem wreszcie w okolice Ludwinowa i odnalazłem ściśle sztab dywizji rozłożony na polance przy drodze. Dywizyjnej ścisłał mnie serdecznie, wyrażał gorącą wdzięczność a zarazem przepowiadał mi odrazu krzyż Marji Teresy za samodzielne to przedsięwzięcie tak ryzykowne i śmiałe, wykonane wbrew wyraźnym zakazom przełożonych a uwieńczone pełnym powodzeniem.

Raporty 20 -tego pułku przyniosły nowe szczegóły świadczące jak dużym było właśnie osiągnięte zwycięstwo. Według zeznań jeńców, których przyprowadzono około tysiąca, straty rosyjskie były bardzo dotkliwe. W ogniu nocnym rozleciały się kompletnie trzy ich pułki przygotowane pod Borowem do porannego ataku, który miał zaskoczyć nas zupełnie, zgnieść madyarów nieprzedstawiających zbyt wielkiej siły odpornej i przy pomocy artylerji zasypującej cały front masowym ogniem, zmusić 12 dywizję do sromotnego odwrotu. Tym przygotowaniom do ataku należało zapewne zawdzięczać, że doskonała rosyjska artylerja po swym popołudniowym napadzie znajdowała się w nocy w trakcie przegrupowania i dlatego w czasie całej tej akcji nie odzywała się prawie wcale. Była ona zresztą również skrępowana obawą, zupełnie zresztą słuszną, by w ciemności nie razić swym ogniem własnej piechoty, podczas gdy nasza artylerja ostrzeliwała z zupełną pewnością miejsca oznaczone już z góry i to stosownie do nakazanego czasu, względnie programu, wiedząc dokładnie, gdzie własne oddziały podówczas znajdować się winne. Również i w salszych swych skutkach okazała się jeszcze ta cała kontrakcja nadzwyczaj pożyteczną i doniosłą, gdyż utrzymała na kilka dni

chwiejący się już mocno front całej 1-szej armji a zarazem umożliwiła późniejsze spokojne rozpoczęcie odwrotu, który bez tego byłby na lewym skrzydle obsadzonym przez nieodporną grupę Kummera, stał się wprost katastroficznym.

Przespawszy się dobrze w lesie na słońcu chciałem zaraz po obiedzie udać się znów na front do mojego obserwatorium, gdy pilny rozkaz dowództwa korpusu wezwał mnie do natychmiastowego przybycia do kwatery korpusnej w Wilkołazie.

Przed odjazdem musiałem ponownie wysłuchać gorących zapewnień wdzięczności ze strony gen. Kestranka, który jednak był w tej sprawie bardzo nieszczerym, jak się to później okazało. Przypisywał on uratowanie 12 dywizji a przez to i uchylenie niebezpieczeństwa pogromu całego frontu I. armji, wówczas ostentacyjnie i wyłącznie stanowczej decyzji oraz szybkiej orientacji, a zapewniał, że natychmiast siądzie do napisania raportu proponującego odznaczenie mnie za to krzyżem Marii Teresy, wiedziałem jednak, że biedaczysko nie może przedstawić tych wypadków zgodnie z rzeczywistym ich przebiegiem, gdyż byłoby to przyznaniem się do zupełnej z jego strony utraty panowania nad własnymi nerwami, któreby w danych warunkach spowodowało momentalne pozbawienie go dowództwa i dalsze jeszcze zapewne kary. Natomiast spodziewałem się przecie, że omijając podkreślenie pierwszych następstw owego rosyjskiego napadu ogniowego i przemilczając dezorganizację własnego sztabu oraz jego sromotną ucieczkę, jako rzeczy zbyt drażliwe, zechce jednak wedle możliwości zaznaczyć moją inicjatywę w wykonaniu kontrakcji, a temsamem mój udział w niej, choć częściowo uznać i opisać. Pokazało się jednak, że potrafił on przedstawić w tym raporcie siebie jako tego, który dywizję napadniętą ze wszystkich stron energicznymi swymi zarządzeniami z ciężkiej sytuacji wyratował, przyczem zapisał naturalnie i wszystkie moje rozkazy na swój własny rachunek. Nic dziwnego zatem, że długi czas przetrwało w wyższych sferach mniemanie, iż można liczyć pod każdym względem

i zawsze na odwagę i dzielność tego niezwykle przytomnego człowieka. Nagrodzono go też specjalnie za tę akcję i okazane w niej bohaterstwo komandorją orderu Leopolda, którą przyjął naturalnie z całą radością.

Mnie przyznano wówczas za moje działania taktyczne pod Annopolem, Beżycami a wreszcie i Borowem jakiś tam krzyż kawalerski orderu Leopolda, lecz później dowódca korpusu posłyszawszy z boku, że wyratowanie 12 dywizji i ostatni ów sukces I. korpusu pod Lublinem wyłącznie moim zarządzeniom i rozkazom przypisać należy, wziął się podczas dłuższego swego zimowego postoju nad Nidą do szperania w aktach i raportach pułkowych z owego okresu, i jeszcze przed końcem roku prawdę na wierzch wydobył.

Na skutek jego pisemnego rozkazu musiałem w pierwszych dniach stycznia 1915 roku wystosować mój własny raport w tej sprawie, poparty zeznaniami świadków, a w trzy lata później, pomimo moich konfliktów z Naczelnym Dowództwem austrijackim i silnego oporu z jego strony, kapitału orderu Marji Teresy przyznała mi i to podobno jednogłośnie krzyż kawalerski specjalnie za ową akcję samodzielną pod Grondami i Borowem, zupełnie sprzeczną z wydanymi rozkazami a uwieńczoną tak wybitnym rezultatem.

